

MARJA RELITTÓWNA

KOLEJKA



KSIEGARNIA
Św. WOJCIECHA

KRÓLEWNA

MARJA REUTTÓWNA

KRÓLEWNA

POWIEŚĆ DLA DORASTAJĄCYCH PANIENEK

WYDANIE TRZECIE

WINIETA I 3 ILUSTRACJE
MOLLY BUKOWSKIEJ



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



63189

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.
ILUSTRACJE WYKONANO TECHNIKĄ ROTOGRAWUROWĄ
W ZAKŁADACH WŁASNYCH.

K-140/76/69540

I.

Imieniny.

Obudziła się... ciemne kędziory, okalające drobną twarzyczkę, odrzuciła rączką wtył, przeciągnęła się w wygodnym łódeczku, odsunęła jedwabną lekką kołderkę, przybraną kosztownymi koronkami, i nie podnosząc się wcale, nacisnęła elektryczny dzwonek, umieszczony tuż przy łóżku.

W tejże chwili rozjaśnił się panujący dotąd mrok, i jasne promienie słońca zalały sypialnię.

Wśród przepysznych kwiatów, aksamitnych róż i bladnoróżowych goździków, którymi był pokryty duży stół, ułożone były przeróżne podarunki imieninowe. W różowej, atlasowej bombonierce wyborne cukierki; gry towarzyskie, domek dla lalki; a obok na foteliku, wybitym jasnoróżową materją, siedziała strojna w koronki i jedwabie, z wachlarzem w dłoni, duża lala i szeroko otwartymi oczkami zdawała się wpatrywać w Bronkę. Dziewczynka wyskoczyła z łódeczka i różowymi bosemi stopkami stanęła na puszystym kobiercu, którym wysłana była jej sypialnia.

Jak jasny motyl, potrząsając ciemną główką, fruwała od przedmiotu do przedmiotu, oglądając

wszystko ciekawie, lubując się barwą i wonią kwiatów, ciesząc się zabawkami.

Zajęta przeglądaniem rzeczy, zebranych na stole, nie posłyszała, jak drzwi lekko otworzyły się, szafirowa zasłona podniosła się, i wysoki, wytwornie odziany mężczyzna wszedł do pokoju. Przystanął chwilę, a poważne, surowe jego rysy rozjaśniły się widokiem obrazu, jaki miał przed oczyma.

Ślicznie tu bowiem było w tym jasnoniebieskim pokoju z białymi, koronkowymi firankami u weneckiego okna, z szafirowymi zasłonami u drzwi. Wszystkie sprzęty, wypełniające sypialnię dziewczynki, harmonizowały z tłem i starannie dobrane były do użytku i wygody małej właścicielki. I tak w jednym rogu pokoju stały białe lakierowane niskie mebelki, w drugim malutka gotowalnia z odpowiednimi przyborami. Łóżeczko i stoliki były starannie dobrane, a wszystko wytworne i mimo pozornej prostoty kosztowne i ładne.

Rozmiłowanym wzrokiem śledził przybyły kręcącą się po pokoju dziewczynkę. Podeszedł bliżej i unióś ją w ramionach. Wykręciła główkę ku niemu.

— Ach, to ty, tatusiu, przyszedłeś mi powinszować, prawda?

I różowe rączyny opasały mu szyję.

— No cóż, królowna moja zadowolona? — pytał. — Czy wszystko się podoba?

— Bardzo, mój śliczny, kochany tatusiu — mówiła Bronka, tuląc się w ramionach ojca i rączkami gładząc jego bujne, ciemne włosy.

— I tylko tak mi dziękujesz, ty mała, nie pocałowałaś nawet tatusia?

— Ale pocałuję: w jedno oczko i w drugie — mówiła dziewczynka — i w czółko i w buzię — i mówiąc to, tuliła twarzyczkę do ojca i całowała go mocno. — Dobry, kochany tatuś, śliczne rzeczy kupił dla swojej córeczki. I córeczka go bardzo, bardzo kocha.

Pan Torski usiadł w wygodnym fotelu, trzymając jedynaczkę na kolanach.

— A czy moja królowna wie, że dziś ósmy rok zaczyna — mówił — że już trzeba być rozsądną dziewczynką? Zaczniemy się uczyć, trzeba, by rozumku jak najwięcej było w tej mojej kędzierzawej główce.

— A kto mnie będzie uczył, tatusiu? Ja chcę, byś ty mnie sam uczył — powiedziała dziewczynka.

— Nie, córeczko — mówił ojciec. — Ty wiesz, jak tatuś jest zajęty, nie miałby tyle czasu. Od jutra będzie tu przychodziła ciocia Wandzia, ona cię będzie uczyła.

Bronka wydeła usteczka.

— Ciocia Wandzia? — rzekła. — A dlaczego ona?

— Bo jest bardzo dobra i rozsądna — odrzekł tatuś. — Znam ją i wiem, że cię wielu potrzebnych rzeczy nauczy. No i czegoż się moja królowna krzywi?

— Jabyś chciała, żebyś ty sam mnie uczył — rzekła Bronka — ciocia Wandzia tak zawsze brzydko ubrana.

— A cóż to jedno ma do drugiego? — zaśmiał się tatuś. — Ciocia Wandzia będzie twoją nauczycielką.

— A czy ona u nas mieszkać będzie? — pytała Bronka.

— Nie — rzekł tatuś — prosiłem ją o to, lecz nie chce. Ma dużo innych uczniów i uczennic i nie może ich rzucić. No, ale teraz trzeba się ubierać panience. Zadzwońmy na mademoiselle, by nam pomogła.

— Nie, nie — zawołała figlarnie Bronka. — Ty mię sam ubierz dziś, tatusiu, tak jak wtedy, gdy byłam małą!

— Taką dużą pannę mam ubierać? — śmiał się tatuś.

— Dziś moje imieniny, tatusiu — pamiętasz, żeś mi wczoraj obiecał, że dziś wszystko tak będzie przez cały dzień, jak ja zechcę. A co, pamiętasz?

— Pamiętam — mówił tatuś — ale nie wiedziałem, że zechcesz, bym ci pończoszki wkładał.

Wejście pokojowej przerwało rozmowę ojca z córką.

Przyszła oznajmić panu Torskiemu, że przyjechał dyrektor cukrowni i prosi o natychmiastowe widzenie się.

— Muszę iść, córeczko, ubieraj się więc z mademoiselle — rzekł tatuś, wstając.

— To niech ten dyrektor poczeka — rzekła dziewczynka. — Odpocznie sobie. A ty mię ubierz.

Tatuś odwołał się do rozsądku siedmioletniej panny, ucałował ją i odszedł.

Ale rozsądek niewiele pomagał. Bronka miała łyzy w oczach i przez cały czas ubierania się nadąsaną minę. Próżno panna Yvette, Francuzka, zwracała jej uwagę na różne śliczne podarunki, które dostała; próżno kochana bardzo Guścia, pierwsza jej opiekunka od śmierci matki, dziś zarządczyni domu pana Torskiego, przyniosła do śniadania ulubione biszkopty i mówiła o tem, co będzie na obiad, jakie przysmaki robi kucharz; twarzyczka królowny nie rozjaśniła się, aż póki Wincenty nie przyszedł oznajmić, iż jaśnie pan prosi jaśnie panienkę, by się zaraz ubrała, bo pojedzie z nim w Aleje.

Przejażdżka z tatusiem stanowiła jedną z największych przyjemności Bronki. Zapomniała o wszystkich zmartwieniach, wkładając kapelusik i rękawiczki.

Ku większej ucieście zabrała ze sobą nową, śliczną lalę.

.

Bronka była jedyną i ukochaną córeczką pana Andrzeja Torskiego, dyrektora prywatnego banku i jednego z bogatszych przemysłowców naszego kraju. Matkę straciła, mając zaledwie trzy lata. Pan Torski kochał bardzo swą śliczną i dobrą żonę i po jej śmierci całą miłość przelał na dziecko.

Umierająca żona, widząc jego boleść i rozpacz, a rozumiejąc dobrze swój stan, prosiła go, by żył dla córki, sieroty, by po jej śmierci był jej matką i ojcem. Wspomniała mu również, iż gorącym jej pragnieniem było, by daleka jej kuzynka, panna Wanda Kańska, prowadziła wychowanie Bronki.

Ani tej chwili, ani próśb żony i swych obietnic nie zapomniał pan Andrzej; malutka, ciemnowłosa istotka stała się jego wyłączną miłością. Otoczył ją wszystkim, co tylko kochający a przytem bardzo bogaty człowiek dać może swemu dziecku. Kochał ją do zaślepienia, a zajęty bardzo pracą, prowadząc rozmaite olbrzymie interesa, przynoszące mu ogromne zyski, o jednym zapominał, że zbyt nie pieścioty i dogadzanie dzieciom szczęścia im w przyszłości nie przynoszą, przeciwnie, dużo złego zrobić mogą.

W dwa lata po śmierci matki Bronka ciężko zachorowała. Prerażony jej chorobą ojciec wysłał ją pod opieką pani Gorskiej i młde Yvette do południowej Francji. Sam ją tam odwiózł, a potem parę razy odwiedzał, nie mogąc dla ważnych spraw zostać z córeczką całą zimę. Pani Gorska była niezmiernie dobrą i dbałą opiekunką i prześcigała się z Francuzką w dogadzaniu i psuciu Bronki. Francuzi zwali dziewczynkę „la petite princesse polonaise“, a ona sama mówiła o sobie, że jest „królowną swego tatusia“.

Pan Torski ani księciem, ani potomkiem wielkiego rodu nie był. Ojciec jego był dyrektorem cukrowni na Podolu, a on sam tylko własnej pracy

i zdolnościom zawdzięczał swe stanowisko i olbrzymi, jak mówiono, majątek. Żona nie wniosła mu posagu i stosunków.

„Ten człowiek w czepcu się urodził“ mówiono o nim, gdyż czegokolwiek się tknął, każdy interes, przedsiębiorstwo rośło mu w rękę i przynosiło ogromne dochody. Wszystkie najbogatsze domy stały przed nim otworem, i gdyby zechciał powtórnie ożenić się, to mógłby szukać żony w najstarszych rodach naszego kraju. Poza majątkiem, wykształceniem, energją niestrudzoną, posiadał jeszcze niezwykłą męską urodę, która mu jednała wszystkie serca. Ale rozumny, bogaty i piękny pan Andrzej nie zamyslał o drugiej żonie.

— Raz tylko człowiek może być szczęśliwym, tak jak ja nim byłem — mówił tym wszystkim, którzy go namawiali do małżeństwa.

I żył oddany tylko córce i interesom, które mu pochłaniały całe życie.

II.

Bronka chce być mądrą.

Nazajutrz przyszła na pierwszą lekcję ciocia Wandzia. Bronka czekała jej z lekkim niepokojem. Panna Wanda przychodziła czasami do pałacyku pana Torskiego, by zobaczyć dziecko ukochanej niegdyś kuzynki, ale była tak pochłonięta swą pracą i społecznymi obowiązkami, że serdecznej nici nie było dotąd między nauczycielką a jej przyszłą uczennicą.

Parę razy też do roku pan Andrzej z córeczką zaglądał do skromnego pokoiku, położonego na czwartym piętrze przy ul. Hożej.

Panna Wanda była serdeczna dla Bronki, ta jednak obojętnie przyjmowała pieszczoty ciotki, krytycznie patrząc na skromną szarą jej sukienkę. Od urodzenia żyła w zbytku, a pani Gorska i młde Yvette zwracały jej uwagę na ładne stroje i suknie, kosztowne koronki i jedwabie, rozbudzając w ten sposób zamiłowanie zbytku i strojów. W pałacyku przy Alei Róż wszystko było wytworne, piękne i wygodne. A u cioci Wandzi skromna otomana, biurko, przy niem fotel, parę krzeseł stanowiło całe umeblowanie. Przy oknie tylko stał kosz

z kwiatami zawsze kwitnącemi, a na ścianach wisało parę obrazków, jedyny zbytek tego ubożego, chociaż dziwnie miłego mieszkania. Bronka jednak nie odczuwała ani wdzięku mieszkania, ani tego czaru, jaki wiał od całej postaci cioci Wandzi. Nieładna, miała tylko oczy śliczne, smutne trochę, ale rozumne i patrzące w głąb duszy ludzkiej, i słodki, dobry uśmiech. Oczy te i ten uśmiech malowały duszę Wandy szlachetną, pełną zapалу i poświęcenia.

Bronka była jeszcze za małą, by to móc odczuć. Ona wołała wesołą młde Yvette, lub swoją Guścię, jak nazywała panią Gorską, gotową zawsze dogadzać we wszystkim królownie.

Pan Torski bywał w najbogatszych domach, i Bronka miała przyjaciółki równie bogate jak i ona, żadna jednak nie miała tak ładnych sukienek, takiego pokoiku, takich przeslicznych zabawek i żadna nie rządziła tak całym domem, jak ona. Dlatego to ludzie skromnie ubrani, nie posiadający powozów, służby, wydawali się dziewczynce czemś dużo niższem od niej samej i otoczenia, w którym żyła.

W kilka dni po rozpoczęciu lekcyj z ciocią Wandzią Bronka siedziała w gabinecie ojca.

Było to wieczorem, pan Torski wyjątkowo zajęty nie był i, jak zazwyczaj w takich razach, spędzał czas z córką.

Siedział zagłębiany w fotelu, a Bronka jak różowy motyl krążyła po dużym, pięknym pokoju, do którego niezawsze miała wstęp wolny, bo ta-

tuś albo miał gości, albo interesantów, albo też sam pracował i wtedy te drzwi były zamknięte nawet przed królewną.

Surowy, poważny pokój miał zato wielki urok dla dziecka, zajmował ją i duży marmurowy zegar i piękny, okrągły stół, wsparty na czterech smokach, i biurko ojca, na którym oprócz papierów stała duża fotografia pięknej, młodej kobiety z śliczną dzieciną na ręku — podobizna zmarłej pani Torskiej z malutką Bronką; wprost zaś biurka wisiał duży portret żony, zrobiony zaraz po ślubie, a na drugiej ścianie wśród kwiatów i zieleni widniała postać Bronki, malowana przed rokiem przez jednego z najlepszych artystów.

Poważny finansista, oddany całej pracy, miał dwie miłości w życiu — żonę i córkę, i wizerunki ich otaczały go wśród najbardziej natężającej pracy.

I dziś, gdy Bronka krążyła po pokoju, on śledził oczyma jej drobną postać, przenosząc czasami wzrok z dziecka na obraz matki, jakby je porównywał i szukał między nimi podobieństwa.

Odnaleźć go jednak nie mógł. Matka była delikatną, pełną wdzięku blondynką, jasnowłosą i jasnooką, a Bronka, brunetka z czarnymi dużymi oczyma, przypominała więcej ojca. Te same miała pełne usta, stanowcze czoło, ten sam energiczny zarys brwi i owal twarzy, co i on, tę samą pewność spojrzenia i tak samo stanowczo, jak on, umiała mówić i chcieć.

— Jakie one inne — szepnął do siebie pan Torski, patrząc znowu na portret żony i córki. —

Tamta mógłby złamać lada podmuch wiatru, ta pójdzie przez życie przebojem, nie zrażając się żadnymi przeciwnościami... I dobrze!

Ostatnie słowa wymówił niemal głośno, dosłyszała je Bronka i jednym skokiem była na kolanach ojca.

— Co dobrze?, tatusiu? — zapytała — powiedz, tatusiu, co?

Pan Torski rozśmiał się.

— Cóż, nawet mi myśleć głośno nie wolno, muszę wszystko mówić mej pieszczołce? — mówił głaszcząc ciemne kędziory dziewczynki.

— A bo jak ty mówisz dobrze — rzekła Bronka — to my pojedziemy trochę z tobą w Aleje, dawno już nie jeździłam kucami.

— Dziś już stanowczo za późno — odrzekł ojciec. — Pojedziesz jutro.

Bronka wydeła usteczka.

— Ale kiedy ja dziś chcę — powiedziała stanowczym głosem. — Jutro ty będziesz zajęty.

— To pojedziesz z mademoiselle Yvette — odrzekł ojciec. — Trzeba już się raz nauczyć, że nie zawsze można robić to, czego chcemy.

— Wolę jeździć z tobą, niż z mademoiselle — mówiła dziewczynka. — Ty tak rzadko ze mną wyjeżdżasz, tatusiu.

I objęła ojca serdecznie rączkami za szyję.

Poważny przemysłowiec zmiękł.

— Dziecina prosi — rzekł, tuląc Bronkę — ale kiedy już późno, naprawdę późno, królewno moja.

Ręką sięgnął do dzwonka i wchodzącemu lokajowi rzucił dwa słowa:

— Kuce do kabrioletu.

Za chwilę ojciec i córka mknęli ku Łazienkom.

— Jakże tam idzie nauka mojej panny? — pytał pan Torski Bronkę, wracając ze spaceru.

— Dobrze, tatusiu — odrzekła wesoło. — Cio-cia Wandzia śliczne mi rzeczy opowiadała dzisiaj: o ptakach i ich gniazdach. Powiedziała ciocia, że niedługo nauczę się czytać sama.

— A więc niema leniuszka przy lekcji? — pytał tatuś. — Kochasz dobrą ciocię, która cię uczy?

Bronka potrząsnęła główką.

— Będę się dobrze uczyła, bo chcę być mądrą — odpowiedziała stanowczym głosem. Na pytanie ojca o kochaniu cioci, nie było odpowiedzi. Pan Torski spojrział z zadowoleniem na dziecko. Obietnica jej i pragnienie mądrości podobały mu się.

Tak, Bronka mówiła prawdę, chciała być mądrą i dziecinną intuicją odgadła, że prawdziwą naukę daje nie dobra Guścia, nie wesoła mademoiselle, schlebająca jej i spełniająca każde jej życzenie, ale skromna, cicha ciocia Wandzia.

Nie kochała jej wcale, dobroć i słodycz nauczycielki nie zdobywały jej serca. Rozumiała, że ciocia Wandzia inną być nie może, ale skromna jej suknia, niemodny kapelusik nie podobały się dziewczynce. Uważała ją za coś niższego od siebie i swego otoczenia. Żałowała, że ciocia jest tak brzydko ubrana.

Słuchała jednak zawsze uważnie wykładu, bo panna Wanda miała niezwykły dar nauczania i zajmowania młodych umysłów, a Bronka chciała być mądrą.

W parę tygodni po rozpoczęciu lekcyj panna Wanda przybyła do pałacyku przy Alei Róż z małą dziewczynką w wieku Bronki.

Dnia tego było święto, a więc nie na lekcję, tylko w odwiedziny.

— Przyprowadziłam ci gościa, Bronko — rzekła ciocia na powitanie — Ania Żelska, moja również uczennica. Chciałabym, byście się poznały i pokochały.

Bronka uprzejmie powitała obie. Obrzuciła jednak spojrzeniem swego gościa i zachwycona nie została. Ania, drobna blondyneczka, z zadartym figlarnie noskiem, rumianą bazią i niebieskimi oczami podobać się mogła każdemu, tylko nie Bronce, która przedewszystkiem zwracała uwagę na strój. Oceniała też w jednej chwili białą, pikową sukienkę, takież kapelusik i ciemny, skromny płaszczyk Ani.

— Uboga dziewczynka — pomyślała Bronka i chociaż przyjęła grzecznię Anię, nie okazywała bynajmniej chęci pokochania jej. Pokazała jej swoje zabawki, ale te najstarsze i najmniej ładne.

Uważnego oka panny Wandy nie uszło to i zmartwiło ją postępowanie Bronki, nie okazała jednak, że to dojrzała.

W parę dni zaproponowała dziewczynce, czyby nie chciała pójść w odwiedziny do Ani.

Bronka wstrząsnęła główką.

— Pójdę — rzekła — dziś z mademoiselle Yvette do pani Karskiej, już mi to tatuś obiecał. Jutro są imieniny Zosi Freund, nie mam więc czasu, ciociu, iść do Ani.

I nie poszła, a panna Wanda nie nastawała więcej; rozumiała, dlaczego Bronka nie chce iść do Ani, że się wstydzi jej skromnej sukienki i zapewne ubożego mieszkania jej rodziców. Bolała nad tem wszystkim, rozumiejąc jednak, że gwałtem nie przerobi Bronki, ani jej przekonań, czekała odpowiedniej sposobności, a tymczasem łagodnym, lecz stanowczym postępowaniem starała się młodą duszyczkę kształcić i wyrabiać w niej szlachetniejsze poglądy.

.

Upłynęło dwa lata; w pałacu przy Alei Róż niewiele się zmieniło. Bronka rosła, otoczona prze-
pychem i troskliwą opieką ojca, wśród pieszczot i pochlebstw pani Gorskiej i panny Yvetty. Ciocia Wandzia przychodziła codziennie na lekcje, które o tyle się tylko zmieniły, że Bronka miała przy nich dwie towarzyszki: Janię Karską i Zosię Freund. Obie uczyły się pilnie, lecz Bronce ani zdolnościami, ani pilnością żadna nie dorównała.

Ona chciała być mądrą, jak to kiedyś mówiła, i wytrwale dążyła do obranego celu.

— Moja prawdziwa córka — mówił pan Tor-
ski z dumą. — Jak dla mnie, tak i dla niej nic trudnego nie może być w życiu. Kiedyś, gdy była

malutka, żałowałem, że nie mam syna, któryby następnie objął moją pracę; dziś wierzę, że i dziewczyna potrafi robić to samo, byleby miała odpowiednie wykształcenie i stosowne wychowanie.

Panna Wanda uśmiechnęła się.

— Co do wychowania, to wybacź, kuzynie — rzekła — ale nie zgadzam się z tobą. Nie uważam, by Bronka była dobrze wychowana.

Pan Andrzej spojrzał zdumiony na nauczycielkę swej córki.

— Cóż masz do zarzucenia, kuzynko? — zapytał.

— Wiele bardzo — odparła spokojnie. — Przedewszystkiem zbytek, którym ją otaczasz, a następnie pochlebstwa i zbytne uleganie jej całego otoczenia.

— Co do zbytku, to przyznaję ci, kuzynko, pewną słuszność, ale stało się to mimowoli. Po śmierci jej matki byłem tak zrozpaczony, tak mało mogłem myśleć o czemś, że mimowoli popełniłem błąd. To maleństwo, które mi zostało po stracie mego największego szczęścia, było moim jedynym skarbem. Cieszyłem się niem i zasypywałem, czem mogłem. Strzegłem od powiewu zimnego wiatru, któryby zwarzył mój drobny kwiatusek. W tym też czasie majątek mój wzrastał kolosalnie, więc przychodziło mi to bez trudu, a gdybyś wiedziała, jak mię cieszy jej radość. Zresztą w zbytku żyć będzie zawsze, bo już dziś majątek mój szacuję na miljony.

— Tak, to prawda, że bogata jest Bronka i będzie nią chyba — odparła ciocia — wolałabym jednak, by do bogactw przywiązywała mniejszą wagę, by ludzie skromnie ubrani, nie byli dla niej czemś niższem, istotami pośledniejszego gatunku.

— Ciociu Wandziu! — zawołał, śmiejąc się pan Torski — a czyjaż tu wina największa? Gdybyś po śmierci Zofji zamieszkała z nami i swą wyłączną opieką otoczyła moje dziecko, onoby uniknęło wielu błędów, nie psułyby go pieczyoty i pochlebstwa pani Gorskiej i mademoiselle. Odmówiłaś wtedy mym prośbom, ciociu, a teraz sprawa wychowania jest o tyle utrudniona.

Ciocia Wandzia westchnęła. Tak, pan Torski miał słuszość, gdyby po śmierci jego żony wzięła pod swoją opiekę Bronkę, byłaby ona inną, niż obecnie. Dziś trzeba było wiele pracy, by wykorzystać niejedną wadę dziewczynki.

Znowu upłynęło kilka miesięcy.

I kiedy panna Wanda układała plany dalszego wychowania Bronki, ona sama wraz z panną Yvetą obmyślała zbytkowną zabawę na rocznicę swych urodzin. Bawiono na wsi, w majątku świeżo nabytym przez pana Andrzeja i od imienia córki przewanym Bronkowem. W ślicznej okolicy gór Świętokrzyskich, na tle ciemnych lasów, wznosił się mały czerwony pałacyk, do którego na dzień 18 sierpnia miało zjechać wiele osób, zaproszonych przez pana Torskiego.

Pomysłowa Francuzka obmyśliła nieznaną tu dotąd rzecz. Miał się odbyć bal w pałacu wróżki.

Sprowadzono rzemieślników, krawczynię, przera-biano i urządzano mieszkanie, budowano na ten cel pawilon w ogrodzie, przeznaczony, jak mówiła Bronka, dla wróżki. Szyto stroje wedle wskazówek panny Yvette.

Cioci Wandzi nie było w Bronkowie, pracowała dużo podczas zimy, i doktor wysłał ją nad morze. Nikt więc w niczem nie przeczył, tem bardziej, iż pana Torskiego nie było na wsi, interesy wymagały jego pobytu w Warszawie, zapowiadał swój przyjazd na ów uroczysty dzień, a pozwolenie na urządzenie całej zabawy uzyskała dziewczynka już poprzednio.

Jaką miała być zabawa i całe jej urządzenie, nikt nie wiedział prócz Bronki i panny Yvetty. A i Bronkę czekało wiele niespodzianek.

W przeddzień imienin zjechało się dużo małych gości do Bronkowa i używali wszelkich możliwych przyjemności. Urządzono wycieczkę do lasu, pływano łodziami po stawie, wieczorem oświetlono sztucznymi ogniami ogród, puszczano rakiety.

Wcześniej jednak udano się na spoczynek, gdyż i podróżni byli znużeni i domowi jutro od rana mieli jeszcze wiele pracy.

Pan Torski przyjechał późno w nocy i Bronka zobaczyła ojca dopiero przy śniadaniu. Gdyby dziewczynka była starszą i uważniejszą, dostrzegłaby zmianę na twarzy ojca. Pan Andrzej w ostatnich czasach zmienił się mocno; włosy na głowie zaczęły mu siwieć, policzki zapadły, a piękne, żywe oczy były podkrążone. Wyglądał znużony.

Ale Bronka była jeszcze za mała, by te zmiany móc dostrzec, a przytem tak bardzo pochłaniała ją myśl o dzisiejszej zabawie, że nic poza nią jej nie obchodziło.

— Przyjechałeś, tatusiu — mówiła, całując serdecznie ojca — a ja się tak bałam, że zapomnisz o dzisiejszym dniu, lub że te nieznośne interesa zatrzymają cię w Warszawie.

— Dostałem przecież zaproszenie na bal do królewnej-wróżki, więc zapomnieć nie mogłem — uśmiechnął się ojciec.

— To ślicznie, tatusiu, zobaczysz, że nie pożałujesz tego.

A pan Andrzej przyciągnął dziecko do piersi.

— Wobec tych zabaw, Bronko, nic ci nie przywiozłem na wiązanie — mówił. — Ale oto masz mały portrecik twojej matki, zrobiony, gdy jeszcze była narzeczoną. Nie rozstawałem się z nim nigdy. Teraz ci go oddaję; patrz często na tę drogą, kochaną twarz i bądź podobna do niej.

I podał córce mały wizerunek ślicznej jasnowłosej dziewczyny. Słodkie, niebieskie oczy z miłością zdały się patrzeć na Bronkę.

— Jaka ona była śliczna — zawołała dziewczynka — moja matusia kochana!

— I jaka dobra — szepnął mężczyzna. — Ty nawet, Bronko, nie wiesz, jaka ona była dobra.

Dwie łzy spłynęły mu po twarzy.

Dziewczynka spojrzała zdumiona. Jej śliczny tatuś płacze... Zarzuciła mu ręce na szyję i scalała te łzy.

— Co mi jest? Nie rozumiem wprost siebie — szepnął pan Torski, gdy Bronka pobiegła do ogrodu. — Jestem jakoś dziwnie rozstrojony. Wiedocznie noc bezsenna tak mię znużyła.

Bronka rychło zapomniała o łzach ojcowskich, tyle miała zajęcia i wrażeń.

Równo z zachodem słońca duży dzwon oznajmił zebranym gościom, iż królowna-wróżka zaprasza ich do siebie.

Jednocześnie na taras pałacu wbiegł śliczny, złotowłosey paź, ubrany w niebieski, atlasowy strój, koronkowy kołnierz i także bnfaste rękawy, niebieskie pończochy, ciemne trzewiki i szafirowe spodnie. Pazik uchylił grzecznie szafirowego kołpaczka, oznajmując, iż jej miłość królowna-wróżka prosi gości do siebie.

Pan Torski podał rękę jednej z najpoważniejszych pań i poprowadził gości do ogrodowego pawilonu.

Przed starszymi szły zaproszone dzieci, a skoro goście zeszli ze schodów, z krzewów wysunęła się ukryta tam muzyka, złożona z dzieci, i grając na małych skrzypczkach i fletach, rozpoczęła pochód.

Muzykanci byli wszyscy w jednakowych białych strojach ludowych, w wysokich butach i ciemnych czapeczkach na głowach.

U wejścia do pawilonu, którego drzwi były dotąd zamknięte, rozpostarto na białym piasku ponosowe sukno, a na niem ustawiono w półkole kilka rzędów krzeseł. Dwaj mali heroldowie, przybrani

w strój ponsowy ze złotem, z buławami w rękę, wskazywali przybyłym przeznaczone dla nich miejsca.

Gdy goście usiedli, jeden z heroldów podszedł do zamkniętych podwoi i trzykrotnie uderzył w nie buławą.

Na znak ten otwarły się drzwi, a raczej rozsunała się jedna ściana pałacu, i oczom zebranych przedstawił się cudowny widok.

Ściany pałacu królewny-wróżki pokryte były kwiatami, wśród których zřęcznie ukryte zwierciadła odbijały obrazy. Różnobarwne latarnie, umieszczone u góry, rzucały cudne światło. Cały ogród w tejże chwili stanął w ogniu, oświetlony zielono-różowym światłem. Aż się ptaki zbudziły, i nie pojmując, co się stało, czy to dzień już wstał, zaczęły świergotać.

W głębi pawilonu, za lekką zasłoną, utkana jakby z mgły, widać było ustawiony wśród kwiatów tron wróżki.

Rozległ się cichy śpiew, płynący z oddali, i jednocześnie otwarły się boczne drzwi, weszli dwaj paziowie niebiesko ubrani i stanęli u progu.

Po chwili do sali weszło śpiewając sześć dziewczynek, różowo ubranych z wianuszkami na rozpuszczonych włosach, a za niemi w zielonych, aksamitnych ubraniach sześciu chłopczyków. Cały orszak, oddawszy sobie nawzajem pokłon, ustawił się w szeregu, dziewczynki naprzeciw chłopców. Zagrała muzyka, i na salę weszła królowna-wróżka.

Była to naturalnie Bronka.

Sukienkę miała jasnoróżową, różowe pończoszki i także pantofelki na nogach, a na głowie, na ciemnych kędziorach świeciła srebrna gwiazda, od której aż do dołu spadała lekka, przezroczysta zasłona, przetykana gdzieś niegdzie srebrnymi nitkami. W rękę miała królowna różdżkę różową z kwitnącą różą na końcu.

Dwór złożył głęboki pokłon królownie-wróżce, a ona skinąwszy lekko głową, skierowała się do swego tronu.

Gdy na nim usiadła, a ze wszystkich stron otoczył ją orszak, dwóch pazików podeszło do tronu, podając królownie szkatułkę.

Otworzyła ją i zaczęła wydobywać z niej różne podarunki przeznaczone dla zebranych gości. Szpileczki, pierścionki, flakoniki, świeże kwiaty. Stojący obok herold oznajmiał, kto ma dostać dar jaki, a paź doręczał obdarowanemu.

Po rozdaniu podarków zagrała znowu muzyka i rozpoczęły się tańce. Królowna-wróżka narazie przyglądała się tańczącym, ale trwało to tylko chwilę. Wstała ze swego tronu i lekka jak ptaszek zbiegła po stopniach. Mademoiselle Yvette pośpieszyła ku niej, chciała jej coś przedstawić, ale Bronka nie słuchała.

— Proszę mi zdjąć tę zasłonę z głowy — rzekła — bo chcę tańczyć.

I jak różowy motyl frunęła do dzieci. Rozpoczęła się zabawa na dobre. Wyszła ona trochę poza program ułożony przez Francuzkę, ale goście

bawili się wyśmienicie, a królewna-wróżka bodaj że najlepiej. Znudziła ją rola, w którą ją ubrano, miała dość tych ceremonij i teraz bawiła się jak prawdziwe dziecko.

Mademoiselle jednak nie dała za wygrane, wszak miał być jeszcze teatr amatorski, miano odegrać sztukę francuską.

Bronka musiała się zgodzić na to ustępstwo, poszła więc zasiąść wśród widzów, obok tatusia. W pawilonie tymczasem ustawiono kulisy, podniesiono zasłonę, i mali artyści odegrali uscenizowaną baśń o Kopciuszku.

Kopciuszkiem była Jania Karska, a królewiczem Tadzio Brochwicz. Oboje grali doskonale, wymawiali świetnie. Bronki jednak już to nie zajmowało, wołała tańczyć. To też stosownie do jej woli, po ukończeniu przedstawienia pan Torski poprosił zpowrotem gości do pałacu, gdzie już zastawiona była wieszera, a po niej nastąpiły nowe tańce, które przeciągnęły się późno w noc.

Nazajutrz pani Gorska zawiadomiła Bronkę, że tatuś kazał ją ucałować, gdyż telegraficznie został wezwany do Warszawy i wczesnym rankiem tam odjechał.

Skrzywiła się na tę wiadomość różowa buzia królewny, tak się cieszyła, że tatuś zostanie dłużej, że chociaż parę tygodni spędzą razem w Bronkowie.

— Zawsze te interesa — westchnęła, już dziś rozumiejąca, że one to pochłaniają czas ojca.

W parę dni potem przyjechała Wanda, zaproszona przez pana Torskiego i Bronkę, by tu w cichszy wiejskiej mogła przebyć kilka tygodni po odbytej kuracji. Ułożono, że jeszcze ten rok miała przychodzić na lekcje do Bronki, a po roku zamieszka na stałe w domu pana Torskiego i obejmie zupełny zarząd domu, oraz opiekę i kierunek nad wychowaniem Bronki.

Panna Wanda była zapaloną przyrodniczką, kochała las, drzewa, rośliny, zwierzęta i ptaki. Zamiłowanie swe umiała przelać w uczennicę, i Bronka pod jej umiejętnym kierunkiem uczyła się poznawać i kochać najpiękniejszą księgę na świecie — przyrodę.

Rozpoczęły się więc długie przechadzki, wycieczki do lasu, wyprawy po grzyby i jagody, a potem po orzechy.

Mlle Yvette dostała urlop i wyjechała na miesiąc do Francji, pani Gorska naturalnie po lesie nie chodziła, zostawała w domu, by zająć się gospodarstwem. Zato ciocia Wandzia z Bronką i Zosią Freund, która wakacje spędzała z przyjaciółką, całe dnie przebywały w lesie.

Królewna po raz pierwszy w życiu zapoznała się tak blisko ze wsią. Dotąd wywożono ją latem nad morze lub w góry. Parę razy spędziła kilka tygodni u Jani Karskiej, ale tam siedziały całymi dniami w pięknym, cieniastym parku, lub wyjeżdżały powozem na przejażdżkę, tu zaś używały w całej pełni wiejskiej swobody.

Wież zachwycała ją ogromnie. Coraz to nowe uciechy i przyjemności odkrywały dziewczynki w dużym, cienistym lesie lub na zielonych łąkach.

Pewnego razu wrócono późno ze spaceru i, siedząc w jadalni przy wieczerzy, opowiadano wrażenia dnia, gdy jasna łuna oświeciła okna.

— Pożar — zawołała pani Gorska, podbiegając do okna — i to gdzieś w pobliżu!

Panna Wanda zadzwoniła. Wszedł służący, oznajmiając, iż pali się wieś Bronkowska.

— Proszę o konie do kabrioletu — powiedziała ciocia — muszę tam pojechać i zobaczyć, czy nie można dopomóc w czym biedakom.

— Ach, ciociu! — zawołała Bronka — weź i nas ze sobą. Nigdy nie widziałam pożaru zbliska.

Pani Gorska zaprotestowała, bała się dla Bronki zmęczenia i przerażenia, ale panna Wanda była innego zdania.

— Niepodobna z przed oczu jej usuwać wszystkich smutków i bólów ziemi — rzekła. — I dzieci są obywatelami kraju i o jego potrzebach powinny myśleć. Bronka pojedzie ze mną, lecz Zosia zostanie w domu. Jest znużona i sił ma niewiele; nie tylko że się nie przyda, ale jeszcze zawadzać będzie.

Musiała więc pani Gorska ustąpić, choć pojąć nie mogła, by się tam Bronka na coś mogła przydać. Ale pan Torski wyraźnie zaznaczył, iż wola panny Wandy musi być zawsze spełniana, a tu jeszcze i Bronka tego chciała, należało więc ustąpić.

Po przybyciu na miejsce przekonała się panna Wanda, że dobrze zrobiła, pośpieszając z pomocą.

Przybyła również czeladź z Bronkowa wraz z ekonomem, i energicznie rozpoczęto akcję ratunkową.

Bronkę zostawiła panna Wanda w powozie pod opieką służącej, którą wzięła ze sobą, a sama poszła do palących się domostw.

Wież w Bronkowie była duża, a budowana zwyczajem wszystkich wsi polskich w ten niepraktyczny sposób, iż domostwa stały jedne przy drugich, nieoddzielone od siebie żadnym ogrodem, wszelkie zaś zabudowania gospodarcze mieściły się niemal pod jednym dachem z mieszkaniem ludzi.

Szczęściem, że ogień wszczął się wcześniej, gdy jeszcze nikt nie spał, wypadku więc z ludźmi nie było. Ocalono najmniejsze niemowlęta. Zato cały dobytek, świeżo zwiezione zboże, wszystko stało w ogniu.

Dzięki jednak usilnej pracy udało się ogień powstrzymać. Spłonęły cztery chałupy. A ich mieszkańcy zostali bez dachu i chleba.

Starsi gospodarze objaśnili pannę Wandę, że najbardziej ucierpiała uboga wdowa z czworgiem dzieci.

— Spaliło się biedactwu wszystko — mówili — ani garści zboża nie mają. Ani odzieży do przebrania.

Panna Wanda poszła do powozu, w którym zostawiła Bronkę. Dziewczynka była przerażona tym nieznanym jej nigdy widokiem.

— Ach, ciociu! — rzekła — wracajmy do domu, to takie smutne.

— Nie, Bronko, nie możemy jeszcze wracać, — odrzekła ciocia. — Niepodobna tak zostawić tych nieszczęśliwych ludzi. Właśnie chciałam ci powiedzieć, że w nieobecności tatusia twoim jest obowiązkiem zająć się nimi. Jesteście właścicielami Bronkowa i najbliższymi sąsiadami tej wsi, trzeba więc dać pomoc pogorzelncom.

Dziewczynka spojrzała na nią zdumiona.

— Nie mam pieniędzy, ciociu — szepnęła — ale napiszę do tatusia, on przyśle.

— Tak, należy i to zrobić, ale w tej chwili niepodobna zostawić tej biednej kobiety, żeby z dziećmi nocowała w polu.

— Zabierzmy ją do Bronkowa — zawołała dziewczynka. — Dobrze, ciociu?

— Właśnie tego chciałam, ale ja tu jestem obcą, a ty gospodynią, więc trzeba, byś to zrobiła sama. Pójdź ze mną do nich.

— Kiedy ja nie wiem, jak to zrobić — szepnęła dziewczynka.

— Prostu poproś ich, by pojechali z nami do Bronkowa, gdzie im dasz nocleg; jutro pomyślimy, coby więcej należało uczynić.

— To ty poproś, ciociu! — prosiła Bronka. — Ja nie umiem.

— Czyżbyś nie umiała prosić Jani lub Zosi, by do ciebie przyjechała?

— Tak — odparła Bronka — ale to są chłopci.

— Są to zupełnie tacy sami ludzie jak i my, — odrzekła panna Wanda — mimo że nie mieszkają w pięknych domach i nie chodzą w bogatych sukniach. W ten sposób, w jakibyś zapraszała Zosię, należy zaprosić i tę biedną kobietę. — Mówiąc to, poprowadziła Bronkę do miejsca, gdzie pod drzewem siedziała biedna rodzina, gorzko płacząc nad swem nieszczęściem.

Dzieci były małe, najstarsze miało lat sześć, najmłodsze jeszcze na ręku matki.

— Córką pana Torskiego z Bronkowa prosi was, byście do nich pojechali, matko — rzekła panna Wanda — prawda, Bronko?

— Proszę bardzo, niech pani do nas jedzie z dziećmi, — prosiła Bronka, chcąc jak najgrzeczniej zaprosić.

Kobieta spojrzała na dziewczątko z wdzięcznością.

— O, moja śliczna panienczko, aniołku złoty! — zawołała — Niechże ci Pan Jezus wynagrodzi, żeś pomyślała o nas sierotach, ale czybym ja śmiała?

Tu już panna Wanda poparła prośbę Bronki, a prosiła tak mile, tak umiała zachęcić, że nieszczęśliwa kobieta zgodziła się.

Panna Wanda zwróciła się do ekonoma, który tu przyjechał z czeladzią, i poprosiła go, by ułatwił biedakom przyjazd do dworu, do którego było dwa kilometry drogi.

Znalazł się zaraz wóz, a pan Ignacy powiedział, że jest pusta izba we dworze, w której można będzie pomieścić Szymonową z dziećmi.

Panna Wanda pojechała więc z Bronką przodem,abrały ze sobą ekonoma, pana Ignacego, by przygotować izbę dla pogorzalców.

Bronka prosiła, by mogła pójść na folwark z ciocią zobaczyć tę izbę, i panna Wanda kazała tam wprost pojechać.

Izba była duża, przestronna, a że nie było ani łóżka, ani stołków żadnych, więc naniesiono siana i ułożono działawę do snu, napoiwszy ją przedtem mlekiem.

Nazajutrz pani Gorska chodziła, wdychając i wyrzekając, iż Bronka mogła się zaziębić, że miała noc bezsenną i skutkiem tego pobladła. Panna Wanda uśmiechnęła się na to gderanie starej opiekunki.

— Przed tygodniem, o ile wiem — rzekła — Bronka niedospała również nocy, w lekkiej sukiencie siedziała w parku i wtedy się pani o nią nie obawiała. Dlaczegożby miała teraz zachorować, jeśli jej wówczas nic nie zaszkodziło?

— To było co innego — broniła się pani Gorska — wówczas była zabawa, dziecko miało dużo przyjemności.

— Moja droga pani — rzekła uprzejmie panna Wanda — wiemy dobrze obie, że życie nie składa się z samych przyjemności, a najszcześniejszym jest ten, kto umie myśleć o drugich. Pani, co tak kocha Bronkę, niechże jej tej wielkiej przyjem-

ności nie pozbawia. Będzie kiedyś bogatą, posiadzie wielki majątek; trzeba, by zawczasu nauczyła się używać go dobrze. Niech wie, że komu dużo dano, ten musi innym dawać i o innych myśleć. Niech wcześniej będzie obywatelką swej ziemi.

Ale pani Gorska nie uznawała rozumnych słów panny Wandy. Ona obawiała się jednego, by Bronka nie przywiązała się zanadto do cioci Wandzi, gdyż przez to ustałby wpływ jej i, kto wie, czy nie usunięto by jej z zajmowanego od tylu lat miejsca.

Bronka ani zmizerniała, ani się rozchorowała z powodu pożaru i nocy bezsennej. Czuła się tylko jakąś poważniejszą, miała pewien obowiązek do spełnienia i dumną z niego była.

Rano poszły z ciocią do Szymonowej, wyszukano dla niej niezbędne sprzęty, pościel, bo wszystko spłonęło. Potem idąc za poradą cioci, dziewczynka napisała obszerny list do ojca, opisując mu cały wypadek i prosząc, by dopomógł biednej Szymonowej, „która ma aż czworo dzieci, a jedno takie malutkie, że jeszcze i nie chodzi samo“.

Patrzyła jednak królowna z góry na biedne dzieci i ich matkę. Takie to było słabe, obdarte i umorusane. Nie; bawić się z niemi i zadawać nie mogłaby nigdy. Patrzyła zdumiona, jak ciocia przyniosła czyste płótno, jak kazała dać wody, wykapała małą Kasę i zawięła ją sama. A Szymonowa tymczasem myśla starsze.

Obie z Zosią przyglądały się, jak ciocia następnie kroili i szyła sukienki i ubranka dla dzieci.

— Możeby i moje dziewczątka mi pomogły — zachęcała panna Wanda. — We trzy uszyłybyśmy prędzej i odziały te biedactwa.

Ale nie umiały tego robić ani Bronka, ani Zosia, i ciocia musiała szyc sama.

Pan Torski w odpowiedzi na list Bronki pochwalił córkę, zalecił jej, by ciocia słuchała we wszystkim a nieszczęśliwym spieszyła z pomocą.

„A pamiętaj, dziecino droga — pisał tatuś — że nie tylko pieniędzmi pomagać należy nieszczęśliwym. Trzeba też umieć słowem dobrem przemówić, serdeczną opieką otoczyć każdego, komu śpieszymy z pomocą. Niech to nie będzie datek, rzucony przez bogatszych ubogim, ale dar dobrego, kochającego serduszka, które w każdym człowieku widzi brata. Pragnę, by moja dziewczynka miłowała ludzi, a tego najprędzej nauczy się od cioci, i dlatego cieszę się, że jesteście obie razem, i wierzę, że biedni mieszkańcy Bronkowa, którzy tak ucierpieli od ognia, w was znajdą opiekę i pomoc“.

Do listu dołączony był przekaz na sporą kwotę.

Bronka ucieszyła się bardzo i chciała zaraz bieć i oznajmić Szymonowej, iż tatuś przysłał dla niej dużo, dużo pieniędzy.

Ale ciocia ją powstrzymała.

— Przedewszystkiem — rzekła — należy obmyślić, coby dla niej należało uczynić. W tej chwili Szymonowej nie brak niczego. Ma dach, jedzenie dla siebie i dziatwy, odzież również do-

stała. A wszak oprócz Szymonowej są i inni poszkodowani.

Po południu poszły obie na wieś.

Dzień to był powszedni, a że lato miało się ku końcowi, więc starsi wszyscy byli w polu, zajęci pracą. Po ulicach wioski i podwórkach bawiły się małe, kilkoletnie dzieci. Nikt się niemi nie opiekował, nikt zabawą nie kierował, i grzebało się to wszystko w piasku, przewracało w błocie lub uganiało z psami.

Bronka patrzyła zdziwiona.

— Dlaczego, ciociu, oni tacy brudni? — zapytała — i czemu tak się dziwnie bawią, a na nas patrzą ze strachem?

— Dlatego — rzekła ciocia — że są biedni, matki pracują cały dzień w polu, nie mają czasu zająć się dziećmi; zostawione sobie biedactwa poprostu dziczeją.

— A czemu nie uczą się czego?

— Bo niema komu ich uczyć — odparła ciocia. — Szkoły niema w Bronkowie. Ale wiesz co? Za rok, gdy tu przyjedziemy, założymy ochronkę dla tych biedaków, zbierzemy tam dzieci i będziemy je uczyły.

— Jakto? — spytała Bronka — ty, ciociu, i ja uczyłybyśmy te dzieci?

— Niezupełnie my same — odparła ciocia Wandzia — bo w Warszawie wyszukamy ochroniarke, odpowiednio uzdolnioną, i ona zajmie się opieką i nauką dziatwy, a my będziemy uważały, by ochronka miała wszystko, co potrzeba, by

wszystkie dzieci do niej uczęszczały. Będzie to twoje królestwo — dodała żartobliwie.

Dnia tego nic nie zrobiły na wsi ciocia i Bronka, ale zato w niedzielę po nabożeństwie odbyła się narada, na którą zaproszono kilku gospodarzy z Bronkowa i pana Ignacego Bączka, ekonoma dworskiego, oraz księdza proboszcza. Przyszli i pogorzelnicy.

Szło przedewszystkiem o chaty.

Panna Wanda przedstawiła zebranym, że na prośbę swej córki pan Torski przysłał potrzebne pieniądze na wystawienie domostw i na niezbędne rzeczy. Prosiła więc, by każdy powiedział, ile potrzebuje, a ona stosownie do tego rozdzieli nadesłaną kwotę.

— Pieniądzy tych nie daruje nikomu pan Torski — mówiła panna Wanda. — Przeznacza je dla gminy, na fundusz zapomogowy. Wszyscy więc ci, którzy z pieniędzy tych mają korzystać, obowiązani są w przeciągu najdalej pięciu lat zwrócić wzięte pieniądze. I już ta kwota nie pójdzie do rąk wierzycieli, tylko będzie składana do banku, jako fundusz zapomogowy gminy Bronkowa.

Następnie poprosiła panna Wanda księdza proboszcza, oraz wójta gminy i dwóch jeszcze gospodarzy, by wspólnie z nią napisali odpowiednią uchwałę, którą podpiszą wszyscy ci, co obecnie z tej zapomogi mieli korzystać. Wieśniacy z uznaniem przyjęli wniosek pana Torskiego, dziękowali Bronce za napisanie do ojca i prosili ją, by w ich imieniu podziękowała samemu panu.



„lekka jak ptaszek zbiegła ze schodów“...

Omówiono wszystko, a idąc za przykładem pana Torskiego, ci wszyscy, którzy poszkodowani od ognia nie zostali, zobowiązali się dopomóc bezinteresownie pogorzelcom w postawieniu chałup.

Panna Wanda od siebie ofiarowała Szymonowej śliczną łaciatą krowę w miejsce tej, która zginęła w ogniu.

Ogromna była radość biedaków, gdy w następną niedzielę pastuszek dworski przyprowadził im śliczną krowę.

Szymonowa płakała z uciechy, a dzieciaki skakały koło łaciatej, nazywając ją pieszczotliwymi wyrazami i całując jej głowę.

Zwierzę rozumiało widocznie te pieszczoty i radość, bo wyciągało głowę do dzieci i wzamian za całusy lizało ich główki i buzie.

III.

Straszne chwile.

Skończyły się wakacje. Ciozia Wandzia odjechała do Warszawy, gdzie czekała na nią praca. Bronka z panią Gorską miały zostać jeszcze do listopada w Bronkowie, dokąd już i panna Yvette wróciła z Paryża. Zosię zabrała matka.

Francuzka przywiozła Bronce śliczne zabawki ze stolicy świata, a poza tem cudowne opowieści o tem mieście, i Bronka, słuchając tych opowiadań, zapomniała o pożarze, Szymonowej, jej dzieciach i projektowanej ochronie. Panna Yvette miała dziwnie zajmujący sposób opowiadania i malowała Francję, a zwłaszcza Paryż, jako cudowny kraj baśni, pełen piękna, zbytku i przepychu.

Układano na rok przyszły wyprawę do Paryża.

Za powrotem do Warszawy panna Wanda uderzona stała zmianą, zaszła w panu Torskim. Wyglądał jakby mu dziesięć lat przybyło. Na troskliwe zapytanie, co mu jest, odrzekł z westchnieniem:

— Znużony jestem kuzynko śmiertelnie, pracy mam ogromnie wiele i to wyczerpującej, dlatego tak źle wyglądam.

— Powinieneś, kuzynie, wypocząć, zostawić wszystko, a wyjechać bodaj na parę tygodni na wieś, do Bronkowa. Tam w ciszy wiejskiej, w towarzystwie dziecka, odpoczniesz trochę, dojdiesz do równowagi.

Pan Andrzej potrząsnął głową.

— Myśleć o tem nie mogę. Obecność moja jest niezbędna w Warszawie. Może na święta, o ile się wszystko dobrze ułoży, porwę ciebie, kuzynko, zabiorę Bronkę i wyjedziemy kędyś, „gdzie cytryna dojrzewa” — rzekł z uśmiechem.

Panna Wanda już nie nalegała, wiedziała, że interesa, które prowadził, były wielkiej wagi, a kryzys, który przechodził kraj cały, nie mógł nie odbić się i tu. Rozumiała więc, że obecność jego jest konieczna. Nie wiedziała tylko jednego, że już od roku przeszło pomyślny stan interesów jej krewnego zachwiał się mocno, i tylko dzięki jego żelaznej energii i sprężystości nie było całkowitej ruiny.

Praca nadmierna, niepokój i noce bezsenne wyczerpywały silny organizm pana Andrzeja. Nie jadł prawie nic, podniecał się czarną kawą, a spał zaledwie po parę godzin na dobę.

Służący twierdził, że pan nie kładł się często do łóżka.

Aż oto pewnego wczesnego poranku ostry dźwięk dzwonka zbudził pannę Wandę.

Wzywano ją do pałacyku w Alei Róż.

Znaleziono pana Torskiego bez czucia przy biurku.

Służba telefonicznie zawiadomiła lekarza i pannę Wandę.

— Stało się — szepnęła do siebie ciocia Wanda, patrząc w parę chwil potem na leżącego nieprzytomnie pana Andrzeja. — Zabiła go niestety gorączka pracy i złota.

Wysłała co rychlej depeszę do pani Gorskiej, by zaraz wyprawiła Bronkę z panną Yvette do Warszawy, a sama dla uporządkowania domu w Bronkowie została tam jeszcze parę dni.

Po załatwieniu tej sprawy, oraz zawiadomieniu uczennic swych, że przez parę dni nie może być na lekcjach, zasiadła przy łożu chorego.

Przywrócono go do życia, ale przytomności nie odzyskał. Raz tylko jeden otworzył na chwilę oczy, a widząc pochyloną nad sobą pannę Wandę, wyciągnął rękę i szepnął: „Bronka”.

Dwóch najlepszych lekarzy walczyło ze śmiercią o życie człowieka, ale walka była nierówna — chory nie otwierał oczu, leżał bezwładny i obojętny na wszystko. Panna Wanda drżała.

— Czy aby jeszcze dziecko w porę przywiozą? Czy pozna on tę swoją królewnę ukochaną? A i ona jak zniesie ten straszny cios? — Dziecko szczęścia nie znało dotąd smutku, a ot, w jednej chwili wszystko się dla niej kończy.

Przeczuwała bowiem panna Wanda, że inna rzecz grozi jeszcze Bronce: utrata majątku.

Ale czemuż to wszystko było wobec utraty ojca! Niechby wszystko było stracone, a on żył, nie-

szczęście jeszcze nie byłoby tak wielkie. I niespokojnie podnosiła oczy z chorego na twarze lekarzy.

Ich oblicza były poważne. Nie mówili do siebie nic prawie, porozumiewali się prawie tylko wzrokiem, a ta cisza i to milczenie kryły w sobie straszną grozę.

W radości i weselu prędko przechodzą chwile, jakże jednak wloką się one długo w chwili strasznego niepokoju i cierpienia. Wtedy to sekundy wydają się nam godzinami, a godziny całymi dniami. I w pałacyku przy Alei Róż zdawało się, że wieki całe trwa już choroba pana Andrzeja. Cisza zalegała schody i korytarze. Nie słychać było dzwonek. Milczał telefon. Panna Wanda, obawiając się, by wieść o chorobie przemysłowca nie wpłynęła ujemnie na stan jego interesów, zabroniła służbie mówić obcym o ciężkiej jego chorobie, ani też przyjmować kogokolwiek.

Prócz lekarzy, nie odstępujących prawie chorego, zawiadomiła tylko prawnika, starego przyjaciela Torskiego, jego powiernika i doradcę.

Rozmowa z nim potwierdziła domysły panny Wandy. Od roku przeszło interesa Torskiego były zachwiane. Ostatnimi czasy, skutkiem przewrotów w kraju i ogromnego zastoju w fabrykach, katastrofa stawała się nieuniknioną. Pan Andrzej walczył wciąż i wierzył, że sobie poradzi, a chociaż poniesie wielkie straty, jednak do ruiny nie dopuści. Wobec choroby jego i prawdopodobnej śmierci o ratunku majątku mowy być nie mogło.

Na szóstą wieczór naznaczone było konsyljum. Wszystkie znakomitości lekarskie miały się zebrać na tę godzinę przy łożu chorego, który obojętny na wszystko, z przymkniętymi oczyma leżał, ciężko dysząc. Przytomności nie odzyskał na chwilę jedną mimo wszelkich zabiegów i starań ludzi nauki.

Panna Wanda z niepokojem wpatrywała się w śledzącego puls lekarza.

Odczuł jej wzrok i spojrzał na nią.

Był to człowiek młody, gorąco kochający swój zawód i pracujący pilnie. Do Torskiego miał głębokie przywiązanie. Przed kilku laty, gdy pan Andrzej był u szczytu finansowej potęgi, dostał list od młodego chłopca, który świeżo złożył maturę, a nie miał o czem kształcić się dalej.

Nieznajomy młodzieniec zwracał się do bogatego przemysłowca z prośbą o pomoc, nie o darowiznę wszakże, lecz o pożyczkę.

Listów podobnych przychodziło sporo, a wiele z nich zostawało bez odpowiedzi. Tym jednak razem ton listu tchnął prawdą i mocą. Ten, kto to pisał, musiał rzeczywiście potrzebować i w dodatku czuło się, że odda grosz pożyczony. Wiedział, że potrafi zdobyć go swą pracą, i wyraźnie prosił o dopomożenie mu w zdobyciu potrzebnej wiedzy.

I pan Andrzej żadaną kwotę posłał, a potem o niej zapomniał.

Przed rokiem odebrał kartę wizytową. „*Doktor Tadeusz Kępa prosi o chwilę rozmowy w osobistej sprawie*” — stało na niej wyraźnie.

Nazwisko wydało mu się znane, lecz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i gdzie je słyszał.

— Przyszedłem zwrócić szanownemu panu zaciągnięty u niego dług — rzekł wchodząc doktor Kępa.

I teraz jeszcze nie mógł sobie pan Andrzej przypomnieć. Wszak niejednemu dawał.

Doktor położył przed nim pieniądze i powiedział datę zaciągniętej pożyczki, a widząc, że mimo to pan Andrzej nic sobie nie przypomina, dokładnie objaśnił:

— Szanownemu panu wolno było zapomnieć, mnie niepodobna. Pieniądze te, zawierzone mi tak chętnie, bez żadnych zastrzeżeń, podwójnie dopomogły mi do ukończenia nauk. Raz dlatego, że dzięki im nie potrzebowałem myśleć o tem, z czego będę żył, a powtórę, myśl, że je zwrócić muszę, bodźcem mi była do pracy usilnej. Podwójnie więc wdzięczny jestem panu.

Od tego dnia zawiązała się znajomość między tymi dwoma ludźmi. Pan Andrzej dzięki swym stosunkom wyrobił posadę młodemu lekarzowi w jednym z warszawskich szpitali, a przez to ułatwił mu asystenturę przy najślawniejszym lekarzu w mieście.

Wdzięczny za tę pomoc Kępa odpłacał się coraz większem przywiązaniem; na wieść o chorobie przemysłowca pośpieszył natychmiast do jego łoża, a nie ufając sobie, wezwał do pomocy największą warszawską znakomitość.

Obaj zaś zwołali konsyljum, na które czekano.

Kępa, również jak i panna Wanda, drżeli o życie pana Torskiego. W spojrzeniu jego wyczytali bezgraniczny smutek.

Straszne widmo śmierci kładło już bezlitosną dłoń.

Zegar wybił szóstą. A jednocześnie do pokoju chorego weszli lekarze.

Długa była ich narada, na jedno zgodzili się wszyscy: stan wyjątkowo groźny, spowodowany silnem wyczerpaniem.

Kępa postanowił nie odstępować chorego, walczyć do ostatka o życie jego.

A tu z każdą chwilą walka stawiała się trudniejszą, coraz słabsze tętno serca, coraz większy upadek sił.

Panna Wanda zapytała lekarza, czy chory дочека przyjazdu dziecka.

Pociąg przychodził koło północy.

Kępa spojrzał na nią i głowę spuścił.

— Czy ja wiem? Czy my wszyscy cośkolwiek wiemy? — szepnęła. — Taki żelazny organizm! Nadludzką musiała być praca, która tak odrazu go powaliła. W podobnych wypadkach cała wiedza lekarska niewiele zdziałać potrafi, a każda chwila stanowić może o życiu lub śmierci. — Walczyć będą do ostatka.

... ..

Ciężka była chwila, kiedy panna Wanda musiała powiedzieć Bronce o chorobie ojca.

Rozmyślnie nie wspominała o tem w telegramie, nie chcąc dziecka niepokoić i męczyć stra-

chem przez cały czas podróży. Dziewczynka więc jechała zupełnie spokojna i wesoła, myśląc, że wraca do ojca. O chorobie jego dowiedziała się dopiero na dworcu.

— Trzeba, Bronko — mówiła, jadąc z nią powozem panna Wanda — byś była zupełnie spokojna. Tatus ciężko zachorował; lepiej mu będzie z pewnością, gdy swą dziewczynkę będzie miał przy sobie. Ale trzeba, by dziewczynka była rozsądna, nie płakała, nie wołała głośno przy chorym, bo lekarze zalecają wielki spokój i ciszę.

— Ale tatuś nie umrze? — zapytała dziewczynka ze łzami. — Ciociu, powiedz, prawda, on nie umrze?...

Serce panny Wandy ścisnęło się boleśnie. Nie miała sił powiedzieć prawdy.

Bronka wybuchła strasznym płaczem.

— Bóg dobry — szeptała uspokajająco ciocia — prosić Go trzeba o życie ojca, Bronko, On wszystko może.

Dojechały do domu.

Z bijącym sercem wchodziły obie na schody. W przedpokoju spotkał je lekarz. Znała go Bronka i wyciągnęła ręce ku niemu.

— Panie doktorze, wyleczysz pan tatusia, prawda? on wyzdrowieje?

— Cicho, cicho — szeptał lekarz — nie trzeba płakać, bo to tatusiowi zaszkodzi.

I powiódł ją sam do chorego, upominając, by była cicha i spokojna. Panna Wanda szła za nimi.

Kto wie, czyby Bronka poznała swego ślicznego, silnego tatusia, gdyby ją niespodzianie wprowadzono do chorego, nie uprzedziwszy poprzednio. Tak dziś niepodobny był pan Andrzej do siebie. Szerniał, wysechł i zestarzał w ciągu tych kilkunastu godzin.

Oczy miał wciąż zamknięte.

Doktor podszedł do łóżka, trzymając drżącą rękę Bronki w swojej i pochylając się nad chorym, rzekł wyraźnie i głośno:

— Bronka przyjechała. Czy pan słyszy? Bronka jest tu.

Chory nie drgnął, nie otworzył oczu.

— Przemów do tatusia — mówił lekarz do dziewczynki.

A ona, jak ptaszę zranione, rzuciła się z łkaniem ojcu na piersi, wołając żałośnie:

— Tatusiu, mój tatusiu!

I ojciec usłyszał głos dziecka.

Otworzył oczy, wyciągnął ręce i zawołał silnym głosem:

— Bronka! Królowna moja!

Łkanie Bronki rozległo się w całym pokoju.

Serca otaczających zabiły żywiej.

A chory ręką przycisnął głowę dziecka do piersi i, patrząc na nią, szepnął:

— Wanda... Bronka...

Były to jedyne i ostatnie jego słowa...

Gdy jasny świt zajrzał do okien, biedna królowna była już sierotą.

W pałacyku przy Alei Róż zapanowała grobowa cisza. Odszedł człowiek, który tu był wszystkim, wraz z jego śmiercią stanęło życie.

Większą część pokoi: sypialnię, gabinet, biura i salony pana Torskiego zamknięto. Służbę odprawiono.

Panna Yveta wyjechała do Francji.

Nad chorą Bronką czuwała panna Wanda.

Guścia bowiem od powrotu do pałacu, to jest od śmierci pana Andrzeja, zmieniała się do niepoznania, nie troszczyła się jak dawniej o swą wychowanicę, chodziła chmurna po pokojach, wzdychając i popłakując nad swoją ciężką dolą.

Nieprzytomną Bronkę przywiozła panna Wanda z pogrzebu ojca — i od tej chwili dziewczynka nie otworzyła oczu, nie odzyskała przytomności. Wraz z panną Wandą nad jedynaczką pana Andrzeja czuwał troskliwie Kępa.

Biedna mała królowna zrywała się nieprzytomnie z krzykiem: „Tatusiu! Tatusiu!” Chciała biec do ojca, zaliła się, że o niej zapomniał, płakała, to znowu opowiadała mu o Bronkowie, o swoich tam zabawach.

Panna Wanda z niepokojem patrzyła na drobną, wyniszczoną jej twarzyczkę i wzrok badawczy zwracała wciąż na Kępę, ilekroć młody lekarz pochylał się nad dziewczynką. Nic jednak pomyselnego nie mogła wyczytać ze wzroku Tadeusza.

Oboje walczyli o życie dziecka.

A tymczasem prawnicy robili narady nad stanem majątkowym zmarłego.

Przedstawiał się on smutno. Ciężkie wypadki krajowe odbiły się fatalnie na przemyśle polskim. Torski jako wybitny przemysłowiec ucierpiał ogromnie. Gdyby żył, może przy jego niestrudzonej pracy i żelaznej energii znalazłby się środek ratunku. Miano do niego zaufanie w kraju i u obcych, uzyskałby więc z pewnością kredyt i powoli uratował przedsiębiorstwo.

Wobec śmierci ruina była zupełna, o ileby nie znalazł się jakiś człowiek zdolny, energiczny, z dużym kapitałem. Ale takiego nie było.

Na pogrzeb pana Andrzeja zjechał jedyny krewny jego, brat stryjeczny, pan Karol Torski. Mieszkał on stale w Kaliszu, ze zmarłym stosunków bliższych nie utrzymywał. Przed laty wprawdzie pan Andrzej dopomógł mu w pewnym przedsiębiorstwie i potem parę razy jeszcze pomagał kredytem i poręczeniem w bankach, ale poza interesami krewnych nic nie łączyło. Wytworny, wszechstronnie wykształcony pan Andrzej był przytem człowiekiem wielkiego serca, zacnym i ofiarnym na wszelkie sprawy społeczne. Zawsze uważał, że majątek powinien być nato, by nie tylko żyć samemu wygodnie, ale też by wzbogacać nim społeczeństwo, podawać rękę pomocną ubogiej młodzieży, wspierać szkoły i instytucje krajowe, ocierać łzy nieszczęśliwym.

Pan Karol miał wręcz odmienne zasady.

— Mój majątek — mówił zawsze — jest moją wyłączną własnością, i nikomu nic do niego. Nie

poto pracuję od rana do nocy, bym potem wspierał wszelkiego rodzaju żebraków. Pracujcie wszyscy, a będziecie mieli, tak jak i ja mam.

Taką mając zasadę, trzymał się jej wiernie przez całe życie. Majątek obecnie miał olbrzymi, bo ożenił się z panną bardzo bogatą, i oboje pilnowali skrzętnie, by się jeden grosz z ich funduszu gdzieś nie zapodział po świecie.

Z prawa pan Karol miał być opiekunem Bronki.

Myśl ta prześladowała pannę Wandę od chwili, gdy na pogrzebie zobaczyła po raz pierwszy stryjecznego brata pana Andrzeja. Myślała o tem i obecnie, siedząc przy łóżku rzucającej się w gorączce dziewczynki.

— Jaki los czeka cię, królewno — mówiła w duchu — w domu nieużytego stryja i podobnej mu stryjenki? Jakie upokorzenia staną się twym udziałem?

Cicho otwarły się drzwi, i do pokoju wszedł doktor. Przyjeżdżał teraz często nocą.

— Znowu czuwasz pani? — szepnęła — którąż to noc spędzasz bezsennie? Należałoby pomyśleć o sobie.

Panna Wanda wskazała na chorą.

— Nie mogę zostawić dziecka samego — odparła.

— A jej wychowawczyni? — zapytał lekarz. — Wszak zdawało mi się, że jest bardzo do Bronki przywiązana.

Panna Wanda wzruszyła ramionami.

— Zapowiedziała mi, że jest bardzo znużona i że nie może nocami czuwać — odrzekła. — Żądała wzięcia pielęgniarki.

— Ha, jeśli tak — rzekł Tadeusz — to ja dziś tu czuwam, pani musi się przespąć. Jutro o dziesiątej rano zbierze się rada familijna, na której pani musi być w interesie dziecka. Proszę zatem iść położyć się.

A widząc, że panna Wanda jeszcze się ociąga, dodał:

— Proszę panią usłuchać mnie. Jeszcze niejedną noc przepędzi pani przy Bronce.

Odprowadził pannę Wandę do drzwi sąsiedniego pokoju, poczem wrócił do łóżka dziecka.

Bronka leżała w gorączce, co chwila wyciągała drobne rączyny, jakby broniąc się przed czemś i odpychając kogoś ze strachem.

Kępa położył jej zimny okład na głowę, zwilżył spalone gorączką usta i zatonął w myślach. I on, jak przed chwilą panna Wanda, zastanawiał się, jaki też los spotka jutro sierotę.

— Uratuję cię — mówił patrząc na dziewczynkę — wyrwę z rąk śmierci, ale czy tem samem dam ci szczęście? Czy mi tego kiedyś wymawiać nie będziesz? Królowno ty, pieszczona dziecino szczęścia, jutro oto do bogatego stryja pójdziesz, by tam wysługiwać się jego dzieciom.

Kępa poznał przy łóżku Bronki pana Karola, wstręt w nim wzbudził ten dorobkiewicz, dla którego jedynem bożyszczem był pieniądz.

— Co oni z nią zrobią? — myślał.

Nazajutrz o dziesiątej rano w gabinecie mecenasa Stoińskiego, najwybitniejszego prawnika w Warszawie, wobec liczного grona przemysłowców, oraz rodziny p. Andrzeja — pana Karola Torskiego i panny Wandy Kańskiej — omawiano sprawę interesów zmarłego przemysłowca.

Ruina była zupełna. Tylko przez sprzedaż pałacyku przy Alei Róż oraz Bronkowa można było ocalić dobre imię pana Andrzeja i spłacić tych ludzi, którzy chcąc mu dopomóc, w ostatniej już chwili powierzyli mu swoje kapitały. Wszystkie fabryki i przedsiębiorstwa padały. Z olbrzymiego majątku nie pozostawało literalnie nic.

— Chyba — kończył mecenas swe smutne sprawozdanie, — że jest ktoś z pośród przyjaciół lub rodziny zmarłego, który mając duży kapitał, zechce pracować nad uratowaniem tego funduszu. Byłby to czyn prawdziwie piękny i obywatelski, bo znaliśmy wszyscy pana Andrzeja, wiemy, że nie karty, hulanki lub inne podobne rzeczy spowodowały tę ruinę. Przemysł nasz w ostatnich latach przechodził ciężki kryzys, niejedno przedsiębiorstwo padło. Tu byłby sposób ocalenia, gdyby nie śmierć jego nagła, która zniszczyła ostatecznie wszystko. Śmierć ta ruiną jest dla setek ludzi, którzy w przedsiębiorstwach Torskiego byli zatrudnieni. To też ten, kto ocali interesa pana Andrzeja, tem samem ocali istnienie wielu obywateli naszego kraju. Ochroni ich od ostatecznej nędzy.

Mówiąc to mecenas, spojrzał w stronę pana Karola, ale ten się nie ruszył.

Zapanowało milczenie w gabinecie.

— Pan dobrodziej jako jedyny krewny zmarłego ma tu głos decydujący — zwracając się już teraz wyraźnie w stronę kapitalisty, mówi prawnik.

Pan Karol ręce rozłożył, westchnął głęboko i odrzekł:

— Niestety, panie łaskawy, nic tu poradzić nie umiem i nie mogę. Mam dzieci własne, osobiste sprawy i zobowiązania, a wobec ciężkiego położenia w kraju któż z nas pewnym może być jutra? Ani prawa, ani możliwości nie mam wchodzić w interesy zawikłane i obce mi zupełnie.

Zebrani spojrzeli ze smutkiem po sobie. Ostatnia deska ratunku zawiodła, a wielu wśród nich związanych było ściśle wspólnymi interesami z panem Andrzejem i ponieśli dotkliwe straty.

— Więc nie pozostaje nic innego, jak ogłosić upadłość majątku Torskiego? — zapytał mecenas.

Panna Wanda spojrzała na pana Karola.

Czyż ostatecznie nie przypomni on sobie, co był winien zmarłemu, czyż nie pomyśli o jego dziecku?

Ale tamten był niewzruszony.

— Fortuna kołem się toczy — rzekł — a my przemysłowcy zawsze na tę ostateczność przygotowani być musimy.

Posiedzenie w sprawie interesów było ukończone. Obcy wyszli.

Został tylko prawnik i rodzina.

— Pozostaje kwestja opieki nad dzieckiem pana Andrzeja — mówił znowu mecenas. — Dziewczynka ma lat dziesięć, zostaje zupełną sierotą, jednocześnie straciła całkowity majątek po ojcu. Ma wprawdzie mały posąg matki, pięć tysięcy rubli, który to kapitał złożony był zaraz po śmierci pani Torskiej w banku, i klejnoty również matki, które do likwidacji nie idą. Na to wszystko mam kwity u siebie, gdyż zmarły po śmierci żony u mnie je złożył. Opieka nad dzieckiem z prawa należy do pana dobrodziejstwa i pani — kończył prawnik.

— Od tego nie usunę się, mój łaskawco — rzekł pan Karol — i będę się starał tak wychować moją bratanicę, by umiała i mogła sama sobie w życiu radzić. Pieszczona była straszliwie przez ojca, przyzwyczajona do zbytku i wielkich wygód. Wszystkiego tego życie jej nie da; dlatego sędzę, że należy przedewszystkiem zmienić wszystkie warunki dotychczasowego wychowania. Musi przejść szkołę życia, któraby z niej zrobiła kobietę praktyczną i pracowitą, nie zaś lalkę. Narazie zabierzemy ją z żoną do siebie, potem obmyślimy, gdzie, w którym zakładzie należałoby ją umieścić.

— Pan dobrodziej ma również córki? — zapytał prawnik. — Czy chowają się w domu?

— O nie, już od dwóch lat są w zakładzie w Dreźnie. Wychowanie to jednak jest bardzo kosztowne i niepodobna mi Bronki tak kształcić. Zdaje mi się też, że z jej przyzwyczajeniami byłoby to nawet szkodliwe. Stanowczo byłbym za wychowaniem jej w kraju.

Panna Wanda milczała, mecenas na ostatnie słowa pana Karola skłonił głowę na znak zgody.

— Ciesz się, że i łaskawy pan podzielił moje przekonania. Wobec zaś tego, że nieodżałowanej pamięci krewny mój wiele świadczył na cele społeczne i niejednemu zakładowi wychowawczemu dopomógł, sądzę, że nietrudno będzie uzyskać dla córki jego stypendjum w jednym z zakładów warszawskich.

Łuna przeleciała po twarzy panny Wandy.

— Pozwolą mi panowie — rzekła podnosząc się — zabrać głos. — Jestem najbliższą krewną matki Bronki i jako taka mam moralny obowiązek zaopiekować się jej dzieckiem, tem bardziej, że i wolą jej ojca było, o czem wie pan mecenas, bym objęła kierunek wychowania Bronki. W obecnej chwili dziecko walczy ze śmiercią, o zabieraniu jej na wieś, a tem bardziej umieszczeniu w którymś z zakładów mowy być nie może. Proszę więc o powierzenie mi opieki nad córką mojej kuzynki, a celem mojego życia będzie wychowanie jej, o ile żyć będzie, na pożytecznego członka społeczeństwa.

Sędziwy mecenas podniósł się z miejsca, które zajmował przy biurku, i wyciągając rękę do Wandy, rzekł z szacunkiem:

— Imieniem zmarłego mojego klienta składam pani serdeczne podziękowanie za tę chęć. Pod tak rozumną i zacną opieką Bronka wyrośnie na porządną dziewczynę. Pewny tego jestem. Czy tylko nie za ciężkie będzie zadanie dla pani? Czy obliczyłaś się pani z siłami?

Panna Wanda uśmiechnęła się.

— Panie mecenasie — rzekła — życie przynosi nam nieraz niespodzianki i obowiązki, które musimy podejmować. Ten obowiązek nie spadł na mnie tak bardzo niespodzianie, jak się panom zdaje. Stosownie do umowy z panem Andrzejem, w przyszłym roku miałam sprowadzić się do Bronki i zająć się wyłącznie jej wychowaniem. Role zmieniają się; nie ja do niej, lecz ona przyjdzie do mnie. Może to i lepiej dla nas obu. Dziecko nie przywyknie do zbytku, zrozumie łatwiej obowiązki, jakie ma względem społeczeństwa, a i moja praca łatwiejsza będzie, gdy zostanę na swym gruncie. Pozostaje mi tylko uzyskać pozwolenie łaskawego pana, jako głównego opiekuna Bronki — dodała zwracając się do pana Karola.

— Pani najłaskawsza — odrzekł z nieukrytą radością pan Karol — ależ ja naprawdę ze względu na Bronkę tylko szczęśliwym być mogę. Gdzież dziecku mojego brata mogłoby być lepiej, jak nie w domu osoby, którą oboje rodzice wybrali jej na opiekunkę. Pozwoli pani jednak, że ja jako opiekun nie zaniecham również mych obowiązków i na ręce czcigodnego pana mecenasu składać będę co roku pewną sumkę na osobiste potrzeby dziecka. Nie mogę pozwolić, byś pani to wszystko brała na siebie.

Zamilkł, uważając, jakie to robi wrażenie na obecnych, a potem dodał:

— Podzielić się musimy ciężarami.

Po mądrej twarzy mecenasa przebiegł lekki uśmiech.

Panna Wanda milcząco skinęła głową, poczem wymówiwszy się koniecznością powrotu do chorej, pożegnała obu panów.

Przy łóżku Bronki zastała Kępę.

— I cóż? — zapytał.

W paru słowach opowiedziała mu wszystko.

I on jak mecenas ucałował jej ręce.

— Bierze pani ciężkie zadanie — mówił — ale tylko pani mogła się tego podjąć. Drżałem na myśl, że dziecko zostanie pod opieką dorobkiewicza.

— Czy jednak uratuje ją pan? czy aby jest nadzieja utrzymania jej przy życiu?

— Robię wszystko co jest w mocy ludzkiej — odrzekł Kępa — dziś jeszcze urządzę konsylium, wezwę dwóch specjalistów, niech zbadają chorą i orzekną, jaką kurację należy tu stosować. Naradę tę uważam za konieczną i z tego względu, że wobec ogłoszenia upadłości należy dziecko co rychlej stąd zabrać.

.

Długie dni upłynęły od chwili, gdy panna Wanda objęła opiekę nad sierotą.

Opadły już całkiem liście z drzew, jesienne mgły otuliły ziemię, a Bronka wciąż jeszcze nie wiedziała, co się koło niej dzieje.

Aż pewnego grudniowego dnia zbudziła się po dłuższym śnie i przytomnemi oczyma rozejrzała się dokoła. Nie poznawała swego mieszkania. Na

ścianach wprawdzie wisiały znane jej obrazki, wprost łóżka, wśród zieleni patrzyła na nią słodka twarz matki, w kątku ułożone były jej ulubione zabawki. Ale pokój był inny zupełnie, nie było tu ani szafirowych zasłon u okien, ani firanek, ani ładnej marmurowej umywalni ze srebrną miednicą i dzbankiem, ani kanapki i małych fotelików, nic, nic z tego, co zawsze było w jej pokoju.

— Gdzież więc jest, chyba w Bronkowie?

Podniosła główkę i spojrzała w okno.

— Nie, to nie Bronków, tu drzew niema dokoła, tylko dachy i kominy.

A taka głowa ciężka.

Chciała zawołać Guścię lub mademoiselle Yvette, ale oczka jej się zamknęły i podnieść powiek nie może.

Ktoś wszedł do pokoju, to pewno tatuś, on tylko tak chodzić umie.

— Tatusiu, chodź tu — szepnęła napoty przez sen.

Gdy się po raz drugi zbudziła, przy łóżku jej stał doktor Tadeusz Kępa.

— Wyspaliśmy się — rzekł z uśmiechem, biorąc wychudzoną rączkę dziewczynki.

W tejże chwili weszła ciocia Wanda.

— Gdzie ja jestem? — zapytała Bronka.

— U dobrej wróżki — zaśmiał się doktor — zna Bronka tę bajeczkę. Była raz jedna królewna, położyła się spać w swym łóżeczku, we własnym domu i usnęła, a tymczasem wróżka, która mieszkała niedaleko, chciała mieć królewnę u siebie,

zwołała swoich duszków i kazała królowną przenieść do swego domku. Duszki były małe, więc się ich zebrała moc wielka i wzięli królowną z łóżkiem i przynieśli do wróżki. I jest królowna w gościnie. Ot, jaka to bajka prawdziwa.

— A jak królowna zechce wrócić do swego pałacu, to ją duszki odniosą? — zapytała z ciekawości Bronka.

— Pewno, pewno, że odniosą, jeżeli królowna zechce, a wróżka pozwoli — odparł doktor — ale teraz trzeba nam coś zjeść.

— Królowna jest bardzo głodna — śmiała się Bronka.

Niewiele jednak jeść mogła i znowu spała, a właściwie leżała cichutko.

Powoli wracały siły, a wraz z nimi świadomość rzeczy przeszłych.

Spląkała się mocno Bronka, gdy ostatecznie przypomniała sobie śmierć ojca, a jednocześnie zaczęła prosić, by jej pozwolono wrócić do domu. Nie wiedziała biedaczka, że dom ten ukochany był już cudzą własnością.

— Czemu niema przy mnie, ciociu — mówiła — ani panny Yvety, ani Guści? Niech przyjdą, ja chcę, poslij po nie, ciociu. — Niech mnie zabiorą do domu, do mego domu — powtarzała bezustanku.

Była tak słaba jeszcze, iż niepodobna było odłonić jej całej prawdy. Powiedziała więc jej tylko panna Wanda, iż Francuzka odjechała do Francji, wezwana przez swą rodzinę. A Guścia nie może przyjść do niej, bo sama chora.

— A kiedy ja tam wrócę? — pytała co chwila dziewczynka.

— Czy ci tu źle, Bronko? — odpowiadała panna Wanda. — Nie możesz przecie mieszkać sama w takim dużym domu, cóżbyś tam jedna robiła? Tu chyba źle ci nie jest?

Ale Bronka uparcie wołała o powrót do domu.

— To tatusia dom — mówiła — a jak tatusia niema, to mój, i ja tam chcę mieszkać. Tam ładniej, niż tu. Tu ciągły turkot z ulicy, krzyczą pod oknami, a tam tak cicho. Ty lepiej, ciociu, przenieś się tam do mnie.

Kłamstwo wszelkie wstrętne było pannie Wandzie, powiedzieć jednak narazie całej prawdy nie mogła dziecku.

Odłoniła ją dopiero w parę tygodni, gdy już doktor orzekł, iż Bronka jest dość silna.

— To nieprawda! — zawołała dziewczynka, wysłuchawszy ostrożnego opowiadania o tem, iż piękny pałacyk przy Alei Róż nie jest jej własnością. — Jakto, ciociu, tatko umarł, a ty pozwoliłaś, żeby mój dom zabrali źli ludzie?

— Bronko — tłumaczyła panna Wanda — to nie ludzie źli zabrali ten dom, twoim on nie był, bo były długi twego tatusia i trzeba było je zapłacić.

Ale Bronka nie słyszała nigdy o żadnych długach, wiedziała o tem, że tatuś był bardzo bogaty, wszak i sam to mówił, a on nie kłamał nigdy i powtarzali to wszyscy. Panna Yvette opowiadała jej, że we Francji dawno, dawno temu było dużo ludzi złych, którzy od wielkich panów zabierali pałace,

a ich samych wypędzali albo nawet zabijali. Pamiętała dobrze tę książkę, którą jej czytała panna Yvette, o małych dzieciach, co to musiały uciekać z pięknego pałacu i chronić się gdzieś w starym klasztorze, bo źli ludzie zabrali im wszystko i jeszcze je zabić chcieli. Płakała, słuchając tej opowieści. A teraz tak samo z nią zrobiono.

I zanosila się od płaczu.

A gdy panna Wanda uspokajała, pieściła ją i mówiła, że przecie tu ma dom, że będzie jej córeczką i będą razem żyły szczęśliwie, Bronka wybuchnęła:

— Jak Szymonowa i ja teraz nie mam domu swego!

Wieczorem dostała gorączki.

Przyjechał Kępa i kazał położyć ją do łóżka.

Po kilku dniach gorączka minęła, ale pozostało silne osłabienie i ogólna niemoc.

Nie płakała wcale, nie narzekała już teraz, tylko zacięła się w milczeniu. Całe dni siedziała przy oknie, cicha i obojętna na wszystko, co się dokoła niej działo.

Panna Wanda musiała wrócić do lekcji przerwanych chorobą Bronki. Wzięła ich teraz nawet więcej, niż poprzednio. Całe zatem dni zajęta była.

Nie chcąc jednak dziewczynki samej zostawiać, sprowadziła do niej znajomą jej z dawnych lat Anię Żelską.

Gdy jednak po raz pierwszy Ania przyszła odwiedzić Bronkę, ta przyjęła ją milcząco, obojętnie,

przemówiła zaledwie parę słów i wyszła do drugiego pokoju i tam siedziała aż do odejścia Andzi. Musiała więc panna Wanda sama zająć się gościem. Nie chcąc zaś w niczem wywierać przymusu na Bronkę, nic jej nie powiedziała, nie zwróciła uwagi na całą niewłaściwość jej postępków.

Ania przyszła jeszcze parę razy, lecz przyjęta znowu w podobny sposób, usunęła się wkońcu.

Zostawała więc Bronka sama całe dni w pokoju i, siedząc przy oknie, obojętnie patrzyła na białe płatki śniegu, padające na bruk i chodniki.

Na kolanach trzymała dużą lalę, dawny dar od tatusia, wspomnienie dobrych, wesołych dni. Lalka była jedyną jej powiernicą. Przed nią skarżyła się dziewczynka, jej jednej opowiadała o tem, że tatuś umarł, a źli ludzie wyrzucili je obie z domu, i oto nie mają już nic swego, żyją, jak Szymonowa, z łaski cioci Wandy.

Do cioci tej żal też wielki miała Bronka.

— Dlaczego? czemu pozwoliła zabrać wszystko tamtym? Wszak to była własność jej, Bronki, i ciocia powinna była na to nie pozwolić.

Siły nie wracały mimo starań lekarza i troskliwej opieki, jaką dziecko było otoczone.

Kępa wpadał często i on jeden tylko umiał wywołać uśmiech na bladą twarzyczkę Bronki.

Z nim rozmawiała chętniej, weselej, niż z panną Wandą, a ta widząc niechęć dziecka do siebie, nie narzucała się jej ani ze swemi pieśczętami, ani zbytnią rozmową, której Bronka unikała wyraźnie.

Niemniej cierpiała nad tem wszystkim i panna Kańska.

— Dusza tego dziecka chora — mówił Kępa — a tę chorobę uleczyć najtrudniej.

.....
Zabrzmiął znany dzwonek w przedpokoju — Bronka porwała się od okna i pobiegła otworzyć.

Wiedziała, kto przychodzi, a dziś bardziej niż kiedykolwiek stęskniona była do ludzi.

Ciocia cały ranek dawała lekcje w mieście, a od obiadu uczyła w domu. Bronka siedziała sama, tylko z poza zamkniętych drzwi dochodziły ją oderwane zdania i wyrazy.

Do przedpokoju wpadł doktor.

— Już drzwi otwieramy! — zawołał, zrzucając z siebie futro. — Znudziliśmy się wiecznem siedzeniem w pokoju. Doskonale, bo właśnie przychodzę zawiadomić, że mam niespodziankę na jutro.

— Niespodziankę! — powtórzyła dziewczynka. — A czemuż nie na dziś, lecz na jutro dopiero? Ja chcę dziś!..

— Nie, nie — odrzekł doktor — moja niespodzianka będzie dopiero jutro. Dziś już późno, latarnie zapalają, mrok pada, a moja niespodzianka wtedy się tylko uda, gdy będzie słońce i pogoda.

— A jak będzie deszcz? — pytała dziewczynka. — To co wtedy będzie?

— To ucieknie niespodzianka — odparł śmiejąc się doktor — bo ona lubi słońce i pogodę.

— A ja chcę wiedzieć — mówiła Bronka — co to będzie jutro?

— Wtorek — zawołał doktor — a co więcej, to nie powiem.

Weszła panna Wanda, doktor został na herbach, grał z Bronką w warcaby i siedział cały wieczór, a wychodząc, powtórzył:

— Jutro wtorek, godzina jedenasta, stawiam się z niespodzianką.

— A jak nie będzie słońca? — wołała Bronka.

— Będzie, będzie — odrzekł, wychodząc — zamówiłem już słońce i mróz u aniołków, obiecali, że jutro sypać nam śniegiem nie będą.

Odszedł, a Bronka weselsza niż zazwyczaj poszła spać.

Nazajutrz rzeczywiście była pogoda. Słońce jasno świeciło, mróz ściał śnieg i sanna była wysmienita. Uwijały się też sanki po ulicach Warszawy, wesoło pobrękując dzwoneczkami.

Bronka od rana czekała zapowiedzianej niespodzianki. Uderzyła wesoło w dłonie, słysząc na schodach znane kroki.

— Niespodzianka, gdzie niespodzianka?! — wołała, wybiegając na powitanie Tadeusza.

— Stoi przed bramą i czeka — odrzekł doktor, witając się z panną Wandą. — Niech się Bronka przedziutko ubiera, jedziemy saniami w Aleje.

Dziewczynka skoczyła z radości, spacer w saniach należał do jej przyjemności.

— A czy ciocia pozwoli? — spytała, zwracając się do panny Wandy, i naraz posmutniała, coś so-

bie przypomniawszy. — Nie, ja nie mogę jechać — rzekła cichutko.

— Nietylko, że możesz, ale i musisz — odpowiedziała panna Wanda. — Doktor zaleca ci spacer, jako rzecz konieczną dla twego zdrowia. Chodź się ubrać.

— Ale kiedy, ciociu — szepnęła dziewczynka — ja nie mogę... doprawdy... sama wiesz...

Panna Wanda w odpowiedzi dostała z szafy futerko, czapkę i kołnierz.

Wszystko było świeże, starannie i z ładnego materiału zrobione.

Wzruszyła się tym widokiem Bronka.

— Ciociu — szepnęła — jaka ty jesteś dobra, myślałam, że nie mam w co się ubrać.

— Moja dziecina nie miała rozumku — odrzekła z uśmiechem ciocia — kiedy tak myśleć mogła. Byłaś chora i dlatego dałam ci zrobić ciepłe ubranie bez twej wiedzy.

Kępa wołał o pośpiech.

Pierwszy ten wyjazd z domu dobrze zrobił dziewczynce. Zaróżowił jej bladziutką buzię, rozweselił oczęta.

Jeżdżono odtąd codziennie. Przeważnie spacer odbywały się we trójkę, czasami jednak obowiązki zatrzymywały doktora, wtedy Bronka jechała z panną Wandą. Czasem też panna Wanda miała lekcje i Bronka jechała tylko z doktorem.

Kępa cieszył się pomyslnym zwrotem, jaki zaszedł w zdrowiu dziewczynki: wyglądała znacznie

lepiej, była weselsza, ruchliwsza, zdawało się, że niedługo powrócą jej dawne siły i wesołość.

Pewnego dnia lekcje zatrzymały pannę Wandę w domu, i Bronka sama z doktorem pojechała na spacer.

Szybko mknęły sanki po alejach łaźniokowskich, dziewczynka wesoło rozmawiała z doktorem, gdy wtem na zbiegu dwóch ulic sanie skrzyżowały się z otwartym powozem.

Siedziała w nim pani z dwiema dziewczynkami.

— Jania! — zawołała Bronka, podnosząc się z siedzenia. — Jania! Zosia!

Ale tamte nie słyszały i nie poznały przyjaciółki. Powóz pojechał w przeciwną stronę. Trwało to jedną sekundę zaledwie, i Kępa nie dojrzał nic, nie posłyszał nawet okrzyku dziewczynki. Patrzył właśnie w inną stronę.

— Ja chcę wrócić do domu — rzekła Bronka, zwracając ku niemu twarzyczkę.

Przeląkł się jej wyrazu.

— Co ci jest, Broneczko? — zapytał z niepokojem w głosie. — Dlaczego chcesz wracać? Czas mamy śliczny.

— Ja chcę wrócić do domu — powtórzyła dziewczynka i nagle rozplakała się w głos.

Kępa kazał zawracać, niespokojny i przerażony.

Próbował zażartować.

— Kapryśną jest moja królewna... — zaczął, ale przerwała mu.

— Nie, nie mów tak, nie nazywaj mnie królową, tak nie można, nie można — mówiła łkając. — Nie trzeba tak nigdy już do mnie mówić.

Smutno zakończona przejażdżka była ostatnią. Nigdy już nie zgodziła się Bronka jechać w Aleje i do Łazienek. Wychodziła tylko pieszo i to nie-daleko. Jednocześnie zaś zginęła jej wesołość i swoboda.

Ani doktor ani panna Wanda nie dowiedzieli się od niej, dlaczego wówczas zawołała o powrót i następnie tak nagle posmutniała.

Minęła zima i wiosna, nadeszło upalne lato, i panna Wanda wyjechała z Bronką na wieś w okolicy Warszawy.

Dziewczynka była pozornie zdrowa, trochę się nawet poprawiła, mimo to jednak ani doktor, ani panna Wanda nie cieszyli się tem polepszeniem.

— Jedno mogłoby ją tylko uleczyć — powiedział Kępa do panny Wandy — zupełna zmiana warunków życia. Należałoby wywieźć ją stąd, odebrać od wszelkich wspomnień; to tylko mogłoby zbawiennie na nią oddziaływać, ale środek ten jest niewykonalny.

Panna Wanda nic narazie nie odpowiedziała, myślała jednak wciąż o tych słowach. Myślała, rozmyślała, układała różne plany, aż pewnego dnia rzekła:

— Wiesz, Bronko, mam ochotę nie wracać do Warszawy...

Dziewczynka podniosła na nią zdumione oczy.

— Nie wracać do Warszawy? — powtórzyła. — A to czemu? czy zostaniemy tu, ciociu, na wsi? Panna Wanda potrząsnęła przecząco głową.

— O, nie — odpowiedziała — na wsi nie zostaniemy, bo i cóżbyśmy tu robiły? Ty musisz uczyć się, ja zaś pracować, na wsi więc zostać nie można. Pojedziemy do jakiegoś innego miasta, może i kraju.

— Do Szwajcarii jedźmy, ciociu — zawołała dziewczynka, która Szwajcarię znała z dawnego tam pobytu. — Jedźmy, ciociu, do Szwajcarii.

Ale panna Wanda o Szwajcarii nie myślała.

— Bezwątpienia — rzekła — że Szwajcaria jest ślicznym krajem i pobyt tam bardzo miły. Są tam doskonałe szkoły, zakłady naukowe i mogłabyś uczyć się tam...

— Widzisz, widzisz, ciociu — zawołała dziewczynka — że najlepiej będzie, gdy wyjedziemy do Szwajcarii!

— Stanowczo nie będzie najlepiej, — odpowiedziała p. Wanda — bo i powiedz sama, Bronko, z czegożbyśmy tam żyły, w tym obcym kraju? Muszę przede wszystkim powiedzieć ci jedną niezmiernie ważną wiadomość, która sądzę, że ciębie ucieszy. Miałam dziś list od mecenasa Stoińskiego, interesa ojca twego ostatecznie zostały uregulowane. Wszyscy wierzyciele zaspokojeni. Nadto pisze mi pan Stoiński, iż udało mu się ocalić dla ciebie małą kwotę. Pięć tysięcy rubli, które jako suma posagowa twojej matki najśluszej są twoją własnością.

— Ciociu, to ja będę znowu bogata! — zawołała dziewczynka — o, jak to dobrze! Mam całe pięć tysięcy!

— O bogactwie nawet mowy niema — odpowiedziała p. Wanda — pięć tysięcy, to bardzo mały majątek; mimo to ucieszyłam się tą wiadomością bardzo. P. Stoiński pisze, że kapitalik ten umieści tak, by stracony nie został, a odsetki będą szły na twoje wychowanie.

Bronka była zbyt jeszcze młodą i nie mogła zrozumieć, że odsetki od pięciu tysięcy dadzą tak małą kwotę, iż w żaden sposób starczyć to nie może na jej wychowanie, ale panna Wanda chciała ją w ten sposób bardziej uradować.

— Gdybyśmy jednak pojechali do Szwajcarii — mówiła ciocia — to nie wystarczyłyby nam fundusze. — Musimy bowiem wynająć mieszkanie, mieć na ubranie i życie. Ani w Szwajcarii, ani nigdzie wśród obcych nie mogłabym pracować i zarabiać.

Bronka westchnęła.

— Więc dokąd pojedziemy, ciociu? — spytała cichutko.

— Jeszcze sama dokładnie nie wiem — odrzekła panna Wanda — do Krakowa, czy też do Lwowa. A teraz powiedz mi jedno, czy naprawdę, dziecko, byłoby ci łatwo opuścić zupełnie kraj rodzinny i wyjechać gdzieś do obcych, gdzie nawet własnej mowy nie usłyszałabyś może miesiącami; gdzie wszystko i wszyscy byłiby dla nas obcy?

— Byłybyśmy przecie razem, ciociu, i rozmawiałybyśmy ze sobą po polsku — odrzekła Bronka.

— To jeszczeby mi nie wystarczyło — odparła panna Wanda. — Kocham cię bardzo, Bronko, ale Polką jestem i bez Polski, bez jej ludzi, drzew, chałup, lasów i pól nie umiałabym żyć. — I ty sama tęskniłabyś, nie rozumiejąc do kogo i za czym tęsknisz. Przecie ojczyzna, Broniu, to jakby dom nasz rodzinny, w którym nam zawsze najlepiej, najmilej żyć.

— Więc dlaczegoż chcesz, ciociu, wyjechać z Warszawy? — zapytała dziewczynka.

— Mam ważne powody — odrzekła ciocia — które mnie do tego skłaniają, ale Polski nie opuszczę, bo przecie czy w Warszawie, czy we Lwowie lub Krakowie, będziemy zawsze w Polsce, wśród swoich braci.

Wieczorem dnia tego przyjechał doktor Kępa. Bronka zaraz na wstępie obwieściła mu nowinę.

Spojrzał z rozrzewnieniem na pannę Wandę. Rozumiał, że wyjazd ten był dla niej wielką ofiarą.

— Ty się cieszysz — powiedział zwracając się do Bronki — tym wyjazdem, cieszy cię to zapewne, że starego nudziarza doktora tam nie będzie?

— Wcale nie! — zawołała Bronka. — Ja właśnie nie chcę, by doktor z nami pojechał.

— O co nie, to nie — odpowiedział, przekomając się. — Ty chcesz, a ja nie chcę, dobrze mi w Warszawie i dla kaprysu małej panienki nie myślę się stąd ruszać.

— To wcale nie kaprys panienki — śmiała się Bronia — bo to ciocia już nie chce mieszkać w Warszawie.

— Już ja tego nie wiem, kto nie chce, ciocia czy siostrzenica — mówił Kępa — a tylko wiem, że się sam z Warszawy nie ruszę.

— A jak ja zachoruję, kto mnie będzie leczył? — zapytała dziewczynka.

— A to już nie moja rzecz — odparł rubasznie doktor — jeśli masz zamiar tam chorować, to już sobie poszukasz na miejscu doktora, któryby cię leczył, bo ja powtarzam, z Warszawy nie ruszę się. Ale powiedzno mi lepiej — mówił po chwili — co ty będziesz wogóle robiła w Krakowie lub we Lwowie?

— Będę się uczyła — odparła Bronka — pójdę do szkoły.

— Niby tu nie możesz tego uczynić.

Bronka chwilę myślała, potem już zupełnie spokojnie odrzekła:

— Nie, do warszawskiej szkoły nie pójdę. A tam będę się dobrze uczyła.

Kępa wyszedł z Bronką na spacer nad rzekę. Oboje lubili te przechadzki, podczas których Kępa opowiadał ciekawe i zajmujące rzeczy, a Bronka nieraz w przystępie szczerości zwierzała mu się z wielu swych wrażeń i myśli.

Śmierć ojca i zmiana losu ogromnie odbiły się na usposobieniu dziewczynki. Wesola, śmiejąca się, żywa dawniej i bardzo szczerą Bronka stała

się milczącą i chmurną. Śmiała się rzadko, nie żartowała i nie dokazywała nigdy.

Dawniej umiała kaprysić jak prawdziwie rozpieszczane dziecko, dziś obojętnie zgadzała się na wszystko, w niektórych tylko rzeczach upierała się milcząc przy swoim i przekonać się nie dała nikomu.

Dobroć i serdeczność panny Wandy wiele tu zrobić nie mogły, bo właśnie względem swej najlepszej opiekunki nieufną była najbardziej. W głębi jej duszy krył się żal do ciotki, że ją zabrała z ojcowskiego pałacu i zmusiła poniekąd do życia innego, niż je miała we własnym, jak mówiła, domu.

Z doktorem było inaczej: on jeden miał zaufanie dziewczynki i może największy wpływ wywierał na nią.

Jakiś czas szli milcząc nad wodą, wkońcu Kępa zapytał:

— Bronko, czy ty naprawdę cieszysz się wyjazdem z Warszawy?

Ciemne oczy dziewczynki błysnęły.

— Bardzo się cieszę, nie lubię Warszawy.

— Nie lubisz Warszawy? a to ciekawe! Powiedz mi, za co ta niechęć?

Bronka milczała, zerwała parę traw, rosnących nad brzegiem, i idąc kręciła je w rękę.

— Powiedzże, Bronko, co ci to biedna nasza Warszawa zawiniła? — pytał Tadeusz.

Zaczerwieniła się cała i wkońcu szepnęła:

— Nie lubię, bo w niej dużo złych ludzi.

Kępa zrozumiał, o co chodzi, chciał jednak, by mu sama wszystko jasno i wyraźnie powiedziała.

— Co ty o tem możesz wiedzieć — rzekł spokojnie — takie małe dziewczynki to nawet nie rozumieją znaczenia „zły człowiek”. A ja ci powiem, Bronko, że w Warszawie jest bardzo wielu dobrych ludzi, którzy i sami uczciwie pracują i wiele dobrego robią.

— Ale jest i dużo złych — powtarzała dziewczynka. — Ja to wiem...

— Powiedzże mi, kogo ty złym człowiekiem nazywasz? — pytał znowu doktor.

— A tych, którzy cudze rzeczy zabierają — szepnęła. — Tych, co zabrali dom tatusia i Bronków i wszystko — zawołała głośno.

Kępa ucieszył się tym wybuchem i postanowił skorzystać ze sposobności, by się szczerze rozmówić z dziewczynką.

— Czy ty sądzisz, Bronko — pytał — że to źli ludzie zabrali majątek twego tatusia? Czy ci to panna Wanda powiedziała?

— Nie — odrzekła — ciocia mi tego nigdy nie mówiła, sama wiem.

— Otóż widzisz, że źle wiesz — odparł. — Nie byli to wcale źli ludzie, i nie twego tatusia, tylko swoją własność zabrali.

— Nieprawda! — zawołała Bronka — to nie była ich własność, tylko mego tatusia, i pałac, i Bronków i wszystko, co oni zabrali.

— Posłuchaj mnie, Bronko — mówił poważnie doktor — dawno już chciałem o tem z tobą pomó-

wić, ale wpraw byłeś chora, a potem nie było sposobności. Dziś wyjaśnię ci wszystko. Zobaczysz, że nie ludzie, lecz inne powody, a głównie śmierć twego tatusia spowodowała tę stratę. Czy chcesz mnie posłuchać?

— Chcę — odpowiedziała spokojnie.

— Otóż przedewszystkiem muszę ci powiedzieć, że twój tatuś, będąc dzieckiem i młodym chłopcem, wcale bogatym nie był. Ojciec jego własną ciężką pracą utrzymywał dom i kształcił syna, to jest twego tatusia. Pan Andrzej był niezmiernie zdolny i pracowity. Po ukończeniu nauk zabrał się do pracy i w krótkim stosunkowo czasie zdobył wielki majątek.

— A — zawołała Bronka, która uważnie słuchała — widzisz, że tatuś był bardzo bogaty...

— Tak — odparł doktor — tatuś twój był bardzo zamożnym przemysłowcem. Założył fabrykę sukna w Warszawie, dwie cukrownie, wkońcu zaś fabrykę piór stalowych, bo widzisz, Bronko — mówił ze wzruszeniem w głosie doktor — ojciec twój był niezwykle rozumnym i dobrym człowiekiem. Nie o własny interes mu chodziło, lecz o dobro kraju, którego był obywatelem. Kraj żaden nie może być zamożnym, o ile nie posiada własnego handlu i przemysłu. Jesteś jeszcze małym dzieckiem, może więc wszystkiego, co ci teraz mówię, dokładnie nie zrozumiesz. Kiedyś jednak przypomnisz sobie moje słowa i tem bardziej będziesz kochała tatusia nie tylko za to, że był twoim ojcem, ale i dlatego, że był dobrym synem naszej ukochanej ziemi, że

dbał o nią i ludziom uboższym podawał rękę pomocną.

Bronka przygarnęła się do doktora.

— Ja ciebie bardzo za to kocham — szepnęła — że ty tak mówisz o moim tatusiu.

Kępa z rozrzwinięciem spojrział na dziewczynkę i, gładząc jej miękkie ciemne włosy, mówił dalej:

— Zakładał więc tatuś fabryki, w których pracowało tysiące robotników. Za rzeczy, wyrobione w polskiej fabryce, szły pieniądze do swoich. Nie zabierał ich Francuz, Anglik lub Niemiec, i tym sposobem było w kraju lepiej. Przy fabrykach były, jak wiesz, ochrony i szkoły, w których dzieci robotników mogły się uczyć.

Na te fabryki, ochrony, szkoły i szpitale trzeba było mieć bardzo wiele pieniędzy. Tego nie miał pan Andrzej Torski, bo, choć zarobki były wielkie, nie starczyło na wszystko. Musiał więc zaciągać pożyczki, to jest brać pieniądze u innych.

— Tatuś brał pieniądze cudze? — zawołała Bronka z przerażeniem.

— Brał, ale nie było w tem nic złego. Ludzie, którzy pracują w handlu lub przemyśle, pożyczają sobie wzajemnie pieniądze. Zwie się to kredytem. Bez tego niepodobna byłoby obejść się. Wszystko więc, jak ci mówiłem, długo szło dobrze i pomyślnie. Tymczasem w kraju naszym zaszły wielkie zmiany. Przeróżne klęski, nieurodzaje i tym podobne rzeczy zubożyły ludzi dawniej zamożnych.

Coraz mniej było pieniędzy w kraju, coraz trudniej o kredyt. Chleb, mięso i inne rzeczy, bez których nikt obejść się nie może, podniosły się w cenie. Robotnicy zaczęli wołać o większą zapłatę. Słowem, kłopotów i trosk było coniemiarą. Pomimo to wszyscy twierdzą, że energiczny i mądry twój tatuś poradziłby sobie w tych kłopotach, znalazłby gdzieś kredyt i uratowałby siebie i innych od zbyt ciężkich strat. Przyszło jednak najgorsze. Przyszła śmierć, na którą niema ratunku. Po śmierci twego tatusia ludzie, którzy mu zawierzyli, nie mogli swoich pieniędzy zostawiać w fabrykach, które nie było komu kierować. Zażądali, najzupełniej słusznie, zwrotu swej gotówki. A ponieważ nie było dość pieniędzy na pokrycie wszystkich wierzycieli, należało sprzedać pałac i Bronków. Widzisz więc, Bronko, że nie źli ludzie zabrali pozostały po twym tatusiu majątek, ale zniszczyła go jego przedwczesna śmierć, najstraszniejsze twoje nieszczęście...

— Ale kiedy tatuś wszystko stracił, to i inni mogli — mówiła dziewczynka. — Niechby zabrali fabryki, a zostawili pałac i Bronków.

— Niepodobna było tego uczynić — tłumaczył doktor — długi przewyższały wartość fabryk. Gdyby więc ciocia Wanda i pan Stoiński potrafili zatrzymać dla ciebie Bronków, to ludzie pokrzywdzeni nazwaliby twego dobrego i zacnego ojca oszustem. Mówiliby o nim, że ich skrzywdził, i przeklinali by jego pamięć.

Zamilkł doktor, i Bronka już nic nie mówiła. W milczeniu wrócili do mieszkania, gdzie na nich z wieczrą czekała panna Wanda.

Bronka podeszła do niej i po raz pierwszy od śmierci ojca zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała serdecznie.

.

Wyjazd do Lwowa został ostatecznie postanowiony. Panna Wanda wybrała to miasto, miała tam bowiem licznych znajomych i spodziewała się, iż znajdzie pracę odpowiednią dla siebie. Na początek miała zapewnione lekcje w dwóch zakładach prywatnych, postanowiła też uzupełnić swe wykształcenie nauczycielskie i zdać wymagane w Małopolsce egzaminy, by uzyskać prawo nauczania w szkołach publicznych.

Wiedzę miała wielką, od wielu już lat dawała lekcje w Warszawie i słynęła jako znakomita nauczycielka języka polskiego, wykładała również dobrze język francuski. Pewną zatem była, że z egzaminem nie będzie miała żadnych trudności. Znajomi warszawscy i rodziny, w których uczyła, z żalem ją żegnając, śpieszyli z pomocą potrzebną dla wyrobienia stosunków w obcym mieście.

Obmyśliwszy i ułożywszy wszystko, panna Wanda napisała do pana Karola Torskiego jako opiekuna Bronki, donosząc mu, że się przenosi na stały pobyt do Lwowa.

W odpowiedzi nadszedł uprzejmy list pana Karola. Stryj Bronki właściwie nie rozumiał powo-

du opuszczenia Warszawy, „bo — pisał — zawsze jest to pewnego rodzaju stawka na loterji. W Warszawie masz pani stanowisko niezależne już zapewnione. Tam wszystko trzeba wyrabiać na nowo, a czy się uda? Nie śmiem jednak ani odradzać ani doradzać. Pani lepiej niż ktoś inny rozumie i swój interes własny i dobro dziecka, którego jesteś pierwszą opiekunką. Miłoby nam było, gdyby córka Andrzeja przed wyjazdem do Lwowa parę tygodni spędziła w naszym domu. Prosimy o to oboje z żoną, proszą i córki nasze, które swej małej kuzynki nie znają prawie. Ufamy, iż nam pani nie odmówi i zechce wraz z Bronką zjechać do Klonowa.“

Niepodobna było odmówić. Wszak byli to jedyni krewni ojca sieroty, rodzina jej opiekuna.

Pobyt Bronki w Klonowie dogadzał również wielce pannie Wandzie, gdyż mogła sama pojechać do Lwowa, zająć się wyszukaniem mieszkania, urządzić je, ułożyć się o lekcje i t. p. W tem wszystkim Bronka pomocną jej być nie mogła, przeciwnie, zawadzałaby tylko. Postanowiła więc, że zawiezie dziewczynkę do stryjostwa, zostawi pod ich opieką, a sama pojedzie do Lwowa.

Bronka przyjęła to postanowienie z radością.

Uśmiechała się jej podróż i pobyt u krewnych. Dawniej do Bronkowa przyjeżdżały jej przyjaciółki, nie było nic w tem dziwnego, że ona pojedzie do krewnych i spędzi u nich kilka tygodni.

— Wolałabym — rzekła — byś i ty, ciociu, została ze mną w Klonowie.

Ale gdy panna Wanda przedstawiła jej niemożebność spełnienia tego żądania, zamilkła.

Zato Kępa zmartwił się srodze.

— Myślałem — mówił — że te ostatnie tygodnie spędzimy razem. Miałem zamiar codziennie przyjeżdżać do Świdra, by z Bronką być bodaj parę godzin. A oto zostanę sam.

— To jedź z nami — zawołała Bronka — zostaniesz ze mną w Klonowie i będzie nam wesoło.

Naturalnie rzecz była niewykonalna. Doktor ze smutkiem został w Warszawie, a Bronka z ciocią pojechały.

Pan Karol był właścicielem młynów parowych w Kaliszu, prowadził handel mąką z Prusami. W Klonowie, majątku żony, miał browar, piwo klonowieckie znane było w całym kraju i przynosiło właścicielom ogromne dochody.

Pierwsze wrażenie, odniesione przez Bronkę w domu stryja, było jak najlepsze. Śliczny powóz i konie wysłane na stację, służba w liberji, bogate urządzenie pałacu olśniło dziecko. Przypomniały się minione czasy. Ucieszył zbytek i bogactwo, za którymi tęskniła.

— Ciociu, jak tu ślicznie, jak ślicznie — wołała, rozglądając się po pokoju, do którego wygalowany lokaj wprowadził je zaraz po przyjeździe z kolei. — Jacy oni szczęśliwi!

Panna Wanda westchnęła w odpowiedzi, nic jednak nie odrzekła, weszła bowiem służąca, niosąc na srebrnej tacy śniadanie.

— Obiad jest zwykle o piątej — rzekła. — Jasnie państwo wrócą dopiero za godzinę z Kalisza, może więc jasnie panie posilą się trochę i spoczną po drodze. Czy jasnie pani każe sobie w czem pomóc?

Pomocy nie trzeba było. Panna Wanda odprawiła pokojową i sama dostała z walizki świeżą sukienkę dla Bronki. Nosila ona jeszcze ciężką żałobę po ojcu.

— Dlaczego nie pozwoliłaś, ciociu — pytała dziewczynka — żeby służąca to zrobiła? Poco ty się męczysz sama?

Panna Wanda uśmiechnęła się.

— Wstydziałabym się — rzekła — gdyby mi kto pomagał w tak łatwej rzeczy. Wszak w domu nie mamy do tego służby i radzimy sobie doskonale. Gdybym się tu służbą wyręczała, miałabym uczucie, że zostałam kaleką lub niedołęgą. Człowiek wtedy jest naprawdę wolny, gdy wszystko sam sobie potrafi zrobić.

Bronka innego była zdania. Wszak doniedawna obsługiwano ją.

— A więc to jest Bronka — powiedziała pani Karolowa przy powitaniu. — Miło mi poznać cię, moje biedne dziecko. Widziałam cię przed kilku laty w Warszawie jako malutką dziecinę, teraz już jesteś dużą panienką. Córkę moję uszczęśliwione są z twojego przybycia — mówiła dalej, dotykając zimnemi ustami czoła dziewczynki.

Julka i Iza, córki państwa Karolostwa, jakoś na bardzo uradowane nie wyglądały. Znacznie starsze od Bronki, wysokie, tęgie, podobne były raczej do ojca niż do matki, chociaż i ona do drobnych kobiet nie należała.

Podaly ręce Bronce, pocałowały ją nawet obie, ale wszystko to było takie sztywne i ceremonjalne, że zachwyty dziewczynki znacznie ochłodziły.

— Zajmijcie się kuzynką — rzekła matka — jesteście od niej starsze, bądźcie jej opiekunkami, idźcie do miss.

— Córki nasze — mówiła pani Karolowa, zwracając się po odejściu dziewczynek do panny Wandy — wychowują się w Dreźnie. Jest tam znakomita pensja francuska, w której liczba uczennic jest ograniczona. Przyjmowane są tylko panienki z najlepszych domów. Wakacje spędzam z nimi zazwyczaj nad morzem. Wyjątkowo tego lata zostajemy na wsi. Mają więc Angielkę dla wprawy w tym języku.

Nazajutrz panna Wanda odjechała do Lwowa. Wyjeżdżała z ciężkiem sercem. Żał jej było zostawić tu Bronkę, której zachwyty już minęły. Kuzynki niewiele się o nią troszczyły. Nazywały ją małą, ze sobą rozmawiały wciąż prawie po angielsku, a ona ani jednego słowa w tym języku nie rozumiała. Pan Karol serdecznie powitał dziewczynkę, zapowiedział jej, że będzie miała wiele przyjemności podczas wakacji, ale poza tem nie troszczył się o nią wcale. Zajęty interesami, gościem był w domu.

Stryjenka była lodowato dobra, miss Ewelina sztywna jak tyka. Bronka z żalem porównywała swe obecne opiekunki z młde Yvette lub z panią Gorską. Przypominała, jak tamte były uprzejme i serdeczne dla wszystkich bez różnicy gości w Bronkowie, lub w ich ślicznym pałacyku w Alei Róż. Nie zdawała sobie sprawy, że tam ta serdeczność i uprzejmość pochodziła od jej ojca i cici Wandy, i wszyscy domownicy stosować się do tego musieli.

Smutna była Bronka, żegnając ciotkę, nie okazała jej jednak tego, prosiła tylko, by jak najprędzej przyjeżdżała zpowrotem do Klonowa.

Był tu jeszcze i kuzynek, piętnastoletni syn państwa Karolostwa, Zygmunt, uczeń gimnazjum kaliskiego. Dokuczał on siostrom na każdym kroku, żarty zaś jego ani miłe, ani dowcipne nie były. Obecnie całą złośliwość zwrócił w stronę Bronki, co cieszyło mocno Izę i Julkę.

— POCO ty jedziesz do Małopolski? — pytał.

— Będę się tam uczyła — odrzekła.

— Phi — mówił chłopak, wydymając pogardliwie usta — jaka to tam nauka może być w tej Małopolsce. Żaden rozumny człowiek nie posłałby tam z pewnością swego dziecka.

— Moja ciocia jest bardzo rozumna — powiedziała Bronka i ona postanowiła, że tam pojedziemy i tam pójdę do szkoły...

— Nie rozumiem wprost — powtarzał chłopak, robiąc drwiącą minę — by rozumna osoba taki wybór zrobiła.

Bronka czuła się urażona lekceważącym tonem kuzynka.

— I pan Stoiński i doktor Kępa — zawołała — mówili, że we Lwowie są bardzo dobre szkoły...

— Kto? kto? co za Kępa? — pytał przekorny chłopak, a Iza i Julia wybuchnęły śmiechem.

Bronce oczy zaświeciły.

— Nie wiem — rzekła — czego wy się śmiejecie?...

— Jakto? nie wiesz? — krzyknęła Iza. — Przecie to takie śmieszne nazwisko: Kępa!

— To pewnie jaki dozorca lub szewc z Powiśla — drwił dalej Zygmunt.

Dziewczyny znowu wybuchnęły śmiechem.

Bronka była wzburzona, starała się jednak być spokojną.

— Pan Kępa — rzekła — nie jest ani dozorcą, ani szewcem. Jest doktorem w Warszawie. Tatusz mój bardzo go lubił i mówił zawsze, że jest on bardzo rozumnym człowiekiem.

— Ale pewnie — mówiła Julka — ten pan Kępa jest trochę krzywy, kulawy i głuchy. Inaczej go sobie wyobrazić nie umiem.

Bronce na płacz się zbierało. Niechby jej dokuczali jak chcieli, wszystko jedno, ale oni wyśmiewają się z jej ukochanego doktora...

— No, słuchaj, Bronko — mówił znowu Zygmunt — czy ten Kępa stary? Powiedz! Zresztą ja ci pokażę, jak on wygląda.

I wykrzywiwszy twarz, zmarszczył brwi, zgarbił się i, powłócząc jedną nogą, kusztował na drugiej. Sapał przy tem niemilosierdzie i nosem pociągał.

— Mam honor powitać panienkę — mówił kłaniając się Bronce. — Jestem doktor Tadeusz Kępa. Jakże zdrowiecko?

Bronka zerwała się; zacisnęła pięści i skoczyłaby zapewne na Zygmunta, szczęściem weszła miss, wołając dziewczynki na spacer do lasu.

— Pójdiesz z nami — powiedziała do Bronki po angielsku, a ta uszczęśliwiona, że będzie ktoś, kto jej nie da dokuczać, poszła z chęcią.

I znowu Bronce przypomniat się zeszłoroczny pobyt w Bronkowie. I tu jak tam był las duży, pełen wspaniałych drzew. Kuzynki szły obok Angielki, rozmawiając z nią, a Bronka swobodna, szczęśliwa, że nikt jej nie dokucza, biegła przodem, zrywając leśne dzwonki i duże paprocie, tak zupełnie, jak to było zeszłego lata, gdy z ciocią Wandą chodziły po lasach w Bronkowie. Zajęta wyszukiwaniem kwiatów, zobaczyła rosnące w rowie niezapominajki i niewiele myśląc pobiegła po nie.

Plusk — i naraz wpadła w wodę. Angielka przybiegła z pomocą, wydobyto Bronkę z rowu. Zabłociła się niemożliwie — buciki, pończoszki, wszystko zawalane. Miss Ewelina gderała po angielsku, ale Bronka nie rozumiała nic z tego, co

ona mówiła. Julka i Iza śmiały się i ona sama wkońcu śmiać się ze swej przygody zaczęła.

Niezapominajki zerwała, a tak ślicznie wyglądały wśród tych dużych paprociowych liści. Mniejsza o buciki. Ma drugą parę.

Wrócono do pałacu i tu na wstępie spotkała Bronkę przykrość.

— Moje dziecko — rzekła pani Karolowa — patrz, coś zrobiła. Zniszczyłaś obuwie i pończoszki nanic. Nie pamiętasz o tem, że nie masz sama pieniędzy i że pani Kańska robi ci wielką łaskę, wychowując cię i ubierając.

Ścisnęło się biedne serduszek dziewczynki — i znowu przypomniał się Bronków i Szymonowa.

— I proszę cię, Broniu — mówiła dalej stryjenska — byś na przyszłość nie znosiła tu chwastów z lasu. Idź, przebierz się.

Poszła i cichutko zapłakała.

— Och, żeby to już prędzej ciocia zabrała mnie z tego pałacu.

Ze smutkiem patrzyła na swoje niezapominajki i paprocie, takie piękne i wdzięczne, które tu nazywają chwastami.

— Bronko — powiedziały nazajutrz Julia i Iza, wchodząc do jej pokoiku, w którym pod opieką Angielki sypiała — przyniosłyśmy ci tu nowe buciki wzamian za tamte, któreś wczoraj w błocie zniszczyła. Weź je, żeby się panna Wanda nie gniewała na ciebie.

— Moja ciocia nigdy się na mnie nie gniewa — odpowiedziała dziewczynka — a bucików nie potrzebuje, bo mam drugą parę.

— W każdym razie przydadzą ci się — powiedziała Iza. — Nie masz własnego majątku, a panna Wanda ciężko i bez tego pracuje na twoje utrzymanie. Weź te buciki. Widzisz, jakie ładne.

I postawiły buciki przy łóżku dziewczynki, która już się ani słowem jednym nie odezwała. Bucików jednak nie tknęła.

Kuzynki popatrzyły na nią i wyszły.

— Słyszałem — mówił znowu przy obiedzie Zygmunt — że była przygoda w lesie. Bronko, jak to było z tem błotem? Pewnoś tam Kępę zobaczyła i z radości wpadłaś w kałużę. Co?

Iza i Julka roześmiały się w głos, a Iza, złośliwsza od siostry, dodała:

— W naszym lesie pełno jest kęp, są tam ich całe rodziny. Może to krewni twego doktora? Należałoby ci ich odwiedzić.

Bronka siedziała wzburzona cała, zacinała się w milczeniu, nic nie mówiła, nie jadła nic prawie, za co znowu były wymówki od stryjenki.

— Grymaśna jesteś, Bronko — mówiła — a to rzecz brzydka. Panienska dobrze wychowana je wszystko, co jej dają. Jak się tak nauczysz grymasić, to panna Wanda będzie miała z tobą kłopot nielada. Nie stać jej na dogadzanie twym fantazjom.

— Kiedy ja wszystko zawsze jem — broniła się Bronka — tylko teraz nie mogę, nie jestem głodna.

I tak było wciąż, co dnia to samo, a te dni były długie, bez końca długie. Jediną radością były listy cioci Wandy, które Bronka codziennie odbierała. Długie były i takie zajmujące. Wszystko ciocia opisywała i swoją podróż, i przyjazd do Lwowa, i jak to miasto wygląda, i gdzie, w której stronie szukała mieszkania, i wiele innych rzeczy było zawsze w liście cioci, tylko jednej, jedynej wiadomości brakło: Kiedy ciocia po Bronkę przyjedzie?

I doktor Kępa pamiętał o swojej przyjaciółce. Co drugi dzień przychodziły od niego karty, a raz oddano Bronce z poczty duże pudło smażonych owoców.

Były to ulubione łakocie dziewczynki.

Do posyłki doręczony był bilecik, zawierający te słowa:

„Posyłam ci, Bronko, trochę smażonych owoców, któremi, proszę cię, podziel się z wszystkimi w Klonowie”.

Przeczytawszy te słowa, zamyśliła się dziewczynka.

Doktor prosił, a ona zazwyczaj jego prośby i żądania chętnie spełniała. Dawniej przy tatusiu nigdy sama nie jadła żadnych łakoci. Przychodziły do niej Zosia i Janka i ugaszczala je. I mademoiselle Yvette i Guścia jadły z nią razem, dzieliła się z wszystkimi, nawet Franciszek i stangret do-

stawali zazwyczaj cukierki od swej panienki. Ale tu nie śmiała. Może się na nią gniewać będą.

Sama nie wiedziała, co począć. Nie mogła nie spełnić prośby Kępy, a nie wiedziała, jak się ma do tego wziąć.

Siedziała zamyślona nad tem w ogrodzie, gdy nadszedł Zygmunt.

— O kim tak się zamyśliłaś, panno Broniu? — zapytał. — Czy nie o panu Kępie przypadkiem?

Mówił to tak drwiącym głosem, że serduszko Bronki zabiło. Nie, nie da im przysłanych słodyczy, nie może, jeszcze jej bardziej będą dokuczali.

I nie dała. Zamknęła pudełko w swym kuferku, od którego kluczyk starannie chowała.

Było jej jednak niezmiernie przykro. Sama nie tknęła smacznych owoców, chociaż słinka jej szła na sam widok. Była tak tem wszystkiem strapiona i rozdrażniona, iż przy obiedzie nie jadła znowu nic.

— Moja Bronko — rzekła pani Karolowa — znowu grymasy. Zupa była wyśmienita, mięso dobrze przyrządzone, dlaczego nie jesz? Mówiłam ci, że szkaradną jest rzeczą podobne postępowanie. Proszę cię, jedz zaraz.

I podsunęła jej talerz z pieczenią.

— Kiedy ja doprawdy, stryjenko, nie mogę jeść — wyjąknęła cichutko.

— Cóż to? chora jesteś? — spytał pan Karol.

— Nie, stryju — odrzekła — jestem zdrowa tylko nie mogę...

— Widzę, że panienka ma kaprysy i to niemałe — mówił stryj — brzydka to bardzo wada. Nie wiem, jak się na to zapatruje panna Wanda, ale ja bym tego nie zniósł, by mi za moją dobroć i poświęcenie w podobny sposób się wypłacano.

Lzy stanęły w oczach Bronki, usiłowała przełknąć kawałek mięsa, ale się jej nie udawało. Gardło miała ściśnięte i przełknąć nie mogła.

I co ona z temi cukierkami pocznie?

— Już wiem, dlaczego Bronka dziś nic nie jadła — powiedziała wieczorem Iza do matki — dostała z poczty pudełko cukierków, pewno całe zjadła i może potem niezbyt dobrze czuła się.

— Stanowczo nie miłe dziecko — mówiła pani Karolowa. — Milcząca, chmurna i uparta; nie będzie z niej miała jej opiekunka pociechy.

Pokoik Bronki przylegał z jednej strony do pokoju Angielki, z drugiej do korytarzyka, prowadzącego do pokoju szafarki, panny Agaty. Leżąc w swym łóżku, Bronka słyszała gderanie panny Agaty lub rozmowy jej ze służbą.

Wieczorem tego dnia, w którym nadeszły owe nieszczęsne cukierki, dziewczynka długo usnąć nie mogła.

Głowa bolała ją, zniechęcona była i rozdrażniona postępowaniem tu wszystkich względem niej.

Wtem za drzwiami posłyszała płacz stłumiony.

— Moja paniusiu kochana — mówił jakiś głos kobiecy — straszny mam smutek w domu. Moja Anka, wracając wczoraj do domu, potknęła się i upadła. Stałam w pobliżu i widzę, że leży, to też

powiedziała do niej: „Anka, a cóż ty leżysz, a dyć ruszże się i wstań”. A ona nic, nachyliłam się nad nią i mościewy patrzę, a toż ona nieżywa.

— Co? święta Agato! umarła! — grubym głosem zawołała szafarka.

— Bogu dziękować nie umarła, tylko zasłała, boć padając złamała sobie nóżkę. Oj, biedactwo moje jedyne. Musiałam to wieźć do Kalisza, do szpitala i tam zostawić. Tak się to spłakała ta moja dziecina i mnie też na sercu ciężko, że to ona tam sama, samiuteńka leży, bez mateńki rodzonej.

Mówiąc to, kobieta zachlipała głośno. Panna Agata pocieszała, jak umiała, i uspokajała matkę, ale Bronka tego już nie słuchała. Żal jej było niezmiernie tamtej dziewczynki ze złamaną nóżką i niewiele myśląc wyskoczyła z łóżka.

Bose nóżki zatupały po podłodze. W pokoju ciemno nie było, bo z korytarza przez szybę w drzwiach wchodziło światło do pokoju.

Bronka otworzyła swój kuferek i dobyte pudełko ze słodyczami.

Odda to wszystko Ance i już nie będzie żadnego kłopotu. Doktor za to nie gniewałby się wcale, bo Iza i Jula mają codziennie i leguminę i owoce i cukierki, a Anka nie ma nic.

Ale jak oddać?

Nigdy jeszcze nie chodziła do pokoju panny Agaty. Co na to powie stryjenka? Ale co tam, da przecie swoje cukierki.

W tej chwili skrzypnęły drzwi od pokoju szafarki. Bronka nie namyslała się dłużej. Wypadła

na korytarz i spotkała się tam z ubogo ubraną kobieciną.

— Wszelki duch — zawołała tamta — a panienka co tu robi? Proszę iść do pokoju, bo się zażyć można. Mamusia gniewać się będzie.

Kobieta nie знаła Bronki i brała ją za jedną z córek pana Karola.

— Proszę to dać Andzi — rzekła Bronka, podając pudełko z owocami. — Niech nie płacze. Bardzo mi jej żal, że ma nóżkę złamaną.

— O mójże ty aniołku — zawołała tamta — a toć chyba sam Jezusik ci o mojej biedocie powiedział. Oj, niechże cię On wynagrodzi i Najświętsza Panienka.

Chciała całować ręce Bronki, ale dziewczynka już się skryła za drzwiami. Położyła się do łóżka i zaraz usnęła.

Nazajutrz pan Karol oznajmił jej, że nadszedł list od panny Wandy, która nie mogąc sama przyjechać po Bronkę, prosi, by ją państwo Karolostwo odesłali do Krakowa, a tam ją spotka.

— Pojedziesz więc pojutrze, Bronko, z panną Agatą — rzekł stryj — i mam nadzieję, że kłopotu z tobą w drodze mieć nie będzie.

IV.

Nowe życie.

— Ciociu, jak dobrze, że już jestem z tobą — zawołała Bronka, rzucając się w objęcia panny Wandy na dworcu w Krakowie. — Nigdy już mnie samej nie zostawiaj.

— Dziecino droga — odpowiedziała panna Wanda, patrząc na pobladłą twarzyczkę Bronki — przecie i u stryjostwa nie było ci źle.

— Wolę być z tobą, ciociu — mówiła Bronka, tuląc się do swej opiekunki — z tobą i z doktorem, z nikim więcej. Ale wiesz — mówiła potem — co się stało? poszłam do lasu z Izą i Julką i z tą ich miss. Nudno mi było, bo one rozmawiały wciąż po angielsku, a ja nic nie rozumiem, poszłam więc sama i zbierałam kwiaty. A w rowie rosły niezapominajki, chciałam je zerwać i weszłam w takie błoto, że aż miss musiała mnie wydobywać, aż po kolana, ciociu, wpadłam do błota — opowiadała.

Ciocia Wandzia śmiała się.

— A toś musiała ślicznie wyglądać.

— Strasznie byłam zabłocona, ciociu, i tak iść musiałam do pałacu, a było daleko. Miss coś mówiła i głośno krzyczała, a Iza i Julka śmiały się ze

mnie. Ale to najgorsze — kończyła swą opowieść Bronka — że buciki nowe zupełnie zniszczyłam, ciociu — dodała cichutko.

— Musimy kupić inne, — rzekła spokojnie panna Wanda — a mam nadzieję, że będziesz uważniejsza i po raz drugi do błota nie wejdiesz.

Sprawa z bucikami na tem się skończyła.

Bronka nie opowiedziała jednak wszystkiego, nie wspomniała ani słowa o tem, co powiedziała pani Karolowa, a ofiarowanych sobie przez kuzynki bucików nie przywiozła. Zostały one w pałacu państwa Karolostwa, wsunięte za szafę.

Do Lwowa przyjechały wieczorem.

— Gdzie, na jakiej ulicy jest nasze mieszkanie? — pytała Bronka, jadąc w dorożce i rozglądając się dookoła po jasno oświetlonych ulicach.

— Mieszkamy daleko, przy ulicy hetmana Tarnowskiego — powiedziała ciocia.

Dziewczynka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— To dobrze — rzekła — tak ładnie nazywa się ta ulica.

W miarę jednak jak jechały, zadowolenie zmniejszało się.

— Czemu my tak długo jedziemy? — pytała. — Czy to aż na samym końcu Lwowa jest nasze mieszkanie? Tu już nieładnie, pusto i ciemno.

Po schodach weszły do małego mieszkania. Jasno było, na stole paliła się lampa, i pokój wydał się Bronce miłym i wesołym.

Pod oknem stał kosz z kwitnącemi kwiatami, na ścianach wisiały znane jej z dawnego mieszka-

nia panny Wandy obrazki. Duża otomana, biurko i fotel cioci, sprzęty znane z Warszawy. Poza tem szafka z książkami. Tyle było w tym pierwszym pokoju.

— A tu twój pokoik, Bronko — powiedziała ciocia, wprowadzając dziewczynkę do drugiego pokoju.

— Ach, jaki ładny! — zawołała Bronka, uderzając w dłonie. — Ciociu, jak tu ślicznie!

Pokoik mały, ale urządzony z wdziękiem, śliczny był naprawdę. Na jasno malowanych ścianach wisiały obrazki zabrane z dawnego pokoju Bronki, jeszcze z Alei Róż. W rogu na staludze stał portret matki, a na środkowej ścianie, tuż nad stolikiem do pracy, ojca. W tajemnicy przed Bronką zrobił go jeden z malarzy warszawskich, a ponieważ znał dobrze pana Andrzeja, więc podobieństwo było uderzające.

— Mój tatuś, mój tatuś! — zawołała dziewczynka i, wyciągając ręce do portretu, powiedziała jak dawniej: — Tatusiu, tatusiu, ja ciebie bardzo kocham.

Nazajutrz wczesnym rankiem zbudziła się Bronka, wyskoczyła z łóżka i wyjrzała oknem.

Ładnie tu było. Domów wcale nie widać, tylko zielone pole, a wdali ogrody.

Czerwieniały już liście drzew i w jasnym, wrześniowym słońcu jaśniały jak wielkie kwiaty na tle ciemnych, niebieskawo-zielonych jodeł i świerków.

Zapatrzyła się na ten widok Bronka i nie słyszała, jak do pokoju weszła już zupełnie ubrana panna Wanda.

— Ubieraj się prędko, Bronko — rzekła. — Mamy dziś wiele pracy, musimy wszystko doprowadzić do pełnego porządku, bo pojutrze już pracować będziemy.

— Jakto? — zapytała dziewczynka.

— Ty pójdziesz do szkoły, a ja będę dawała lekcje — odparła panna Wanda.

Mówiąc to, zabierała się do porządków w pokoju Bronki.

— Ciociu — zawołała dziewczynka — dlaczego ty sama to robisz?

— Bo ty jeszcze tego porządnie nie potrafisz zrobić — odpowiedziała ciocia. — Jak się nauczysz, nie będę tego robiła.

— A służąca? — zapytała zdumiona Bronka. — Czemu ona tego nie robi?

— Nie mamy służącej — odpowiedziała spokojnie panna Wanda. — Przychodzi do sprzątania i cięższej roboty posługaczka, ale wszystkiego zrobić nie może i musimy same to załatwiać.

— Same, ciociu? Czemu?

— Bo nasz wspólny majątek, Bronko, jest bardzo szczupły. Ja zarabiam jeszcze bardzo mało, więc gdybyśmy chciały mieć służącą, to nie wystarczyłoby nam. Ale nie martw się, nic to przykrego i ciężkiego nie jest.

Bronka stała milcząca i niepewna.

— Ciociu — szepnęła po chwili — ja nie chcę być służącą.

Panna Wanda uśmiechnęła się.

— O tem mowy nawet niema — odpowiedziała — bo służyć nikomu nie będziesz, tylko sama sobie usłuszysz i poznasz zczasem, że to przyjemnie umieć samej sobie wszystko zrobić. Po śniadaniu uprzątniesz swoje rzeczy, potem ułożysz książki i zabawki.

— A gdzie jest twój pokój, ciociu? — zapytała dziewczynka, — gdzieś ty spała?

— Tu, w tym pierwszym, dużym pokoju — odpowiedziała panna Wanda — jest moja sypialnia. Tam też będę pracowała i jednocześnie tam będzie i nasza jadalnia, o ile będziemy jadły w domu.

— Jakto? — spytała znowu dziewczynka.

— W zwykłe dnie — odparła panna Wanda — ty zostaniesz w swojej szkole od ósmej rano do szóstej wieczór. U pani przełożonej będziesz miała obiad i podwieczorek. Ja zaś przez ten czas będę dawała lekcje, o szóstej przyjdę cię zabrać do domu. Wrócimy na kolację, potem będziemy z sobą rozmawiały i, o ile będzie potrzeba, pracowały wspólnie, a potem o dziewiątej moja córeczka pójdzie spać.

— Myślałam — powiedziała Bronka — że ty sama będziesz mnie uczyła?

— Owszem, będę cię uczyła języka polskiego i historii ojczyzny — odpowiedziała panna Wanda — bo w szkole, w której będziesz się uczyła wraz

z innemi dziećmi, wykładał ten przedmiot, reszty nauk będą cię uczyli profesorowie i nauczycielki.

— Ciekawa jestem tej szkoły — mówiła Bronka. — Czy też tam będzie wiele dziewczynek?

— W twojej klasie jest już ich dziewięć.

.

Dwa pierwsze dni zeszły szybko Bronce we Lwowie. Nie zachwyciło jej to coprawda, że sama niejedną rzecz musiała zrobić, ale panna Wanda robiła wszystko z taką pogodą, swobodnie i wesoło, że i ona szybko pogodziła się ze swą pracą.

— A czemu w Warszawie Jadwiga robiła to wszystko? — spytała, pomagając zmywać wieczorem filiżanki po herbacie.

— W Warszawie — odparła panna Wanda — byliśmy bogatsze, i życie tam tańsze niż we Lwowie, i ja zarabiałam wiele więcej niż tu; pieniędzmi zatem, które zarabiałam za lekcje, mogłam opłacić pracę Jadwigi. Tu tyle nie zarabiam, więc trzeba samym pracować więcej.

— Ciociu — zawołała naraz Bronka — zapomniałaś, zupełnie zapomniałaś, że mamy pieniądze. Możemy mieć służącą i ty nie będziesz sama czyściła lamp, bo to nieprzyjemne.

— A jakież my mamy pieniądze? — zapytała z uśmiechem panna Wanda, dalej czyszcząc lampę.

— A te, coś mówiła, że są u pana Stoińskiego, pieniądze mojej mamusi. Weź je, ciociu.

Panna Wanda pokręciła głową.

— Nie — rzekła — tych pieniędzy nie możemy wziąć na opłacenie służącej, ani na inne podobne rzeczy.

— A na co je weźmiesz, ciociu? — zapytała dziewczynka.

— Jesteś jeszcze bardzo małą dziewczynką, Bronko — mówiła panna Wanda — wiele lat upływie, zanim ukończysz nauki i będziesz mogła już sama pracować. A czy my wiemy, co przez ten czas będzie, co może się stać?

— A co, ciociu? — pytała zaciekawiona Bronka.

— Wiele rzeczy; mogę nie mieć lekcji naprzekład, a za twoją naukę trzeba będzie płacić, więc wtedy trzeba będzie wziąć z tego kapitału, bo to rzecz bardzo ważna.

— Jak nie będzie czem płacić, to ty mnie będziesz sama uczyć, ciociu — rzekła spokojnie Bronka — toby jeszcze nie było wielkie nieszczęście.

Panna Wanda uśmiechnęła się, wiedziała ona, że Bronka wolałaby zostać w domu i nie iść do szkoły.

— Tak — rzekła — tylko, że gdybym nie miała lekcji, to musiałabym przyjąć inną pracę, inne zajęcie, by móc starczyć na nasze życie, a wtedy znowu nie miałabym czasu zająć się twą nauką.

— I nigdy tych pieniędzy nie poruszysz? — zapytała Bronka.

— Chciałabym bardzo uniknąć tego, ale zapewnić cię nie mogę, że ich nigdy nie poruszę, bo jak ci to już mówiłam, mogą zająć różne okoliczności, które mnie do tego zmuszą. O ile jed-

nak mi się to uda, będę pracowała tak, byś ty po ukończeniu nauk mogła odebrać w całości tę kwotę.

Zamilkły obie, panna Wanda ukończyła czyszczenie lamp, umyła ręce i zdjęła duży fartuch.

— Ciociu — odezwała się znowu Bronka — jeśli to naprawdę są moje pieniądze, to ci je daruję; weź je sobie i przyjmij służącą, proszę cię o to.

— Nie, Bronko — odrzekła panna Wanda — dzieckiem jesteś, rozporządzać swym majątkiem nie masz jeszcze prawa, a gdybyś je i miała, to ja nigdy nie wzięłabym tych pieniędzy na podobny użytek. Możesz mi jednak ulżyć w inny sposób, chętnie i porządnie wyręczając w niektórych zajęciach domowych. Taką pomoc przyjmę zawsze z radością.

Bronka westchnęła.

— Kiedy to takie nieprzyjemne... — rzekła.

Panna Wanda już nic na to nie odpowiedziała i zabrała się do układania bielizny w szafach.

.....

Z ciekawością wielką wchodziła Bronka do szkoły. Nigdy jeszcze w żadnym zakładzie naukowym nie była, za życia ojca uczyła się w domu, w towarzystwie dwóch swoich przyjaciółek, przy cioci Wandzi. Potem śmierć ojca i jej choroba spowodowały długą przerwę w nauce. Dopiero za powrotem wiosny pozwolił doktor uczyć się trochę, i wtedy uczyła się zawsze przy cioci. Obecnie miał się odbyć egzamin, i dziewczynka miała wejść do klasy, stosownie do swego przygotowania.

— Pewno ta pani dyrektorka będzie wielka i chuda pani, a na nosie będzie miała okulary — myślała Bronka, wchodząc na schody — taka zupełnie jak ta, o której czytałam kiedyś z panną Yvette. Głos będzie miała gruby i olbrzymią linję w ręku.

I naraz głośno już zapytała:

— Ciociu, ta dyrektorka bije naprawdę dzieci?

— Dyrektorka bije dzieci? — powtórzyła panna Wanda, zatrzymując się na schodach. — Co też ty opowiadasz, dziecko?

— Ale bo, ciociu, z pewnością tak, każda bije, ja wiem — stanowczym głosem mówiła Bronka — sama czytałam i panna Yvette mówiła mi to zawsze.

— No, jeśli tak jesteś pewna — odparła panna Wanda — to już ci przeczyć nie będę. Przekonasz się sama.

Weszły do pokoju, i odrazu przypuszczenia Bronki rozchwiały się.

Spotkała je młoda jeszcze, skromnie, ale starannie ubrana pani, drobna, szczupła, bez okularów, oczy miała ciemne, mądre i dobre.

Podala rękę pannie Wandzie, podsunęła jej fotel, a sama zwróciła się do Bronki.

— Witam cię, moje dziecko — rzekła — bardzo nas to cieszy, że rodaczka nasza z Warszawy przyjechała uczyć się tu do nas. Jako dzieci jednej ojczyzny, powinniśmy znać się wzajemnie i kochać. A nic tak nie łączy ludzi jak ława szkolna i wspólna praca.

Mówiąc to, ucałowała serdecznie sierotę. Potem chwilę pomówiwszy z panną Wandą, znowu zwróciła się do Bronki.

— Musimy cię wyegzaminować, kochanko, zobaczyć co i jak umiesz, i do której klasy masz iść, byś mogła jak najwięcej skorzystać. Tylko proszę cię, nie obawiaj się, odpowiadaj spokojnie na pytania. Jesteśmy tu wszyscy swoi. Szkoła to taka duża kochająca się rodzina.

Wzięła Bronkę za rękę i zaprowadziła ją do obszernej, jasnej sali. Stały w niej ławki, każda przeznaczona dla dwóch dziewczynek, na głównej ścianie wisiał obraz Matki Boskiej, przybrany zieloną, a na innych rozmieszczone były wizerunki królów polskich, wielkich mężów naszego narodu, mapa Polski, widoki różnych grodów i miast. Na oknach stały wazoniki z kwitnącemi kwiatami, w rogu sali w dużym wazonie wspinała paproć.

— Chwasty tu rosną, powiedziałyby stryjenka — pomyślała Bronka, przypomniawszy sobie swój pobyt w Klonowie.

Na katedrze siedziała wysoka, siwowłosa pani, a obok niej dwie młodsze.

— Przedstawiam paniom naszą nową uczennicę, Bronisławę Torską z Warszawy, tę, o której dziś mówiłam — rzekła przełożona — zechcą panie zrobić z nią wstępny egzamin.

Wskazała Bronce miejsce w pierwszej z brzegu ławce, sama z panną Wandą usiadła z boku.

Zabiło mocno serce Bronki, po raz to pierwszy miała być pytana przez obce osoby. Czy się nie

pomyli, czy odpowie dobrze? A może nie umie tyle, ile tu wymagają?

— Otwórz, dziecko, książkę, która leży przed tobą — rzekła srebrnowłosa pani — i przeczytaj ustęp na stronie 78.

Bronka otworzyła książkę i spojrzała w stronę panny Wandy. Tamta skinęła lekko głową i uśmiechnęła się do niej.

Czytanie poszło gładko, opowiedziała potem ustęp przeczytany jasno i zwięźle. Dyrektorka szepnęła coś do panny Wandy, a obie z uśmiechem patrzyły na dziewczynkę. Ośmielona już zupełnie, odpowiadała wyraźnie, zawahała się tylko przy rachunkach.

— Umiałam to już — rzekła spokojnie — ale teraz zapomniałam. Może mi to ciocia wyjaśni dokładniej, to sobie przypomnę. Uśmiechnęli się na te słowa wszyscy, a egzaminująca pani jeszcze raz ponowiła pytanie. Bronka pomyślała chwilę i rozwiązała zadanie zupełnie dobrze.

Wynik egzaminu był bardzo dobry. Na podstawie tegoż Bronisława Torska przyjęta została do klasy trzeciej.

Wyszła ze szkoły rozpromieniona.

— Uczennica klasy trzeciej — powtarzała sobie w duchu — to nie małe dziecko, to już ktoś taki...

— Jesteś zadowolona ze mnie, ciociu, — mówiła za powrotem do domu i naraz zerwała się i pobiegła do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Dziwnem to wydało się pannie Wandzie. Nie mogła pojąć, co się stało. Nie poszła jednak za Bronką, nie chciała jej niczem krępować.

A Bronka tymczasem podeszła do portretu ojca i, stanąwszy przed nim, rzekła wyraźnie i głośno:

— Tatusiu! czy ty mię słyszysz? Tatusiu, królowna twoja zdała egzamin do trzeciej klasy.

I zdało się wpatrzonemu w twarz ojca dziecku, że oto z obrazu... uśmiecha się do niej tatuś.

Nazajutrz od wczesnego rana zaroilo się na ulicach Lwowa. Ze wszystkich stron biegli chłopcy i dziewczęta z książkami i tornistrami na plecach. Witano się, spotykano co chwila, i znowu rozbiegano w różne strony. Każdy śpieszył do swej szkoły.

Tu znowu ruch, pełno na schodach i korytarzach.

Gwar, życie dokoła. Jak pszczołki do ula, tak młodzież podążyła do szkoły, rozbiega się po korytarzach, śpieszy do swych klas.

— Jak się masz, Janiu — woła jedna uczennica do drugiej. — Wracasz do nas, a gdzież jest Zosia Rębocka?

— Ona już do nas nie wróci — odpowiedziała zagadnięta. — Rodzice jej wyprowadzili się do Krakowa, tam się będzie uczyć.

— A Irenka, Hela, Genia?

— Idą, idą już wszystkie.

Nauczycielki zbierają swe klasy, ustawiają w pary, by iść do kościoła.

— Nowa, nowa przyszła — zaszeptały dziewczątka trzeciej klasy, widząc wchodzącą Bronkę.

— A z kim ona pójdzie w parze?

— Ja idę z Helą Grodzką, siedziałyśmy zawsze obok siebie w pierwszej i drugiej.

— I razem brałyście złe stopnie — złośliwie mówi któraś znowu.

— O przepraszam, raz się jeden tylko zdarzyło. A więcęj ani razu.

Bronka stała z boku, ciekawie przyglądając się wszystkim.

Widziała tu tę samą siwowłosą panią, która wczoraj egzaminowała ją, teraz robiła przegląd przybyłych uczennic. Zobaczywszy Torską, podeszła do niej, wzięła ją za rękę i zwracając się do uczennic rzekła:

— Moje dzieci, mamy tu miłego gościa, który do nas przybył i z innemi pracować będzie. Oto nowa wasza koleżanka Torska. Przybyła ona z drogiej nam zawsze Warszawy, z tego serca naszego kraju. Przyjmijcież ją serdecznie. Niech się czuje wśród swoich w rodzinie, bo my dzieci kraju, podzielonego przez wrogów, powinniśmy wszyscy gorąco i serdecznie kochać się, dłoń w dłoń iść ze sobą i pamiętać, że gdziekolwiek do polskiej szkoły wejdzcie dziecko polskie, tam wszędzie znajdzie braci i siostry...

— A teraz niech mi kto z was na mapie pokaże, gdzie leży Warszawa.

Dziewczynki rzuciły się w stronę ściany, na której rozwieszona była duża mapa Polski.

Uprzedziło jednak wszystkich jasnowłose drobne dziewczątko, skoczyło na ławkę i, pokazując paluszkami na mapie, zawołało:

— Warszawa tu jest. Leży nad Wisłą.

— Dobrze — rzekła nauczycielka — a teraz pójdź tu, Grzywińska.

Dziewczynka podeszła i stanęła wprost Bronki.

— Jesteś dzieckiem Lwowa, Krzysiu — zwracając się do Grzywińskiej, powiedziała nauczycielka — i pierwszą uczennicą w klasie, przywitaj więc w imieniu całej szkoły siostrę waszą z Warszawy.

Krzysia wspięła się na palce, by spełnić polecenie nauczycielki, a wzruszona tem przyjęciem Bronka ucałowała ją serdecznie.

— Pójdziecie razem w parze — dodała jeszcze nauczycielka.

Dziewczątka ustawiły się w szeregu i na dany znak wyszły z sali.

Na korytarzu zebrane były uczennice z innych klas.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego młodzież wraz z nauczycielkami szła do kościoła na mszę świętą.

Gdy już wszystkie klasy ustawiły się w szeregu, pani dyrektorka zwróciła się do uczennic.

— I znowu — przemówiła — rozpoczynamy nowy rok pracy. Stajemy do niej z nowym zasobem sił, energii i zapału. Obyż praca nasza w tym no-

wym roku owocną była. Oby ten rok wzbogacił naszą wiedzę, utwierdził wiarę, wzbudził w nas pragnienie i miłość do światła i nauki. Obyśmy w zwartym a serdecznym szeregu pracowały z jedną wielką myślą, że pracą budujemy wolną ojczyznę naszą; że ziemi naszej ozdobą i chlubą pragniemy być; użytecznymi obywatelkami rodzinnego kraju. — A teraz idźmy do kościoła prosić Boga o błogosławieństwo dla tej przyszłej pracy. O siłę i wytrwałość potrzebną nam wszystkim.

Bronka, klęcząc pośród koleżanek w kościele, wzruszona była jak nigdy. I dziś jak wczoraj przy egzaminie biło jej serce, spoglądała na swe towarzyszy: jedne klęczały cichutko, inne modliły się, były i takie, które się oglądały. „I ciocia Wandzia tu jest, i pani dyrektorka i nauczycielki, więc wszystkie, wszystkie jak tu jesteśmy, będziemy razem pracowały — myślała — bo przecie pani dyrektorka wyraźnie to mówiła, a wczoraj jeszcze powiedziała, że szkoła, to jedna rodzina”.

I dziwnie radośnie zrobiło się naraz w duszy Bronki. Po raz pierwszy od śmierci ojca nie czuła się samą, z ciocią tylko.

Dnia tego nie było jeszcze lekcji w szkole, i Bronka po nabożeństwie wróciła do domu wraz z panną Wandą.

— Bardzo się cieszę — powiedziała dziewczynka — że przyjechałyśmy do Lwowa. Tacy tu wszyscy dobrzy. Chyba we Lwowie, ciociu, нема złych ludzi?

Panna Wanda uśmiechnęła się.

— Co ty, Bronko, zawsze o złych ludziach mówisz? — spytała. — Powiedzże mi, czyś naprawdę kiedy złego człowieka widziała?

Bronka pokręciła główką.

— Widziałam, ciociu — rzekła — i ludzi i dzieci złe. We Lwowie jednak myślę, że ich niema. I pani dyrektorka nie taka, jak ta, o której czytałam z panną Yvette, i szkoła inna zupełnie, niepodobna do tamtej z książki.

Nazajutrz, gdy Bronka weszła do szkoły, koleżanki wszystkie przybiegły z nią się witać, otoczono ją dokoła, a każda chciała jej w jakiś sposób okazać swą życzliwość, każda czemś obdarzała. Jedna wcisnęła jej do ręki cukierek, szepcząc:

— Chowałam go od wczoraj dla ciebie.

Inna dała obrazek, ofiarowywały jej owoce, obsadki do piór, ołówki.

Bronka była temi darami wprost zawstydzona. Nie wiedziała, czy ma je przyjąć lub nie.

Nadeszła na to wszystko nauczycielka, uśmiechnęła się przyjaźnie do dzieci i powiedziała:

— Ciesz się, co tu widzisz, i chciałabym, byście zawsze w całym swym życiu, dzieci moje, tak postępowały. Bo, czy która z was pochodzi z Poznania, czy z Warszawy, lub Krakowa, czy się urodziła nad Sanem, lub Niemnem, zawsze jest dzieckiem tej naszej, kochanej ziemi. Powiem wam jeszcze, są biedne dzieci polskie, które się porodziły i żyją w lodach Syberji, w górach Kaukazu, są inne, których rodzice wyjechali szukać chleba do wielkiej i wolnej Ameryki i nigdy jeszcze te

dzieci Polski nie widziały, nie oddychały powietrzem rodzinnym, mimo to są to nasi drodzy bracia i siostry. I gdyby kiedy spotkał z nas kto takie dziecko polskie, niechże je przyjmie i powita jak najbliższą sobie osobę. A gdyby kto z was zrobił przykrość dziecku, urodzonemu w innej niż my części kraju, to popełniłby brzydkie, szkaradne czyn, słyszącie, i niegodnym byłby podnieść oczu na naszego srebrnego ptaka! Pamiętajcie o tem i, miłując ojczyznę, miłujcie się wzajem.

Dzieci szły na swoje miejsca. Krzysia wzięła Bronkę za rękę i rzekła:

— Będziemy siedziały obok siebie.

Weszły do ławki, na pulpicie Bronki leżała wiazanka kwiatów.

— To z mojego ogródka — powiedziała Krzysia — ty pewno jeszcze swego nie masz, boś niedawno przyjechała do Lwowa. Będę ci codzień przynosiła kwiatki.

Nauczycielka tłumaczyła, a dzieci słuchały jej wykładu, Bronka jednak nie umiała sobie z tem radzić. Wrażenie miała tyle przez te dni, że się skupić nie mogła, do wykładu szkolnego nie była też wdrożona.

Pomocną jej tu wielce była Krzysia, zdolna niezmiernie dziewczynka.

Uważała za siebie i za towarzyszkę, i coraz to jakąś wskazówkę dawała tamtej.

— Bo ja już jestem trzeci rok w szkole — mówiła — nic dziwnego, że mi łatwiej zrozumieć niż tobie, ale i ty się prędko nauczysz.

Podczas przerwy, gdy każda wyjmowała z koszyczka swoje śniadanie, Bronka obejrzała się za Krzysią, która jej gdzieś zniknęła. Siedziała opodal z suchą bułeczką w ręku.

Bronka pobiegła do niej ze swym koszyczkiem.

— Weź — rzekła serdecznie — jabłko, proszę cię — i podała jej piękny, dojrzały owoc.

Krzysia spojrzała do wnętrza koszyka, była tam tylko bułeczka. Potrząsnęła główką.

— Nie — powiedziała — to twoje śniadanie, a cóżbyś ty jadła?

— Kiedy ja nie jestem głodna... weź — nalegała Bronka.

Ale Krzysia nie chciała.

— To się podzielimy — zawołała wkońcu Bronka. — Zjemy jabłko po połowie.

— Tak, to dobrze — zgodziła się tamta.

I podzieliły się.

— Ta warszawianka bardzo jest dobra — zauważyły inne koleżanki. I Bronka miała już przyjaciółki.

Tak rozpoczęło się nowe życie królewny. Dzień jeden podobny był do drugiego. Rano wstawiała o pół do siódmej, ubierała się, jadła śniadanie i razem z cicią wychodziła z domu.

Szły obie do tej samej szkoły, bo panna Wanda uczyła w dwóch klasach — a potem miała lekcje w mieście. Bronka po nauce zostawała w domu pani dyrektorki, jadła tam obiad, szła na spacer pod opieką Niemki z dwiema starszemi uczennicami, które mieszkaly stale przy zakładzie. Po

przechadźce odrabiała lekcje na dzień następny, robiła jakąś robótkę. O piątej przychodziła do starszych panienek panna Wanda na lekcje francuskiego, Bronka, która od kołyski niemal mówiła po francusku i do śmierci ojca uczyła się wciąż tego języka, o wiele więcej umiała niż jej towarzyszyki i dumna była z tych lekcji niezmiernie.

O szóstej praca była skończona. Wracano do domu. Do gospodarstwa, jak mówiła Bronka.

Najmilsze to były chwile dla obu; rozmawiały, porządkowały wspólnie, przyrządzały sobie kolację. O dziewiątej dzień Bronki był skończony. Szła spać.

I nie wiedziała, że kiedy podczas jej snu cicia brała ołówkę do ręki, wciągała rachunki, porównywała dochody z rozchodami, przytem wzdychała nieraz smutnie.

Czyściła i naprawiała sukienki Bronki i jej bieleznię, a potem otwierała książki i długo w noc uczyła się, przygotowując się do egzaminu.

W niedziele i święta, o ile była pogoda, szły na dalekie spacer, zwiedzały Lwów i poznawały jego prześliczne okolice.

Były to chwile miłe dla Bronki, twierdziła, że się na przechadzkach z cicią lepiej bawi, niż z koleżankami. Przypominało to jej Bronków i wycieczki do lasu; jak wtedy, tak i obecnie wracały, niosąc całe snopy ziół i traw przeróżnych. A cicia o każdej roślinie tak ślicznie umiała mówić, że Bronka coraz bardziej kochała wszystkie te „chwastry“, jak je ongi nazwała pani Karolowa.

Wśród koleżanek Bronki — a było ich obecnie szesnaście — najzdolniejszą była dotąd Krzysia Grzywińska. Odkąd przysłała do szkoły, to jest przez całe dwa lata, była zawsze pierwszą. Uczyła się dobrze, a swą dobrocią i uprzejmością zyskiwała sobie serca nauczycielek i towarzyszek.

Nazywano ją „Maleńką“, bo choć miała już dziesięć lat skończonych, tak była drobna, że wyglądała na sześciolatnie dziecko. Musiała stawać na stołeczku, robiąc zadania na tablicy.

Koleżanki lubiły Krzysię za jej wesołość i dobroć, i nigdy dotąd nie przyszło żadnej na myśl zazdrościć jej tego, że jest pierwszą w klasie. Tak przecie było od początku, że „Maleńka“ była pierwszą, że odbierała pochwały i nagrody.

Do trzeciej klasy jednocześnie z Bronką przybyło jeszcze kilka dziewczynek.

Nowe nie były tak z sobą zżyte, jak dawne, i odrazu zaczęły brózdzić.

Rej wśród nich wiodła wysoka, tęga dziewczynka, Nusia Palmirska. Przygotowana była dobrze i jeszcze przed wakacjami, zdała wstępny egzamin, a teraz zaczęła przychodzić do szkoły. Nie zbliżyła się do żadnej z dawnych uczennic i zaledwo im kiwnęła głową, wchodząc do klasy. Natomiast zapoznała się z nowo przybyłymi. Miała chęć zbliżyć się do Bronki, ale ta trzymała się przeważnie z Krzysią, na którą Palmirska niechętnie od początku patrzyła. Nusia uczyła się dobrze i zaraz pierwszego dnia powiedziała, że będzie najlepszą uczennicą.

— Zobaczmy — zawołała Józia Kielska, żywa jak iskra dziewczynka — czy ci uda się wyprzedzić Krzysię, dotąd nikt tego nie dokazał.

Nusia spojrzała pogardliwie w stronę Krzysy i wzruszyła ramionami.

— Widocznie, że wasza klasa porządnie leniuchuje — rzekła — skoro taka „mała“ jest w niej pierwszą.

— A czy ty pracowitość i zdolność obliczasz na cale i metry? — zapytała któraś z dziewczynek.

Śmiech ogólny rozległ się po sali.

— To w takim razie — zawołała inna — słup telegraficzny byłby najmędrszym.

I znowu śmiano się wesoło, podchwycono to porównanie i wołano dokoła: „słup, słup telegraficzny!“

Nazwa ta przyrosła do Nusi.

Nie była ona zbyt trafnie wybraną, bo słup długi i cienki, a Nusia, chociaż wysoka, była też i odpowiednio do wzrostu tęga.

Mimo to przezwano ją „słupem telegraficznym“.

Krzysi i Bronki nie było przy tej rozmowie, która się toczyła na korytarzu. Dopiero wchodząc do klasy, usłyszały powtarzany wkółko ten wyraz.

— Co? kto jest słupem? — zapytała Krzysia najzupełniej niewinnie, zwracając się do idącej przed nią Nusi.

— Jesteś głupia! — usłyszała w odpowiedzi.

Krzysia zaczerwieniła się, i łzy zakręciły się w jej oczach, nie powiedziała jednak ani słowa.

— Nieprawda! — zawołała w tejże chwili idąca obok niej Bronka — nieprawda i ty nie masz prawa tak do Krzysi mówić. Powinnaś ją przeprosić.

— Tak, tak! — zawołały inne uczennice — powinnaś przeprosić Krzysię!

Zakotłowało się w małym świątku; szczęściem zadzwoniono i trzeba było wracać na miejsca.

Próżno jednak nauczycielka wykladała piękne i zajmujące rzeczy. Nikt dziś nie słuchał, wszystkie były wzburzone poprzedniem zajęciem.

Nauczycielka wzywała do tablicy jedną po drugiej dziewczynkę, ale każda była jakoś dziwnie roztargniona i żadna dokładnie nie zrobiła zadania, ani powtórzyła poprzedniej lekcji.

Najgorzej poszło Bronce.

Była tak oburzona na Nusię, iż nie wiedziała, co się w klasie dzieje, nie posłyszała nawet swego nazwiska.

Krzysia musiała ją pociągnąć za rękaw. Wyszła z ławki, ale nie wiedziała, o co chodzi, i zapisano ją za nieuwagę.

Wychodząc z ławki, Nusia spojrzała triumfująco po sali.

Jednocześnie jak na dany znak rozległ się przeciągły szmer:

— Słup telegraficzny... telegraficzny słup...

— Proszę o spokój! — rzekła nauczycielka.

Uciszyło się na chwilę, zaledwo jednak Nusia zaczęła mówić, znowu powstał hałas.

Powtórne upomnienie.

Korzystając z chwilowej ciszy, Nusia zaczęła rozwiązywać zadanie.

Koleżanki jednak nie dały za wygraną i jeszcze głośniejszą zaczęły wołać:

— Telegraficzny słup!

Nauczycielka spokojnie dała znak Nusi, by przestała, i zwracając się do uczennic, wywołała dwie: Jankę Zdrowską i Genię Trzcinską, obie znane z tego, że do wszystkich figli pierwsze były, i kazała im stać przy sobie, tuż koło katedry.

Klasa uciszyła się tym razem, i Nusia wkońcu zrobiła zadanie.

Końca waśni jednak nie było. Podzielono się na dwa obozy: przyjaciółek Krzysi i stronnictwa Nusi.

Nazajutrz Bronka, wchodząc do szkoły, nie spotkała swej towarzyszki, zdziwiło ją to, bo Krzysia nie spóźniała się nigdy. Cóżby się dziś stało?

Zdjęła płaszczyk i kapelusik i chwilę czekała na korytarzu, Krzysi nie było. Dzwonek wołał, weszła więc smutna do klasy.

— Torska, cóżes dziś taka milcząca? — zapytała na przerwie któraś z koleżanek.

— Niani niema, więc warszawska panienka — pośpieszyła z odpowiedzią Nusia — nie wie, jak ma chodzić i odpowiadać.

Bronka zaczerwieniła się, a inne uczennice wybuchnęły śmiechem.

— Już ja ci powiem, czemu Krzyski dziś niema — mówiła Nusia. — Pewno soli ogórki, lub groch

łuszczy z mamusią, nie miała więc czasu przyjść do szkoły.

— Nieprawda — mówiła Bronka — ty zawsze mówisz nieprawdę.

— Przedewszystkiem naucz się mówić grzecznie — rzekła Nusia — pamiętaj, że jesteś we Lwowie, nie w Warszawie, gdzie można ludziom kłamstwa zadawać, a następnie, moja prawdomówna panno, wiedz o tem, że tak jest, jak mówię. Twoja najmilsza Krzysia jest córką ogrodniczki podmiejskiej, nie żadną jaśnie wielmożną, więc może chyba groch łuskać, lub cebulę sadzić.

Wiadomość ta spadła gromem na Bronkę. Jakto, jej Krzysia jest córką ogrodniczki? Pani nauczycielka zbliżyła je ze sobą, kazała im chodzić w parze. Siedzą obok siebie w ławce.

Zbudziły się w jej duszyczce dawne przyzwyczajenia i wspomnienia.

I Bronka, której dotąd było dobrze i wesoło w szkole, naraź uczuła się nieszczęśliwą. Cały dzień była chmurna i milcząca. Zwróciło to uwagę pani dyrektorki, próżno jednak pytała, Bronka nie powiedziała jej przyczyny swego smutku, czy też niezadowolenia.

Zato zaledwie wyszła wieczór o szóstej z zaskładu, zwróciła się do panny Wandy z temi słowy:

— Ciociu, ja tu więcej nie wrócę.

Panna Wanda przystanęła zdumiona.

— Nie rozumiem cię, Bronko — rzekła — dokąd nie wrócisz?

— Do szkoły — rzekła krótko Bronka — nie chcę tu się uczyć. — I poszła szybko naprzód.

Panna Wanda nie odezwała się jednym słowem. Milcząc wróciła do domu.

Gdy się Bronka rozebrała i schowała swój płaszcz i kapelusik, ciocia weszła do jej pokoju.

— Powiedziałaś — rzekła, sadając na małej, stojącej w rogu kanapce — iż nie wrócisz do szkoły, ale nie podałaś mi powodu, dlaczego to chcesz uczynić. Proszę cię więc, powiedz mi go.

Bronka zaczerwieniła się i spuściła oczy.

— Bo — szepnęła po chwili — pani dyrektorka zrobiła mi przykrość.

— Tobie przykrość pani dyrektorka zrobiła? Nie mogę w to uwierzyć. Musiałaś być niegrzeczna, Bronko, i spotkała cię zasłużona nagana.

— Byłam grzeczna, ciociu — mówiła mieszając się Bronka — i pani dyrektorka nie powiedziała mi dziś nic, ale dlaczego ona to zrobiła?

— Co zrobiła? — pytała panna Wanda.

— Że mnie posadziła obok Krzysi, że ja zawsze z Krzysią chodzę — szepnęła Bronka.

— A cóż Krzysia zawiniła? — pytała ciocia. — Przecie jeszcze dziś rano mówiłaś, że ją kochasz bardzo.

Bronka mieszała się coraz bardziej.

— Bo wtedy jeszcze nie wiedziałam — szepnęła — że jest córką ogrodniczki.

Panna Wanda drgnęła. Wiedziała o nieszczęsnej pysze dziewczynki, zwalczała ją oddawna, uważając ją za największą wadę Bronki, głównie

z tego powodu wyjechała z Warszawy sądząc, że Bronka w obcym otoczeniu zapomni wielu niemiłych rzeczy, których ją poprzednie otoczenie nauczyciela, że wyzbędzie się tej szkaradnej wady oceniania ludzi podług ich zawodu i stanowiska, jakie zajmują w świecie. Cieszyła ją przyjaźń z miłą Krzysią i liczyła na to, że właśnie pod wpływem tego uczucia Bronka inaczej sądzić będzie ludzi, a tu ona chce wyjść ze szkoły z tego powodu, że Krzysia nie jest bogata...

Zastanowiła się chwilę, a potem już spokojnie mówiła.

— Czy to co Krzysi szkodzi, czyś mi sama nie mówiła, że Krzysia jest bardzo grzeczną i dobrze wychowaną dziewczynką? Uczy się doskonale, jest zdolna i pracowita. Nigdy zaś nie daje uczuć swej wyższości żadnej z was. Przeciwnie, najchętniej, jak wiesz, tłumaczy i objaśnia każdej towarzysze, pomaga robić jej zadania. Towarzystwo więc jej tylko pożytecznem dla każdej z was być może. Skoro jednak wstydzisz się siedzieć obok córki ogrodniczki, to poproszę, byś siedziała przy Nusi Palmirskiej. Jest ona również zdolną, a jako córka radcy będzie dla ciebie zupełnie odpowiedniem towarzystwem.

— Ja nie chcę siedzieć przy Nusi, niecierpię jej — rzekła Bronka — ale ja, ciociu, do szkoły już iść nie mogę.

— Usiądź, Bronko, tu przy mnie i pomówmy rozsądnie — powiedziała panna Wanda. — Wiesz dobrze, że chcąc ci oszczędzić wielu przykrości,

wyjechałam z Warszawy, że tu we Lwowie jest mi trudniej znaleźć zajęcie i wobec tego o wiele ciężiej pracować muszę. Zrobiłam układ na cały rok z panią dyrektorką i gdybyś ty teraz do szkoły nie poszła, musiałabym go zerwać, a więc postąpić nieuczciwie względem osoby, która mnie nieznaną przyjęła i dała u siebie pracę, a sama naraziłabym się na ciężką stratę i muszę ci powiedzieć szczerze, że gdyby się to stało, to nie miałybyśmy o czem żyć.

— A poco ty masz zrywać umowę z panią dyrektorką? — powiedziała dziewczynka. — Ty możesz tam uczyć, choćby mnie w szkole nie było.

— Nie, nie mogłabym — odparła panna Wanda. — Musiałabym powiedzieć szczerze całą prawdę pani dyrektorce, a ona sama z pewnością by mnie zwolniła. Przekonaną byłaby, że ja cię tak nierozsądnie wychowuję, i takiej nauczycielki, która się wstydzi jakiejś pracy, pogardza uczciwymi pracownikami, nie mogłaby mieć w swym zakładzie. Zmuszać cię do przyjaźni z Krzysią i z żadną inną nie chcę i nie będę, ale i ty nie możesz wymagać ode mnie niepodobnych do spełnienia rzeczy. Jest zatem jedna rada, ta, o której wspominałam, byś się zbliżyła z Palmirską.

— Nigdy tego nie zrobię! — zawołała Bronka. — Nusia jest złośliwa, zarozumiała i niedobra. Nie lubię jej i nie siadę przy niej nigdy.

— Ale Nusia — mówiła panna Wanda — ma zamożnych rodziców, mają własną kamienicę, jeżdżą własnym powozem. Nusia ma zawsze ładne

sukienki i zgrabne buciki, a tobie podoba się to wszystko i sprawia wielką przyjemność.

Chwilkę trwało milczenie.

— Muszę ci jedną rzecz opowiedzieć — rzekła wkońcu panna Wanda.

— Przed laty żył w Królestwie, wpobliżu Warszawy ubogi robotnik rolny. Dzieci miał kilkoro, bieda w chałupie była wielka, bo z pracy rąk żyli, a ani chałupy, ani ziemi własnej nie było. Jeden z chłopców cudem niemal wyuczył się czytać i pisać. Ksiądz proboszcz widząc, że chłopak zdolny, uczyć się chce, zapisał go do miejskiej szkoły. Bosy, obdarty chłopczyk chodził tam i tak się pilnie uczył, a taki był przytem grzeczny i dobry, że nauczyciel bardziej niż innemi dziećmi nim się zajmował. Ze szkółki poszedł chłopak do gimnazjum. Do czwartej klasy pomagali mu dobrzy ludzie. Potem pracował sam. O chłodzie i głodzie skończył gimnazjum, chciał jechać do uniwersytetu, chciał być lekarzem i drugim pomagać, ale nie miał żadnych środków. Dowiedział się, że w Warszawie jest bogaty przemysłowiec, i niedługo myśląc napisał do niego z prośbą o pożyczkę. Trafił na człowieka dobrego i rozumnego, pożyczkę dostał, ukończył nauki i dziś jest jednym z bardzo zdolnych lekarzy w Warszawie. Kupił starej matce grunt i chałupę. Braciom pomaga, a dla wszystkich biednych i smutnych ludzi jest najlepszym przyjacielem.

— Kto to taki, ciociu? — zapytała Bronka.

— Obawiam się powiedzieć ci jego nazwisko — odrzekła panna Wanda — bo przestaniesz go kochać.

— To Kępa! — zawołała Bronka — prawda, że ja zgadłam?

— Zgadłaś, ale teraz gdy wiesz, że jest synem prostego chłopca, że dzieckiem będąc umierał z głodu nieraz, nie zechcesz go więcej widzieć.

— Ach, ciociu, jakaś ty niedobra! — zawołała Bronka. — Ty wiesz, że jego bardzo kocham i zawsze kochać będę.

— Nie rozumiem więc, dlaczego cię razi, że Krzysia jest córką ogrodniczki?

Zamysliła się Bronka, a po chwili zawołała:

— Ja naprawdę jestem bardzo niemądra, ciociu, ty się chyba mnie wstydzisz...

— Zrozumiałaś swój błąd, Bronko, i to mnie cieszy — mówiła panna Wanda, gładząc główkę dziewczynki — a teraz jeszcze ci jedno powiem:

— Pamiętasz, jak przy twem wejściu do szkoły powiedziała pani Tylicka, że wszystkie dzieci Polski kochać się powinny bez względu na to, czy się które z was urodziło w Warszawie, czy we Lwowie, bo wszystkie należycie do jednego narodu. To samo ja ci dziś powtórzę. Bez względu na to, czy która z was urodziła się w pięknym pałacu, a druga w słomą krytej chałupie, powinniście kochać się i żywić dla siebie wzajem jak najserdeczniejsze uczucia, bo i tu jesteście dziećmi jednej ziemi matki. Nie można nawet wyobrazić sobie takiego kraju, w którymby wszyscy byli tylko np. przemysłowcami, jak tatuś, lub lekarzami, jak doktor Kępa. Społeczeństwo składa się z różnych

osobników, lekarzy, nauczycieli, urzędników, robotników, ludu wiejskiego, rzemieślników, uczonych i artystów i t. d. Ale jeśli ci wszyscy ludzie należą do jednego społeczeństwa, tworzą jeden naród, to przecie wszyscy powinniśmy uważać się za braci, za rodaków i dbać jedni o drugich i jedni dla drugich mieć wielką życzliwość. Chodzi tylko o to, by każdy z nas pełnił uczciwie obowiązek, jaki nań życie włożyło. Otóż gdyby rodzice Krzysia byli nieuczciwymi ludźmi, gdyby kradli i oszukiwali, a Krzysia idąc za złym przykładem, również była złą dziewczynką, nie chciałabym i nie pozwoliłabym na to, byś przy niej siedziała i do niej się wogóle zbliżała. Ale jej ojciec jest pracowitym robotnikiem przy kolei, matka prowadzi dom i z małego ogródka wychowuje uczciwą pracę dzieci. Krzysię znamy jako dobrą i pilną dziewczynkę. Nic jej nie ubliża praca rodziców, i tobie krzywdą się nie stanie, że z nią przestajesz.

— Nie mówmy już o tem, ciociu — prosiła Bronka — ja się tego wstydzę. Dobrze, że Krzysia nie domyśli się tego nawet, co ci mówiłam. Pewno nie chciałaby mnie znać...

.

Upłynęło lat kilka. Bronka przeszła szkołę normalną, potem wydziałową*) i była na drugim roku w seminarjum nauczycielskiem we Lwowie.

*) Są to nazwy różnych typów szkół w byłym zaborze austriackim. (Przypisek do wyd. 2-go).

Miała już szesnasty rok. Za dwa lata, mówiła, zostanie dorosłą i będzie sama myślała o sobie. Dotąd trosk wielkich nie miała. Panna Wanda czuwała zbliska, a z oddali doktor Kępa.

Zacny przyjaciel nie zapominał nigdy o córce p. Andrzeja, pisywał do niej długie listy, dając w nich rady i wskazówki potrzebne. Nieraz przychodziły chwile, kiedy Bronka nie zgadzała się w poglądach swych z panną Wandą. Nie dawała się niczem przekonać, a ciocia ze swej strony ustąpić nie mogła. W takich chwilach Bronka zwracała się sama do „przyjaciela”, jak zwała zazwyczaj doktora, i on rozstrzygał, wpływ bowiem miał zawsze wielki na dziewczynkę. Na święta zjeżdżał do Lwowa i wtedy była dopiero uciecha. Kilka razy doktor Tadeusz proponował pannie Wandzie pomoc pieniężną na wychowanie Bronki. Dziękowała mu za to serdecznie, ale nie przyjęła nigdy.

— Jeśli tak — mówił Kępa — to już nie może mi pani zabronić, bym Bronce nie robił przyjemności.

I za każdym razem, gdy się we Lwowie pojawił, Bronka używała przyjemności. Robiono wybieżki do różnych miejscowości małopolskich, poznawała dziewczynka piękne góry nasze, używała sportów, i wzmacniało się jej zdrowie, nabierała zręczności ruchów, wesołości i swobody. Panna Wanda pracowała sama usilnie, zdała wymagane egzamina, była nauczycielką krajową, a poza tem jak dawniej dawała lekcje i pracą swą utrzymywała i wychowywała Bronkę.

Z Klonowem stosunków żadnych oddawna nie było. We trzy lata po bytności Bronki u stryjo-stwa zmarł pan Karol, zostawiając żonie i dzieciom olbrzymi majątek. O Bronce nie pamiętał w testamencie stryj, a stryjenka i kuzynkowie nie troszczyli się, czy ona wogóle żyje.

Z koleżanek dawnych, ze szkoły ludowej, Bronka w szkole wydziałowej żadnej nie miała. Z Krzysią pożegnały się, wychodząc z czwartej klasy normalnej. Potem każda poszła w swoją stronę, bo do innej szkoły. W szkole wydziałowej były dziewczynki, z którymi Bronka żyła w zgodzie i lubiła je, ale przyjaciółki tam żadnej nie znalazła. Ze wszystkimi była dobrze, do żadnej nie przylgnęła i one też, chociaż lubiły Bronkę, bo nikomu nie dokuczała, jednak nie przywiązały się do niej zbyt.

Żyła przeważnie sama z panną Wandą i z listami Kępy. Piszac doń, była zawsze najszczerszą.

Ze znajomych najbardziej lubiła chodzić do pani Tylickiej, owej dawnej, siwowłosej nauczycielki. Często niedzielne popołudnia, o ile nie wychodziła z panną Wandą na przechadzkę, spędzała u dawnej nauczycielki i, siedząc na małym stoleczku u nóg jej, rozmawiała z nią o wielu rzeczach.

Były to miłe chwile, trwające zazwyczaj jednak krótko, bo pani Tylicka poza swą pracą zawodową, którą kochała i pełniła wzorowo, miała ty-siące zajęć, pochłaniających czas zupełnie. Należała do różnych towarzystw oświatowych, była

kierowniczką wieczornych kursów dla analfabetów, członkiem Pomocy Przemysłowej, T. Sz. L. i wszędzie brała czynny udział. Wszędzie prócz pomocy materialnej dawała swą pracę.

Na rozmowy i sprawy osobiste niewiele zostawało czasu. Niemniej jednak garnęła do siebie młodzież i Bronka przez te lata pobytu pod jej kierunkiem tak się do niej przywiązała, że we Lwowie nie miała — jak mówiła — droższej dla siebie osoby. Naturalnie poza panną Wandą, ale ta należała do niej, nie do Lwowa, jak żartowała Bronka. Obie nauczycielki znały się i zaprzyjaźniły ze sobą wielce i głównie dzięki wpływom i poparciu pani Tylickiej, panna Wanda znalazła tu zajęcie, zapewniające jej byt niezależny. Pannę Wandę cieszyło to, że Bronka tak bardzo przylgnęła do pani Tylickiej, której powagę i rozum ceniła wysoko, i często z rozmysłu zostawała w domu, gdy jej wychowanka wspomniała, iż chce pójść odwiedzić swą przyjaciółkę, jak żartem nazywała panią Tylicką. Bronka wołała również chodzić tam sama.

— Kocham bardzo ciotkę Wandę — mówiła nieraz, siedząc z głową opartą na kolanach pani Tylickiej — wierzę w rozum Kępy, ale sumieniem mojem jest pani. Gdy nie jestem w zgodzie ze sobą, gdy nie wiem, co mam uczynić, jak postąpić, muszę z panną mówić. Z ciotką idzie mi trudniej, nie dlatego, bym jej nie wierzyła, ale ona chciałaby we mnie widzieć wszelkie doskonałości i martwi się tylko wielu rzeczami, a pani właśnie wyka-

zuje mi moje wady i uczy, jak mam się z nich poprawiać.

Były nawet chwile, w których pani Tylicka występowała jako pośredniczka pomiędzy panną Wandą a Bronką.

Dzięki jej wpływowi dziewczynka po ukończeniu szkół wydziałowych wstąpiła do seminarjum.

Oddawna postanowiła sobie Bronka, że pójdzie do gimnazjum, a po ukończeniu i otrzymaniu świadectwa dojrzałości zapisze się do uniwersytetu, na wydział medycyny.

— Będę lekarzem — mówiła — tak, jak Kępa. Chcę pracować dla społeczeństwa, zobaczysz, ciociu, że będę dobrym lekarzem. Zdobędę dużą praktykę, uznanie, a moja ciotuś przestanie zabijać się dawaniem lekcyj.

Kilka koleżanek Bronki wystąpiło również ze szkoły wydziałowej i przeniosły się do gimnazjum.

— Zrób i ty tak, Bronko — namawiały — łatwiej ci będzie przechodzić z klasy do klasy, niż od razu wstępować do klasy wyższej.

Ciocia Wandzia nie była jednak za tem, by się Bronka przenosiła z zakładu do zakładu, i dziewczynka nie nalegała.

W ósmej jednak będąc klasie, wyjawiała zamiar swój pannie Wandzie: Nie pójdzie do seminarjum, lecz podczas wakacyj przygotowuje się i zda do gimnazjum.

— Muszę się odwołać do twego rozsądku, Bronko — rzekła odpowiadając na to panna Wanda. — Jesteś jeszcze bardzo młodziutka, nie wiesz

i nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak poważnym i ciężkim jest zawód lekarza. Kochasz doktora Kępę i dlatego jedynie chcesz obrać sobie ten sam zawód, co i on. Nie zniechęcam cię i nie odmawiam stanowczo, wołałabym jednak, byś ukończyła seminarjum i została nauczycielką.

— Nigdy, ciociu! — zawołała Bronka. — Nie chcę i nie pojadę na wieś, nie zostanę wiejską nauczycielką.

— Czy znowu odzywają się w tobie różne dawne wspomnienia? — zapytała ze smutkiem w głosie panna Wanda. — Czyż nigdy, Bronko, nie chcesz w ubogiem dziecku ludu widzieć przede wszystkim dziecka Polski?

Bronka zaczerwieniła się.

— Krzywdzisz mię, ciociu, niesłusznie — rzekła. — Nie jestem już tą małą, niemądrą Bronką, która ludzi oceniała podług ich ubrań lub mieszkań. Młoda jestem, lecz przemyślałam niejedno już, nauczycielką nie będę nigdy.

— A jednak przyznaj sama, Bronko — mówiła panna Wanda — że zawód to najpiękniejszy i najszczytniejszy. Lekarz leczy ciało, nauczyciel buduje duszę, otwiera przed nią nieznane tajniki wiedzy, wiedzie młody umysł ku jasnym szczytom światła i dobra. W kraju naszym, w którym mroki okrywają jeszcze ziemię, bardziej niż gdzie indziej potrzebne są dobre siły nauczycielskie.

— Tak, bezwątpienia — odparła Bronka — ale trzeba przedewszystkiem nauczycielek takich, jak

ty, ciociu, i pani Tylicka, a ponieważ ja wam nie dorównam, więc nauczycielką nie zostanę.

Tak mówiła Bronka, a panna Wanda ze swej strony nie ustępowała i nie chciała się zgodzić na gimnazjum i medycynę. Bała się dla Bronki wielkiej i poważnej pracy, jaką jest medycyna, obawiała się, że jej nie podoba, że zniszczy ona jej siły. Bronka wprawdzie nie chorowała nigdy, była jednak dosyć wrażliwa i niezmiernie. Była przytem wytrwała w pracy i bardzo ambitna.

„Jeżeli wstąpi na medycynę — myślała panna Wanda — nie zejdziesz już z tej drogi i będzie zmagła się ze sobą, zwalczała swe siły, by tę wiedzę zdobyć, by zostać lekarzem. Ale co za straszny zawód ją spotka, jak będzie cierpieć nad tem, gdy po zwalczeniu wszystkich przeszkód, po latach usilnej pracy poczuje, że jest niezdolna do swego zawodu, że musi go zaniechać lub pełnić tylko rzemieślniczo?”

Panna Wanda знаła Bronkę nawskroś, wiedziała, że ma ona ogromną moc miłości własnej i że ta ambicja może ją zaprowadzić na szczyty, lub stać się ciężkiem nieszczęściem jej życia.

Widząc to i rozumiejąc dążności Bronki, nie chciała, by sobie obierała zawód lekarza.

Kępa, zapytany listownie o radę, nie odradzał stanowczo, ale też i nie zachęcał.

Pani Tylicka rozstrzygnęła sprawę najlepiej.

— Ani lekarzem — mówiła — ani nauczycielką nie należy być z potrzeby, dlatego, by mieć jakiś zawód, dający nam chleb i pewny dochód.

I jeden bowiem i drugi zawód do handlu się nie nadają. Frymarka każda jest wstrętną, zwłaszcza, jeśli frymarczymy naszą duszą, jej uzdolnieniem i upodobaniem. Do każdej pracy, do każdego zajęcia człowiek powinien wносить swego ducha, powinien pracować z miłością i wtedy ta praca nie będzie ciężką, ani niemiłą.

Bardziej niż w innych zawodach konieczne to jest w nauczycielstwie i w medycynie. Ani nauczyciel, ani lekarz, jeśli są uczciwymi ludźmi, jeśli chcą społeczeństwu pracą nieść korzyść, nie mogą być niewolnikami, to jest pracować tylko dla pieniędzy.

— Ja też o tem nie myślę — zawołała Bronka — mimo że nie ukrywam tego, iż chcę mieć byt niezależny, chcę być nawet zamożną.

— I dlatego, moje dziecko — rzekła pani Tylicka — wybierasz sobie zawód lekarza, nauczycielstwo dałoby ci w najlepszym razie bardzo skromny byt...

— Nie — odpowiedziała Bronka — to nie jest głównym powodem, dla którego nie chcę być nauczycielką. Ja poprostu nie umiałabym i nie potrafiłabym uczyć nikogo. Patrząc, jak to panie robią, i najmniejszej chęci do tego nie mam. A że chcę być zamożną, niech to pani nie oburza. Od tylu lat przyjmuję wszystko od cioci Wandy, widzę jej pracę i poświęcenie dla mnie. Dotąd nie odczułam nigdy żadnego braku, mimo skromnych środków, otoczyła mnie wszystkiem, czem może być otoczone

dziecko. Nie czuję sieroctwa, nie czuję biedy, jakkolwiek nic swego nie mam, uczę się więcej i staranniej niż niejedna z moich zamożniejszych koleżanek. Wszystko to jej zawdzięczam. Kocham ją za to wszystko i wdzięczna jestem jej wielce, ale cierpię nad tem, że wciąż żyję z łaski. I dlatego chcę być bogatą, chcę mieć tyle, by w przyszłości otoczyć ją dostatkiem, dać jej wszystko, by mogła spokojnie wypoczywać po ciężkiej pracy. Bo nikt nie wie prócz mnie, jak bardzo ona dla mnie pracuje. A potem chcę jeszcze i dlatego być zamożną, by móc i innym pomagać, by oddać drugim to wszystko, co mnie ludzie dali i dają. Widzi więc pani, że niema chyba we mnie złych, osobistych pragnień pieniędzy i używania, proszę mnie zatem źle nie sądzić.

Pani Tylicka miękkiem ruchem objęła w pół Bronkę i przygarnęła ją do siebie.

— Jesteś zącną i dzielną dziewczyną, Bronko — rzekła — nie wątpię o prawdzie twych słów i wierzę, że spełnisz swe zamiary. Mimo to poradzę ci tak: wstąp do seminarjum, wszak pobyt w niem nie zmusza cię, ani zobowiązuje, byś została nauczycielką, pierwsza byłabym przeciw temu. Ale nabędziesz więcej światła, wiedzy i doświadczenia przez te cztery lata, rozejrzysz się dookoła i jeśli po czterech latach zechcesz pójść na medycynę, nikt cię powstrzymać nie będzie. W ciągu dwu lat zdasz z łatwością egzamin z matury gimnazjalnej.

— Chodzi mi jeszcze o środki — szepnęła Bronka. — Chciałabym co najrychlej przestać żyć z tego, co zarabia ciocia.

— W każdym razie i po wstąpieniu do gimnazjum przez kilka lat musiałabyś żyć jej kosztem. Łatwiej ci będzie po uzyskaniu świadectwa dojrzałości, przygotować się do uniwersytetu i nawet już będąc w uniwersytecie pracować samej trochę i ulżyć w ten sposób pannie Wandzie, niż gdybyś teraz weszła do gimnazjum. Ale o jedno cię proszę, nie wmawiaj w siebie, że poza nauczycielstwem i medycyną niema dla ciebie innego zajęcia, zawodu. Nie zasklepiaj się w tej myśli, że koniecznie, stanowczo musisz być lekarzem. Wierz mi, wiele pola do pracy użytecznej i produkcyjnej leży dotąd odłogiem. Dlatego tylko jedynie, że wszyscy lubimy chodzić utartymi drogami, że nie mamy oczu otwartych i odwagi w duszy, lub że za wcześnie zamyślamy o wyborze zawodu i bez namysłu go bierzemy, to albo zostajemy kalekami moralnymi, albo tylko rzemieślnikami bez duszy i połotu.

Słowa te były decydujące. Bronka w parę dni potem oznajmiła pannie Wandzie, że wstąpi do seminarjum nauczycielskiego.

— Czy jednak w przyszłości zostanę nauczycielką, tego jeszcze nie wiem i nie obiecuję ci, ciociu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Bronka, wchodząc po raz pierwszy do seminarjum, była Krzysia

dziecko. Nie czuję sieroctwa, nie czuję biedy, jakkolwiek nic swego nie mam, uczę się więcej i staranniejsz niż niejedna z moich zamożniejszych koleżanek. Wszystko to jej zawdzięczam. Kocham ją za to wszystko i wdzięczna jestem jej wielce, ale cierpię nad tem, że wciąż żyję z łaski. I dlatego chcę być bogatą, chcę mieć tyle, by w przyszłości otoczyć ją dostatkiem, dać jej wszystko, by mogła spokojnie wypoczywać po ciężkiej pracy. Bo nikt nie wie prócz mnie, jak bardzo ona dla mnie pracuje. A potem chcę jeszcze i dlatego być zamożną, by móc i innym pomagać, by oddać drugim to wszystko, co mnie ludzie dali i dają. Widzi więc pani, że niema chyba we mnie złych, osobistych pragnień pieniędzy i używania, proszę mnie zatem źle nie sądzić.

Pani Tylicka miękkim ruchem objęła wpół Bronkę i przygarnęła ją do siebie.

— Jesteś zącną i dzielną dziewczyną, Bronko — rzekła — nie wąpię o prawdzie twych słów i wierzę, że spełnisz swe zamiary. Mimo to poradę ci tak: wstąp do seminarjum, wszak pobyt w niem nie zmusza cię, ani zobowiązuje, byś została nauczycielką, pierwsza byłabym przeciw temu. Ale nabędziesz więcej światła, wiedzy i doświadczenia przez te cztery lata, rozejrzysz się dookoła i jeśli po czterech latach zechcesz pójść na medycynę, nikt cię powstrzymać nie będzie. W ciągu dwu lat zdasz z łatwością egzamin z matury gimnazjalnej.

— Chodzi mi jeszcze o środki — szepnęła Bronka. — Chciałabym co najrychlej przestać żyć z tego, co zarabia ciocia.

— W każdym razie i po wstąpieniu do gimnazjum przez kilka lat musiałabyś żyć jej kosztem. Łatwiej ci będzie po uzyskaniu świadectwa dojrzałości, przygotować się do uniwersytetu i nawet już będąc w uniwersytecie pracować samej trochę i ulżyć w ten sposób pannie Wandzie, niż gdybyś teraz weszła do gimnazjum. Ale o jedno cię proszę, nie wmawiaj w siebie, że poza nauczycielstwem i medycyną niema dla ciebie innego zajęcia, zawodu. Nie zasklepiaj się w tej myśli, że koniecznie, stanowczo musisz być lekarzem. Wierz mi, wiele pola do pracy użytecznej i produkcyjnej leży dotąd odłogiem. Dlatego tylko jedynie, że wszyscy lubimy chodzić utartymi drogami, że nie mamy oczu otwartych i odwagi w duszy, lub że za wcześnie zamyślamy o wyborze zawodu i bez namysłu go bierzemy, to albo zostajemy kalekami moralnymi, albo tylko rzemieślnikami bez duszy i połotu.

Słowa te były decydujące. Bronka w parę dni potem oznajmiła pannie Wandzie, że wstąpi do seminarjum nauczycielskiego.

— Czy jednak w przyszłości zostanę nauczycielką, tego jeszcze nie wiem i nie obiecuję ci, ciociu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Bronka, wchodząc po raz pierwszy do seminarjum, była Krzysia

Grzywińska. Kilka lat nie widziały się, poznały się jednak obie w jednej chwili i z okrzykiem radości padły sobie w objęcia.

— Nie myślałam nigdy, że cię tu zobaczę — mówiła Krzysia, tuląc się do Bronki.

Była zawsze drobna i szczupła, te same miała jasne włosy, wesołe śmiejące się szafirowe oczy i łagodne, dobre, małe usta.

— I ja „Maleńka“ nie wiedziałam, że się tu spotkamy, — odparła Bronka. — Mówiono mi, żeś wyjechała ze Lwowa.

— A tak, tatko dostał dobrą posadę w Samborze, i przenieśliśmy się tam.

— A wasz ogród?

— Wydzierżawiła go mama, bo trudno było prowadzić dwa domy. Chodziłam do szkół w Samborze, a tej wiosny przenieśli tatka znowu do Lwowa, wrócił tu wcześniej, a ja z mamą zostałam aż do końca wakacyj w Samborze.

— Miałas pewno dobre stopnie, skoro cię stamtąd przyjęli do seminarjum.

Krzysia roześmiała się wesoło.

— A jakże, przez wszystkie lata miałam tylko zawsze celujące, a z postępowania chwalebnie. A ty?

— Jestem twoją wierną towarzyską, Krzysiu — odrzekła Bronka — i ja mam celujące. Ale muszę ci powiedzieć prawdę, że w pierwszych klasach tak nie było. Nie chciało mi się uczyć. Chciałam pójść do gimnazjum.

— Tam przecie byłoby trudniej — zawołała Krzysia. — Miałabyś i matematyki więcej i przyrodę, no i łacinę.

— Tego się nie obawiałam, a w wydziałowej nie chciałam być i dlatego nie uczyłam się wcale. Namysliłam się jednak, i ot jesteśmy znowu razem.

— I doskonale, a jak ty urosłaś, Bronko, taka jesteś wysoka!

— Jak telegraficzny słup — przerwała tamta. Roześmiały się obie.

— Wcale nie jak słup, lecz jak topolka, taka wysoka i smukła. Moja śliczna Bronka! — I Krzysia w zachwycie zapomniła o tem, że jest na korytarzu w seminarjum, zarzuciła ręce na szyję Bronki i dalej ją całować.

— Dawne znajome spotkały się zapewne?... — zapytała przechodząc obok nauczycielka.

Obie dziewczynki zaczerwieniły się.

— Tak — odpowiedziała Bronka — byliśmy razem w ludowych i od tej pory nie widziałyśmy się ze sobą.

— Pewno macie sobie dużo do opowiadania — rzekła nauczycielka, patrząc przyjaźnie na obie — nie przeszkadzam, ale uważajcie na dzwonek.

I kiwnąwszy im uprzejmie głową, poszła dalej, dziewczynki zaś, wzięwszy się wpół, rozmawiały ze sobą.

Krzysia już miała ustalone zamiary co do swej przyszłości.

— Zdam egzamin dojrzałości — mówiła — a potem wstąpię do szkoły ogrodniczej.

— Będiesz ogrodniczką, jak twoja matka?

— Niezupełnie tak samo, bo mama nigdzie się tak bardzo nie uczyła, dziadek mój był ogrodnikiem, uczyła się więc przy nim. A potem sama. Dlatego też jej trudno idzie i niejedno się marnuje. Ja chcę doskonale wyuczyć się ogrodnictwa. Tatko obiecał, że mi ziemi dokupi, jak już będę naprawdę coś umiała, i będę miała duży własny ogród. Od małego dziecka lubiłam tę pracę i w Samborze tak mi tęskno było za roślinami i kwiatami, że aż mi mama kupiła skrzynię i miałam swój ogródek.

— A cóż będziesz robiła ze swemi roślinami potem? — zapytała Bronka.

— Jakto co? Będę miała ogród, a w nim różne warzywa i jagody i kwiaty, i wszystko to będę dostarczała do Lwowa. — Taki ogród daje dużo pracy, ale i korzyść może być wielka. Ty może tego nie wiesz, Bronko, że tu koło Lwowa pełno jest ogrodów w ręku Bułgarów, obcy przychodzą do nas, obcy tu się bogacą i wywożą pieniądze, a my na to mamy pozwalać! Pamiętasz, co nam zawsze mówiła o tem pani Tylicka?

— Pamiętam — zawołała Bronka — bo ja obecnie często rozmawiam z panią Tylicką, ona to głównie skłoniła mnie do wstąpienia do seminarjum.

— Będiesz potem nauczycielką? — zapytała Krzysia.

Bronka pokręciła przecząco głową.

— Jeszcze wogóle nie wiem, czem będę — odrzekła. — Mam czas, całe cztery lata. Mogę się namyslać.

I namyslała się rok jeden, a potem i drugi, a zdecydować się nie mogła. Pracowała usilnie i jako pierwsza uczennica zdobywała uznanie nauczycieli i nauczycielek. Obie z Krzysią zajmowały się przyrodą z zamiłowaniem. Chemja, fizyka i matematyka były poza tem umiłowanemi naukami Bronki.

Do pani Tylickiej zaprowadziła Krzysię i obie zaglądały tam często, słuchając uważnie tego, co im dawna ich nauczycielka mówiła o potrzebie stworzenia własnego handlu i przemysłu.

— Dopóki nie będziemy mieli własnych przemysłowców i kupców — mówiła — dopóty wciąż będziemy w niewoli u obcych. Dawniej jeździliśmy po rozum do obcych, potem obcych sprowadzaliśmy sobie do kraju i stąd nasza bieda i nędza. Jak w kraju, do którego wszedł nieprzyjaciół, wszyscy powinni stanąć ku obronie, tak i my dziś wszyscy powinniśmy bronić się i walczyć o każdą piędź ziemi ojczystej, o każdy grosz, który się wysyła z kraju. Nie pomogą bojkoty, nie pomogą odezwy, póki do pracy w przemyśle i handlu nie staniemy i nie przełamamy się w naszych niemądrych przekonaniach, że jakakolwiek praca może nam ubliżać.

Krzysia, słuchając tych słów, promieniała z radości. Pani Tylicka mówiła to samo, co ona już

sobie przemyślała, pochwałała jej zamiary, utwierdzała ją w nich.

A Bronka milczała i myślała o wielu, wielu rzeczach.

Aż pewnego dnia rozmyślania jej przerwane zostały niespodzianym wypadkiem.

— Niech panienka idzie cichutko do siebie — rzekła, otwierając jej w południe drzwi do mieszkania służąca — pani trochę słaba, położyła się.

Bronka przeraziła się i jednocześnie przypomniała sobie, że już od paru dni panna Wanda mizernie wyglądała. Musiała być mocno cierpiąca, skoro się położyła.

Zaniepokojona chciała iść do chorej.

— Nie, nie — zatrzymała ją służąca — pani prosiła, żeby panienka nie wchodziła do niej, mówiła, że chce spać. Niechże się prześpi, podam tymczasem obiad panience.

— Może to tylko silna migrena — pomyślała Bronka, i uspokoiwszy się tem przypuszczeniem, zjadła cichutko obiad i zabrała się do pracy w swym pokoiku.

Mieszkała zawsze w tem samem mieszkaniu przy ulicy Tarnowskiego, tylko od czasu gdy panna Wanda została nauczycielką krajową, miały służąca i całe utrzymanie w domu.

Niepokój nie dał Bronce nic robić. Siedziała cichutko nasłuchując, czy się przypadkiem chora nie odezwie. Wkońcu nie wytrzymała. Uchyliła drzwi. Na łóżku, z przymkniętymi oczyma le-

żała panna Wanda. Słyszając otwierające się cicho drzwi, zapytała:

— Kto tam?

— Ja, ciociu — odpowiedziała Bronka, podchodząc do niej. — Chora jesteś, ciociu?

— To nic, to przejdzie, nie obawiaj się, dziecko — mówiła słabym głosem panna Kańska. — Zmęczyłam się tylko w tych ostatnich dniach, muszę wypocząć. Strasznie mi się spać chce.

Ręce miała gorące i wypieki na twarzy, a dreszcze wstrząsały jej ciałem.

— Możeby posłać po doktora? — zapytała Bronka.

Nie zgodziła się, twierdząc, że do jutra będzie zdrowa.

Bronka zasłoniła okna, otuliła chorą kołdrą i wysunęła się do siebie.

Po chwili zajrzała do niej i, zobaczywszy, że śpi, uspokoiła się.

— Może naprawdę nic nie będzie z tego — myślała. — Pracuje tak bardzo wiele, że może to tylko ze zmęczenia — uspokajała siebie, siadając do lekcji.

Wieczorem stan chorej pogorszył się tak widocznie, że Bronka koniecznie chciała posłać po lekarza. Sama jednak o tem wzmianka tak rozdrażniła pannę Wandę, że dziewczynka nie odważyła się jej sprzeciwić.

Panna Wanda nie chorowała nigdy, to też Bronka zupełnie nie umiała obchodzić się z chorymi i, obawiając się rozdrażnić ciotkę, ustąpiła.

Całą noc jednak spać nie mogła, nie rozbierała się i nie kładła wcale. Było jej straszno jak nigdy. Skulona siedziała na małym stołeczku, śledząc z niepokojem każdy ruch chorej.

— Bronko, dlaczego nie idziesz spać? — zapytała koło północy panna Wanda. — Męczysz siebie i mnie tem czuwaniem. Proszę cię, idź położyć się.

— Pozwól mi, ciotuś, siedzieć tu — prosiła Bronka. — Prześpię się siedząc, a będę spokojniejsza.

— Nie, nie — mówiła gorączkowo chora — idź zaraz, położyć się i drzwi zamknij. Już mi jest lepiej, głowa mniej boli, zobaczysz, że jutro będę zdrowa.

I musiała Bronka ustąpić, położyła się napół ubrana, wkrótce jednak usnęła tak mocno, iż zbudziła się, gdy już był dzień.

Zerwała się i pobiegła do chorej. Znalazła ją nieprzytomną i w silnej gorączce.

Przerażona pobiegła do służącej i po krótkiej naradzie wysłała ją po lekarza.

Chciała zawiadomić również panią Tylicką, ale przypomniała sobie, że ona przecie ma lekcje i do obiadu ruszyć się ze szkoły nie może.

Okropne uczucie osamotnienia ogarnęło dziewczynkę.

Co robić? Jak ją ratować? — Bała się własnych myśli.

Doktór znalazł stan panny Wandy bardzo poważnym. Zapisał lekarstwo, zarządził, co należy robić, wkońcu zapytał:

— Czy panie tak są same? Nie ma pani jakiej kuzynki starszej, lub znajomej?

A gdy Bronka odpowiedziała, że nie mają tu nikogo, pokręcił głową.

— Należałoby mieć kogoś wciąż przy chorej — rzekł — lub przewieźć ją do szpitala.

Bronka zadrżała.

— Panie doktorze — rzekła — przecie ja tu jestem, będę ciocię pielęgnowała.

— Jesteś pani dzieckiem niemal — odrzekł — i ani sił, ani umiejętności pielęgnowania chorych mieć nie możesz. Tu trzeba osoby spokojnej i zręcznej.

Odszedł, zapowiadając, że przyjdzie wieczorem, a Bronka siedziała sama przerażona tem, co usłyszała.

Więc ona nie potrafi pielęgnować tej ukochanej opiekunki, a przecie ma już szesnaście lat! Doktor wyraźnie powiedział, że ani sił, ani umiejętności nie ma. Co też on mówi? Ona tak kocha tę biedną swoją chorą, że życieby za nią dała, i nie potrafi jej pielęgnować?

— Bronko — odezwała się naraz chora.

Pobiegła do niej i ucieszyła się, widząc, że się do niej uśmiecha.

— Bronko — odezwała się chora — nie przerażaj się, mnie nic nie jest wielkiego; za parę dni wstanę, przejdzie wszystko. Weź jednak kluczy-

ki, zamknij wszystko, pilnuj, by nikt pieniędzy nie ruszał, i pamiętaj, zapisuj każdy wydatek.

Służąca przyniosła lekarstwo. Po zażyciu go chora uspokoiła się i usnęła.

— Napiszę do pani Tylickiej — powiedziała sobie w duchu Bronka. — Ona najlepiej mi doradzi.

I nie zawiodła się; pani Tylicka po rozmowie z doktorem sprowadziła pielęgniarkę, a Bronkę skłoniła, by chodziła do seminarjum i uczyła się, a nocami nie czuwała przy chorej, jak to miała zamiar uczynić.

Ustąpiła, gdy pani Tylicka przedstawiła jej, że musi być zdrową i silną, bo wycieńczona bezsennością nie potrafi zdać egzaminów, a to będzie ciosem dla panny Wandy.

— Ach, gdyby Kępa tu mógł przyjechać — pomyślała naraz Bronka, i bez długiego namysłu wysłała list do doktora, zawiadamiając o chorobie ciotki.

O przyjazd nie prosiła wcale, wiedziała, że i bez tego przyjedzie.

Upłynął jednak tydzień cały, a Kępy nie było, nie ustępowała zato i choroba. Pielęgniarka czuwała przy chorej, Bronka całe popołudnie nie ruszała się z jej pokoju, przychodziła i pani Tylicka, robiono wszystko, co się robi w podobnych razach, polepszenia jednak nie było.

— Wyjątkowo wyczerpany i osłabiony organizm — mówił doktor. — Jeżeli zwycięży chorobę, trzeba będzie dać mu dłuższy wypoczynek.

— Co począć? co począć? — myślała nieraz Bronka. — Jak ją ratować?

I klękając przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, błagała Go o ratunek.

— O Boże — mówiła z głębi serca — o Boże Miłosierny, nie czyni mnie znowu sierotą, zachowaj mi ją.

I wysłuchał tych prośb Bóg Miłości, powoli zaczęło przychodzić polepszenie. Było jednak tak nieznaczne, tak zwolna przychodziła chora do siebie, że zdawało się, iż podmuch wiatru zabiłby ją mógł.

I lekarz jeszcze nie wyrzekł ostatniego słowa, zalecał wciąż wielką opiekę i starania, badał i przychodził stale. Bronka jednak spokojniejsza już była. Miała wiarę, iż Bóg nie odrzuci jej prośby, nie zabierze jej tej, która była dla niej więcej niż najlepszą, najczulszą matką.

Podczas długiej tej choroby Krzysia była aniołem opiekuńczym Bronki. W szkole pilnowała ją ciągle. Miała zawsze dla niej coś na drugie śniadanie, bo zgębiona i stroskana Bronka nie myślała o tem. Zwracała jej uwagę na wykłady, robiła dla niej notaki, i mimo że mieszkały daleko od siebie, codziennie wpadała pod jakimś pozorem, by z Bronką przerobić zadania i razem się uczyć.

Od Kępy nie było żadnej wiadomości.

— On chyba sam chory! — myślała, nie umiając sobie wytłumaczyć tego milczenia.

Nakoniec podniosła się panna Wanda z łóżka, mogła już nawet przejść się po pokoju, o pracy jednak żadnej mowy być narazie nie mogło.

Doktor powiedział Bronce, iż należałoby dla zupełnego jej wyleczenia wysłać ją na kilka miesięcy do sanatorium w Zakopanem.

— Nie śmiem jednak o tem jej wspominać — rzekł — nie wiedząc, czy są odpowiednie środki.

— Środki będą — odrzekła krótko Bronka. — Może jednak narazie o tem nie wspominać, jeśli pan uważa, że jakiś czas może pozostać w domu.

— Czy macie panie kogoś, kto wam może przysłać pieniądze? — zapytał doktor.

— Tak — odrzekła — napiszę o to, ale nie trzeba, by ona o tem wiedziała, nie pozwoliłaby mi tego uczynić. Dowie się, gdy wszystko będzie załatwione.

I tego samego dnia napisała do mecenasa Stońskiego. Doniosła mu o ciężkiej chorobie ciotki, o konieczności wysłania jej do sanatorium i przeprowadzenia dłuższej i poważnej kuracji. Prosiła, by zechciał przysłać na to część kapitału, przypadającego jej po matce.

Obawiając się zaś, by panna Wanda nie dowiedziała się o jej postępkach przed czasem, podała adres pani Tylickiej.

„Wiem — pisała Bronka — że postanowione zostało, iż kwota posagowa mojej matki, naruszona nie będzie aż do mej pełnoletności, chyba w jakimś nadzwyczajnym wypadku. Sądzę, jed-

nak, że ważniejszego powodu niż obecny być nie może. Chodzi o życie tej, która jest mi wszystkim na świecie: matką i ojcem, opiekunką najlepszą i serdeczną przyjaciółką. Gdybym ją utraciła, nie mogłabym sama żyć“.

Prosiła też o wiadomość o doktorze Kępie, od którego odpowiedzi dotąd nie dostała.

Po wysłaniu listu uspokoiła się trochę, poszła do ciotki i usiadłszy przy niej, rozmawiała z nią o swej nauce w seminarjum.

Pielęgniarki już nie było, Bronka usunęła ją, jak tylko panna Wanda zaczęła odzyskiwać przytomność.

Sama zato zdwoiła swą energję i zajęcia.

W tych ciężkich dniach poznała, ile pracy miała panna Wanda, jak mądrze i ściśle musiała gospodarzyć, by skromnymi środkami wystarczyć na wszystko. Dać jej, Bronce, naukę, ubrać, żywić ją i utrzymać ład w domu. Łamała też sobie nieraz głowę nad tem, jakby zaoszczędzić jak najwięcej, ale niestety, choroba jest ogromnym zbytkiem i Bronka przekonała się o tem, widząc coraz to mniejszą zawartość sakiewki.

A jednak żyła tak skromnie i oszczędnie. Od kąd ciotka zachorowała, nie kupiła sobie nic prócz rzeczy koniecznych. Wszak obecnie nie jadła nigdy owoców, jagód i leguminy żadnej. A i Krzysia pomocna jej była w niejednym. Zapalona ogrodniczka przynosiła codziennie prawie jakieś świeże warzywa ze swego ogródka.

— Musisz przecie przekonać się — mówiła do Bronki, wzbraniającej się kiedyś przyjąć coś od niej — o moich ogrodniczych zdolnościach. Nie robię mamie żadnych wydatków, bo mam swoją grządkę, i co na niej wyrośnie, to już jest moją własnością.

Z ogródka też Krzysi dostawała i chora codziennie mały talerzyk wonnych truskawek.

— Musi to pani zjeść przy mnie — mówiła Krzysia, przynosząc jagody — bo inaczej rozplączę się. I mówiąc to krzywiła buzię w podkówkę tak, jak to robią małe dzieci. Wyglądała wtedy jak prawdziwa „maleńka”.

Nadeszły pieniądze z Warszawy.

Mecenas Stoiński przysłał tysiąc rubli. Więcej, donosił, narazie podjąć nie można bez poprzedniego wypowiedzenia.

Jednocześnie nadszedł list od Kępy. Bawił od paru miesięcy w środkowej Europie, zwiedzając różne stacje klimatyczne. Listu Bronki nie dostał i o chorobie panny Wandy nic nie wiedział. Ucieszyła się pieniędzmi i uspokoiła o Tadeusza.

— Może to i dobrze — myślała sobie — że mego listu nie otrzymał, przyjechałby tu zapewne, a przez to miałby przerwę w swej pracy.

Doktor, zapytany przez panią Tylicką, powiedział, że pannę Wandę należy umieścić na kilka miesięcy w sanatorium w Zakopanem. Przeszła bowiem ciężkie zapalenie płuc i kurację musi mieć poważną i bardzo troskliwą.

O tem, by Bronka była przy niej, mowy być nawet nie mogło.

— Chora musi mieć wielkie wygody i spokój, gdyby młodzieńca siostrzenica była przy niej, w sanatorium dla piersiowych, niepokoiłoby to słusznie chorą. Należy tego unikać, tem bardziej, że pobyt w sanatorium mógłby rzeczywiście zaszkodzić Bronce.

Pani Tylicka uznawała słusność słów lekarza, myślała jednak nad tem, czyby Bronki nie umieścić prywatnie w którym z pensjonatów w Zakopanem, by tam w pobliżu ciotki spędziła wakacje.

— Pobyt w górach zrobi ci tylko dobrze, moje dziecko — mówiła.

Bronka milczała.

— Muszę wpięć załatwić się z egzaminem — mówiła. — Trzeba zdać na trzeci kurs.

Umówiła się z doktorem, że do tego czasu nie powie pannie Wandzie o konieczności wyjazdu do sanatorium.

A sama wieczorami obrachowywała z ołówkiem w ręku wszelkie wydatki i wkońcu powiedziała sobie:

— Nie mogę jechać do Zakopanego.

— Wiesz co — powiedziała pewnego dnia Krzysia, która wszystkie kłopoty przyjaciółki znała — przenieś się na wakacje do nas. Mam swój mały pokój, odstąpię ci go z chęcią. Będę spała na sofie w jadalni. Będziemy razem pracowały w ogrodzie, zobaczysz, będzie nam dobrze.

Bronka w odpowiedzi ucałowała Maleńką, ale się nie zgodziła. Milczała wciąż. Aż pewnego dnia wpadła do pani Tylickiej.

— Już jestem po egzaminie! — zawołała. — Celując z góry na dół.

Pani Tylicka ścisnęła ją uradowaną.

— Ciotka wie? — pytała.

— Naturalnie! Wpadłam do niej, zaniósłam radosną wieść i oto tu jestem.

— Poczciwie to z twej strony...

— Nie wiem, czy tak bardzo poczciwie, bo muszę przyznać, że przygnał mnie tu interes — rozśmiała się Bronka.

— Ciebie, interes?

— Tak, tak, mnie, droga pani. Przyszłam prosić o dobrą opinię i polecenie — a widząc zdumienie w oczach pani Tylickiej, dodała: Zapisalam się w biurze pracy nauczycielskiej i mam ofiarowaną posadę, chodzi o pani polecenie.

— Bronko, jak mogłaś tak się sama rozrzęczać! — zawołała pani Tylicka.

Bronka swawolnym ruchem zrzuciła kapelusz, przysunęła niski taburecik i usiadła u nóg pani Tylickiej.

— Wiele może, kto musi, moja droga pani — mówiła. — Wiem, o co pani chodzi: o to, że się rozrzędziłam bez pytania ciotki. Zgóry wiedziałam, że się nie zgodzi, będzie się irytować, gniewać, odchoruje ten mój projekt. A jakże inaczej postąpić mogłam? Do sanatorium jechać mi nie

wolno, a na to, bym oddzielnie mieszkała w Zakopanem, niema środków.

Pani Tylicka patrzyła nie rozumiejąc, a Bronka mówiła:

— Z listu mecenasa domyślałam się, że ciotka tak zastrzegła, iż bez jej woli i Kępy kapitału mego naruszyć nie mogę. To, co mi przysłano, jest zapewne częścią odsetek, bo ciocia Wandzia dotąd grosza mego nie ruszyła. Może tam jeszcze trochę będzie, ale ciocia musi być co najmniej pół roku w sanatorium. Wiem, ile to wyniesie, mam już wszystko obliczone, bom przeprowadziła korespondencję.

— Zapominasz — rzekła pani Tylicka — że panna Wanda ma swą pensję nauczycielską, może mieć jeszcze jakąś zapomogę z Rady Szkolnej Krajowej.

— O wszystkim myślałam i wszystko obmyślałam. Pensja niewielka, bo nie jest jeszcze stałą nauczycielką, a o zapomogę chodzić trzeba. Ciocia tego nie potrafi. Tu zaś jest rzecz łatwa i wykonalna. Ciocia jedzie do sanatorium, bierze na to owe tysiąc rubli, które mi przysłał pan Stoiński. Jeśli zaś będzie potrzebowała więcej, to jeszcze musi być. Ma poza tem swoją pensję nauczycielską i wszystko to starczy dla niej na wygodny sześciomiesięczny pobyt. Ja zaś na dwa miesiące wakacyjne jadę na wieś, gdzieś za Kołomyję. Będę miała dwie dziewczynki, z którymi mam mówić przez całe lato, od poranku do zmierzchu, po francusku. Dają mi jeść, pić, mały pokoik do spania

i co najważniejsza sto sześćdziesiąt koron miesięcznie. Żadnych wydatków mieć nie będę i jeszcze taka bogata wrócę do Lwowa.

— Ależ zlituj się, dziewczyno, jakżeś mogła — mówiła pani Tylicka — tak się sama zdecydować. Nie wiesz nawet, do kogo jedziesz, co to za dom, co za ludzie?

— Ta pani w biurze zaręczyła mi — mówiła Bronka — że dom polski i uczciwy bardzo. Dzieci podobno mają być trudne. Myślę jednak, że to jakoś pójdzie.

— Powiedzże mi przynajmniej nazwisko tych ludzi, do których się wybierasz?

— A właśnie, że w tem sęk, iż sama nie wiem — powiedziała Bronka. — Jutro koło czwartej przyjedzie sama pani dla ostatecznej umowy, i oto mój interes, by pani ze mną zechciała pójść do biura, polecić mi i zaręczyć, że jestem naprawdę panną Bronisławą Torską i że umiem po francusku.

— Chcesz więc załatwić tę sprawę, nie mówiąc nic przedtem pannie Wandzie?

— Przeciwnie, chcę jej dziś to powiedzieć — odparła Bronka — i panią proszę o pomoc. Niech pani mnie poprze i powie cioci, że będzie dla mnie pewnego rodzaju próbą taki pobyt wśród obcych. Następnie może się nawet zbudzą uspione we mnie zdolności nauczycielskie — dodała śmiejąc się.

Musiła wkońcu pani Tylicka zgodzić się i obiecać, iż jutro pójdzie z nią do biura.

Bronka wracała do domu, uspokojona pod jednym względem. Czuła, że robi dobrze i że pani Tylicka, chociaż niby przeczy, jednak w rzeczywistości pochwała jej postępek. Bała się, co na to wszystko powie panna Wanda.

Sama też czuła się w duszy smutną, choć nadrabiała humorem i swobodą. Doktor powiedział jej, że ciotka musi spędzić w sanatorjum przynajmniej pół roku. Muszą więc rozstać się z sobą. I oto zostanie zupełnie sama, będzie musiała mieszkać u obcych, nie będzie ładnego, cichego pokoiku o jasnych ścianach. Wszystko trzeba zostawić, wszystko zwinąć i być samą, zupełnie samą.

I ciotce trzeba powiedzieć o zwinięciu mieszkania. I jej smutno będzie. Tak im tu dobrze, tak cicho, a nieraz nawet wesoło było w tych pokojach.

Panna Wanda narazie słuchać nie chciała o wyjeździe do sanatorjum.

— Nie mam na to funduszu — rzekła — i nie widzę potrzeby. Gorączkuję coprawda trochę, ale to nic strasznego. Pojedziemy razem nie do Zakopanego, lecz do Poronina, tam tańsze życie i zobaczysz, że po dwóch miesiącach będę zdrowa i silna.

Nadeszła podczas tej rozmowy pani Tylicka. Bronka poszła zakrzętać się koło podwieczorku i zostawiła obie panie.

Gdy weszła, niosąc herbatę i mleko, zobaczyła, że obie miały łzy w oczach.

— Więc tak koniecznie mamy się rozstać — rzekła panna Wanda, przyciągając dziewczynkę do siebie. — Zmuszacie mnie stanowczo?

— Bo ciebie, ciociu, kochamy — mówiła Bronka, całując jej ręce. — Zmieniły się teraz role — dodała wesoło. — Był czas, kiedy Bronka cicho siedziała i słuchać musiała, teraz zaś ona jest powagą nielada. Uczennica trzeciego kursu seminarjum nauczycielskiego we Lwowie, to nie byle kto.

W tej chwili zadzwonił ktoś do przedpokoju.

— Zapewne szanowna moja koleżanka, przyszła chluba ogrodnictwa polskiego! — wołała Bronka, biegnąc otworzyć drzwi.

— Aa! Boże! co za radość — wołała z przedpokoju poważna osoba, i jak dawna mała Bronka już wisi u szyi doktora Kępy.

— Bronko! Zlituj się, dziewczyno! przecie żyć chcę — woła, wydobywając się z jej uścisków, Kępa.

Zaczęły się uściski i powitania i pytania bez końca.

List Stoińskiego doznał doktora w Londynie; dowiedziawszy się z niego o chorobie panny Wandy, przerwał swą wędrówkę, rzucił wszystko i przyjechał do Lwowa.

Nigdy może przyjazd jego nie był tak pożytecznym i potrzebnym Bronce jak w obecnej chwili. Kępa znał wszystkie sprawy, był od śmierci pana Karola opiekunem Bronki i jako doktor głos miał decydujący.



...barwny taniec krakowski nabierał dziwnego piękna.

— Jesteś dzielną dziewczyną, Bronko — powiedział, wysłuchawszy opowiadania o tem, co w ostatnich czasach przeżyła. — Dumny jestem z mojej dziewczynki — mówił patrząc na jej smukłą, zgrabną postać. — Prawdziwa z ciebie córka pana Andrzeja, podobną jesteś do niego nie tylko z twarzy, ale i z charakteru.

Zajaśniały radością śliczne, ciemne oczy Bronki.

Panna Wanda nie zgadzała się na to, by Bronka brała zajęcie na wakacje.

Kępa był innego zdania.

— Niech jej pani nie broni — rzekł — niech pani nie krępuje jej ducha. Zdrowa jest, silna, pracować może i szczęśliwa będzie z tą pracą. Życie jest bojowaniem, droga pani — mówił, ujmując wychudłą rękę panny Wandy. — Szczęśliwy ten, kto do tej walki ma potrzebną moc. Bronka ją posiada. Nie krępujmyż jej powijkami, niech powoli wchodzi w życie i bierze się z niem za bary.

Tak dzięki szczęśliwemu przyjazdowi Kępy usunęły się wszelkie trudności z drogi Bronki.

Panna Wanda wobec zwołanego przez Tadeusza konsyljum zgodziła się jechać na pół roku do sanatorjum. Mieszkanie zwinięto, a Bronka przyjęła posadę do państwa Asłanowiczów.

— Po wakacjach — mówiła pani Tylicka — zamieszkasz ze mną, Bronko, aż do powrotu panny Wandy. Ku wielkiemu wszystkich zdumieniu dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

— Nie — rzekła — nie mogę. Pani ma od tylu już lat urządzone życie, że mogłabym być jej tylko zawadą.

— Nie możesz jednak, moja droga — rzekła panna Wanda — mieszkać sama.

— Ale mogę — odparła poważnie — zamieszkać w bursie imienia Felicji Boberskiej. Mieszkają tam moje koleżanki z seminarjum, mogę i ja tam przebyć kilka miesięcy.

— Wolisz być w bursie niż ze mną — rzekła z lekkim wyrzutem w głosie pani Tylicka — a ja szczęśliwa byłabym, mając cię u siebie.

Bronka pochyliła się do jej rąk.

— Niech mi pani tego za złe nie bierze — i ja bym tego pragnęła, należy jednak ściśle wszystko obmyślić. Mieszkając z panią, miałabym większe wydatki niż w bursie, gdzie utrzymanie nie kosztowne, a przewodnicząca bursy powiedziała mi, że jeśli podejmę się korepetycyj z małemi i rozmowy francuskiej z uczennicami w mojej sypialni, to zniży mi opłatę do połowy.

— Jakto, więc już i o tem pomyślałaś?! — zawołała panna Wanda.

— Tak, ciociu — odparła — mówiłam ci przecie, że jestem poważną osobą...

W tydzień po tej rozmowie była już Bronka na wsi jako nauczycielka francuskiego języka dwóch panien Asłanowiczównien.

Rodzina była zamożna, ormiańska, warunki korzystne, a praca niewielka. Uczennice wprawdzie zgóry zapowiedziały, że się po francusku nie będą

uczyły, bo wakacje są czasem wypoczynku a nie odrabianiem nudnych słówek i obkuwaniem gramatyki, ale po przyjeździe nauczycielki wszystko się zmieniło.

Wdzięk Bronki, jej swoboda i ujmujące obejście ujęły dom cały. Ola i Stefa nie mogły się oprzeć urokowi swej młodziutkiej mistrzyni. Od pierwszego dnia rozpoczęła się nauka, i uczennice orzekły zaraz na wstępie, że żadna madame, ani mademoiselle nie uczyła tak łatwo, przystępnie, jak panna Torska. Były niemal rówieśniami, bo zaledwo o dwa lata młodsze od Bronki, to też zbliżyły się do siebie bardzo prędko i chętnie zasiadały do parogodzinnej pracy, potem cały dzień były ze sobą. Bronka ściśle jednak wypełniała swe zobowiązania i, czy to chodząc po lesie, czy też płynąc łodzią po bystrym Czeremoszu, lub odbywając wycieczki dalsze, mówiła wciąż i sama po francusku i od uczennic wymagała, by w jej towarzystwie nie używały innego języka.

— Panna Bronia widocznie woli język francuski, niż ojczysty — rzekła raz Stefa.

— Mylisz się bardzo — zawołała Bronka — mowa ojczysta jest mi najmiłszą, ale matka waza, umawiając się ze mną, postawiła za warunek, że będę z wami mówiła tylko po francusku, obiecałam jej to i muszę słowa dotrzymać.

— A gdybyśmy zastrajkowały — śmiała się Ola — i mówiły tylko po polsku, to coby pani poczęła? Co?

— Nakazałabym odwrót — rozśmiała się nauczycielka — to jest prosiłabym o konie i pierwszym pociągami wróciłabym do Lwowa.

— O co nie, to nie! — zawołały obie uczennice. — Już będziemy mówiły i po hebrajsku nawet, byle pani była z nami jak najdłużej.

Olejowa leżała w prześlicznej okolicy, wśród lasów bukowych, tuż nad brzegiem Czeremoszu, przechadzki więc i wycieczki były wprost wymarzone, i gdyby nie tęsknota za ciotką i niepokój o nią Bronka byłaby zadowolona ze swych wakacji.

Kępa odwiózł sam pannę Wandę do Zakopanego i tam ją umieścił w sanatorium. Pewną więc była Bronka, iż chorej na niczem zbywać nie będzie, zwłaszcza, iż dostała zapewnienie od opiekuna, że w razie potrzeby nie zawaha się naruszyć jej kapitału.

Używała zatem zupełnie spokojnie wsi, jej swobody i rozrywek.

Sąsiedztwo w Olejowej było liczne, na wakacje zjeżdżała się młodzież, pragnąca po całorocznej pracy zabawić się w gronie najbliższem. Przyjechał i młody pan Asłanowicz, brat przyrodni Stefy i Oli, Witek, a z nim siostra jego starsza, Jana, i kolega Witka z politechniki w Pradze czeskiej Jan Surma.

Życie i ruch zapanowały w domu. Witek i Jana niewyczerpani byli w pomysłach nowych zabaw, a Surma — jak utrzymywał kolega — sekundował im świetnie.

Bronka trzymała się zrazu zdaleka od tego towarzystwa, starając się przebywać wyłącznie w towarzystwie swych uczennic, ale i te garnęły się do starszych, musiała więc i ona wejść w to rozbawione grono.

Jana była studentką, uczęszczała na wydział filozoficzny w Krakowie, wyjątkowo zdolna i pilna, pracowała bardzo poważnie.

— Teraz zato muszę za cały przeszły i na cały przyszły rok wybawić się — mówiła.

— Sądziłby kto — rozśmiał się Surma — iż pani w karnawale w Krakowie prowadzi życie zakonne.

— A jakbyś pan zgadł — odparła — odbywam nowicjat u panien urszulanek. Mieszkam u nich i uczęszczę na uniwersytet.

— Czy w przyszłości zostanie pani przełożoną w klasztorze?

— Któż zgadnie, co mu przyszłość przyniesie — mówiła Jana patetycznie. — Tymczasem chcę zdobyć jak najwięcej wiedzy, a potem zobaczymy. Dziś jednak dajmy temu pokój. Panie Janie, proszę obmyślić jaką wesołą zabawę, coś nowego.

— Proponuję wesele krakowskie. Trzydniową zabawę. Bierzymy wozy, sprowadzamy muzykę i danaż, moja dana, jedziemy do sąsiadów, tańczymy noc jedną, wypoczniemy i znowu jazda; aż trzeciego dnia zpowrotem jesteśmy w domu.

— Doskonale — zawołali Witek i Jana — a inicjator będzie panem młodym!

— A Jana panną młodą! — wołała Stefa.

— O co nie, to nie — śmiała się Jana, — moja oliwkowa cera ani rusz nie nadaje się do krakowskiego stroju, więc już stanowczo panną młodą być nie mogę.

Janek pokłonił się w stronę Bronki.

— Czy mogę przysłać swaty? — pytał.

Ale i tu dostał kosza.

— Ha, jeśli tak — to już się nie ożenię. Witek, ty będziesz panem młodym.

— A Zosia Telatycka — mówiła Jana — panną młodą. Doskonale!

— A my pójdziemy w drużby, panno Bronisławo, założę się, że pani tańczy krakowiaka.

— Tańczę — odpowiedziała — ale druchną nie będę, bo na wesele nie pojadę.

— O, na to nie pozwolimy! — zawołali wszyscy. — Tu musi być jedność. Pojedzie z nami pani i basta.

— I druchna będzie tam „parle franse” wykladała — rozśmiał się Witek.

— Właśnie, że na weselu nie można „parle franse” wykladać, więc należy zostać w domu — odpowiedziała szczerze.

— Co? to my miałybyśmy zostać w Olejowej! — zawołała Ola. — Nigdy w życiu. A jak my pojedziemy, to co pani będzie robiła?

Wejście pani Asłanowiczowej przerwało na chwilę rozmowę. Jana zaraz jej opowiedziała o projektowanej zabawie i odrazu uzyskała zgodę. Pani domu, młoda jeszcze i wesoła, lubiła sama

zabawy. Wesele krakowskie zostało postanowione według projektu Surmy. Bronka miała być druchną. Ponieważ trzeba było poczynić pewne przygotowania, zabawę odsunięto na koniec wakacji, a tymczasem jeżdżono do sąsiedztwa, robiono dalsze i bliższe wycieczki w okolicę.

Bronka należała zawsze do wycieczek tak pieszych, gdy zwiedzano prześliczne okolice, jak też i na łodziach, zawsze jednak starała się być w pobliżu swych uczennic i jak najmniej łączyć się z resztą towarzystwa. Od jazdy do sąsiedztwa uchylała się stanowczo. Bała się, by nie pomówiono jej o narzucanie się obcym.

Im bardziej jednak usuwała się od ludzi, tem więcej była poszukiwana. Jana wołała, że się rozkochala w tej trochę dzikiej królewiance, a Surma zawsze znalazł jakiś przedmiot interesujący ich oboje, i jak mówiły Ola i Stefa, zabierał im pannę Bronię.

Lekcje jednak nic na tem nie cierpiały i dziewczyny robiły postępy w rozmowie francuskiej, i dlatego rodzice starali się uprzyjemnić Bronce pobyt w swoim domu.

Wiesz, spokój i zdrowe powietrze cudownie oddziaływały na zdrowie Bronki i na jej wygląd.

— Z każdym dniem piękniejszą się stajesz, Bronko — mówiła Jana, patrząc na Torską.

Wróciły przed chwilą z dalszej wycieczki, i Bronka, stojąc przed lustrem, rozczesywała długie czarne włosy.

— Gdybym była malarzem, malowałabym cię codziennie. Oczy masz jak gwiazdy, usta jak listek róży.

— Ach! cóżby to było za umęczenie dla mnie — rozśmiała się Bronka — takie codzienne pozowanie. Dobrze, że nie masz talentu.

— Ale oczy mam za to — wołała Jana — i widzę twą piękność.

— Cicho, cicho, dość już tego — śmiała się Bronka — bo naprawdę będę myślała, żeś taka piękna.

— Niby ty sama tego nie widzisz — mówiła Jana — choć naprawdę takie nieraz robisz wrażenie, jakbyś o tem nie wiedziała; wczoraj Surma mówił, że panna Bronia tem taka śliczna, że o swej urodzie nic a nic nie myśli.

— No, a ty niedobra, widzisz — odcięła się Bronka, odwracając głowę, by Jana nie dojrzała jej rumieńca — chcesz popsuć tę urodę, odkrywając ją przed memi oczyma. Rzućmy lepiej na nią zasłonę.

Tak, Surma miał słuszność. Bronka nie myślała o swej piękności i przez to była piękniejsza. Zręczna, pełna wdzięku jej postać zwracała uwagę wszystkich, prześliczna cera, oczy jak gwiazdy i regularne rysy tworzyły całość piękną i harmonijną. Największą jednak jej ozdobą był wyraz głębokich czarnych oczu.

Malowała się w nich dusza jasna i prawa i umysł rozwinięty. Nie było w nich zato ani szczypty kokieterji pusteji, tak niestety często spo-

tykanej u dziewcząt-lalek. Uroda Bronki mogła się podobać, lub nie, ale obojętnie nikt nie mógł jej ominąć; kto raz spojrział jej w oczy, ten miał chęć zbliżyć się do niej i poznać wewnętrzną istotę młodej dziewczyny.

— Czy pani ma zamiar w przyszłości zostać nauczycielką? — zagadnął pewnego dnia Bronkę pan Asłanowicz.

Całe towarzystwo siedziało na tarasie przy podwieczorku. Bronka wstrząsnęła głową przecząco.

— Jak dotąd — rzekła — nie czułam jeszcze powołania w tym kierunku.

— To pocóż siedzisz w seminarjum? — zawołała żywo Jana. — Zmiłuj się, z twoją inteligencją, zdolnościami, siedzieć w seminarjum! Rzuć to raz i przenieś się do gimnazjum, a stamtąd idź na uniwersytet.

— Miałam ten zamiar poprzednio — odparła Torska — chciałam przejść z wydziałowej do gimnazjum, a potem iść na medycynę, ale ciotka moja pragnęła, bym wprzód ukończyła seminarjum i zdobyła świadectwo dojrzałości; to też po skończeniu seminarjum mam zamiar przygotować się do matury gimnazjalnej, bo wątpię, bym została nauczycielką.

— A więc medycynę pani chce wybrać jako zawód? — pytał pan Asłanowicz. — Ma pani w tym kierunku zamiłowanie?

Bronka zarumieniła się.

— Jeśli mam być szczerą — rzekła — to sama nie umiem zdać sobie sprawy z tego, czy mam zamiłowanie w tym kierunku, czy nie. Mam czas zbadać siebie, zanim skończę seminarjum, a potem uporam się z gimnazjalnym egzaminem.

— Moja droga — mówiła Jana — daj ty sobie spokój z seminarjum i odrazu po wakacjach przygotuj się do gimnazjum. Zobaczysz, że tego nie pożałujesz.

— Nie, tego nie uczynię — rzekła Bronka — nie lubię wracać z raz obranej drogi. Za rok będę już po maturze, a wtedy będzie pora na dalszą naukę.

— Bardzo słusznie — powiedziała pani domu — coraz bardziej cenię pannę Bronisławę za jej stanowczość i wytrwałość w pracy.

Jana nie ustępowała.

— Nie rozumiem jednak — mówiła — co Broni przyjdzie z tego seminarjum? Bo że nauczycielką wiejską nie zostanie, to więcej niż pewne, szkoda by jej było.

— Dlaczego szkoda? — zapytał Surma. — Przeciwnie, im więcej będzie nauczycielek zdolnych i inteligentnych po wsiach, tem bardziej podniesie się poziom umysłowy i moralny dziatwy wiejskiej, a tem samem i kraj zyska na oświacie. Inna rzecz, jeśli pani nie czuje zamiłowania do tej pracy. Ale pani, panno Jano, na jakim wydziale w uniwersytecie chciałaby widzieć pannę Torską?

— Stanowczo na filozofji.

— A więc w przyszłości czekałaby panią zawsze pedagogja, trochę w innym zakresie, jednak nauczanie. Mogłaby pani w najlepszym razie zostać profesorem w gimnazjum lub mieć katedrę na uniwersytecie.

— Tak, ale przyzna pan, że stanowisko profesora przy uniwersytecie jest cokolwiek inne, niż nauczycielki wiejskiej.

— Bez kwestji, zwracam tylko uwagę, że tak tu, jak i tam trzeba uczyć, wykładać, a jeśli się do tego nie ma zamiłowania, to poco podobny zawód sobie obierać.

— A więc medycyna?

Surma wzruszył ramionami.

— To zależy — rzekł. — Jestem tylko tego zdania, że należy zerwać z rutyną; kobiety po skończeniu gimnazjum przeważnie idą utartymi drogami: filozofja, medycyna, czasem przyroda, bardzo rzadko matematyka, o innych zawodach zapominają zupełnie.

— To nie tylko kobiety, to i my robimy — odezwał się Witek — tylko my mężczyźni przeważnie idziemy na prawo.

— Tak, a potem do namiestnictwa i karjera gotowa — rozśmiał się Janek. — Tak, tak, wszyscy przeważnie chodzimy utartymi drogami.

— A cóż za nowe drogi wskazałby pan? — zagadnęła Jana.

— O! miejmy tylko oczy otwarte, nie bójmy się trudności, jakie sobie wyobrażamy, a znajduj

się nowe wdzięczne pola dla naszej pracy. Zewsząd słyszę wołania: Małopolska uboga, kraj biedy i nędzy, a mnie się widzi, że tak nie jest, tylko my patrzeć jasno nie umiemy, nie chcemy sięgnąć ręką po bogactwa, które nam dała natura.

— Janek dosiadł dziś swego konika — zajął Witek.

— Naturalnie — odparł tamten niezrażony wcale — i jeździć na nim będę wciąż, bo wszędzie i zawsze chciałbym wykazać, że tak źle nie jest, jak sobie wyobrażamy; kraj nasz, w tej chwili mówię o tej części, w której się znajdujemy, to jest o Galicji, bogaty jest jak mało który; gdy błądzą po naszych lasach, to mi się serce raduje na widok tych drzew tak wspaniałych, tylko chciałbym być siewcą i nowe przestrzenie zasiewać, by rosły dla przyszłości; gdy płynę po Czeremoszu, lub innej rzece, to znowu chciałbym mieć moc w rękę, by ujarzmić ten żywioł i zapomocą jego wprowadzić w ruch przemysł...

— Tak, mieć moc, to sęk — rzekł pan Asłanowicz — tylko że my tej mocy nie mamy.

— Mamy, mamy ją, panie szanowny, tylko znowu boimy się nowych dróg. Oglądamy się na państwo, na Wiedeń, miasto samym wznosić i budować swój gmach. W bankach jeśli nie krajowych, to zagranicznych leżą uwieszone pieniądze polskie. Za te grosze nasze Niemcy, Prusacy i Anglicy budują fabryki, tworzą nowy przemysł, podwajają swój majątek narodowy, a my szczęśliwi jesteśmy, mając — pięć procent.

— Młodość, młodość to mówi, i darujesz, panie Janku, gdy dodam, że i niedoświadczenie — uśmiechnęła się pani domu.

— Tak — mówił Janek, zapalając się coraz bardziej — młodość mówi przeze mnie i słusznie, bo młodość musi zdobywać nowe placówki, młodość powinna wybiec na inne tory, niż te, którymi lata całe, ba, wieki szliśmy. Należałoby raz zerwać z dawnymi przyzwyczajeniami życiowymi. Śmiało patrzeć życiu w oczy i brać się z niem za bary. Dość wysiadywać w dusznych izbach namiestnictwa i marzyć o złotym kołnierzu, bierzmy młoty i kilofy w dłonie i twórzmy sobie nowe i pożyteczne życie*).

Bronka siedziała cicho przez cały czas tej rozmowy, która i jej niejedną myśl wzbudzić miała w duszy, a Surma mówił dalej:

— Ubogi jest kraj nasz, chociaż dowiedziona jest rzeczą, że gdyby nie uboga Galicja, to bogaty Wiedeń umarłby z głodu. Cóżby więc było, gdybyśmy rolnictwo i chów bydła podnieśli tak, jak ono stoi w innych krajach. Mamy skarby w ziemi, że tylko wspomnę naftę i węgiel, a cóż nam z tego? Obcy eksploatują te nasze skarby, wydzierają je nam, a my nie możemy się zdobyć na to, by je we własnych rękach zatrzymać.

— Ale cóż zrobimy, nie mając środków odpowiednich? — zagadnęła Jana.

*) Powieść pisana w czasie, kiedy Małopolska była pod zaborem austriackim.

— Środki są, tylko my nie umiemy do pracy tej się zabrać; nie możemy zorganizować się, tworzyć spółek, towarzystw akcyjnych; za mało mamy ludzi fachowych, sztygarów, inżynierów, techników, a już najmniej wytwórców i przemysłowców. Stwórzmy własny handel, własny przemysł, a Galicja będzie krajem bogatym. Wszak mała Belgja mniej ma surowca od nas, a ile tam fabryk, jak wysoko stoi przemysł!

— Czy i kobiety chciałby pan zająć przemysłem? — zagadnęła Jana.

— Ależ bezwątpienia. Niekoniecznie przy wierceniu nafty lub wydobywaniu węgla. Powtarzam tylko: trzeba chcieć pracować i umieć rozglądać się, a każda z pań znajdzie pracę. Ot, wczoraj widziałem, jak panna Ola bawiła się kurczątkami, i pomyślałem sobie, że powinna pani wyuczyć się hodowli drobiu na wielką skalę, a dochód z ptactwa i jaj może być o wiele lepszy niż naprzykład z dawania lekcji muzyki. Mleczarstwo, pszczelnictwo to są zajęcia, które kobieta może prowadzić na wsi. Poza tem i ogrodnictwo, tkactwo, farbiarstwo i tysiące innych zawodów, o których panny nie myślą, a które należałoby uprawiać, bo budować gmach nowego życia trzeba nam wszystkim. Bez pracy usilnej, bez własnej wytwórczości, własnego handlu i przemysłu, niewolnikami będziemy po wieki u obcych.

— Kto takie wygłasza zasady, ten i sam musi innym drogę wskazywać — rzekł pan Asłanowicz.

— Jakież są twoje zamiary na przyszłość, panie Janie?

— Obecnie jestem słuchaczem politechniki w Pradze, po jej ukończeniu wyjadę do Anglii, by tam pracować w przemyśle żelaznym. Gdy zdobędę odpowiednią wiedzę, wrócę do kraju, bo tylko w Polsce chcę żyć i pracować...

Nadszedł dzień upragniony, wesela krakowskiego. Zajechały przed dwór w Olejowej trzy duże wozy, brzęczące dzwoneczkami i strojne w kwiaty, zaprzężone po dwie pary koni w lejc.

We dworze już od wczesnego rana ruch był wielki. Panny ubierały się, panowie pilnowali, by wszystko było w porządku, no i o swych strojach myśleli również. Pani Asłanowiczowa jako staroscina miała pieczę nad całością. Zabawa była składkowa; całe sąsiedztwo dalsze i bliższe brało w niej udział. Zawczasu, bo w przeddzień zabawy wysłano to wszystko, co miała dostarczyć Olejowa, do Turz, gdzie miał być pierwszy wieczór. Następnego dnia miano jechać do państwa Telatyckich do Choromczy. Wielka zażyłość łączyła wszystkie trzy rodziny: Asłanowiczów, Turczańskich i Telatyckich, to też Zosia Telatycka przyjechała do Olejowej i stąd w orszaku swych druchien Bronki, Oli i Stefy Asłanowiczównien oraz Jany cyganki miała wystąpić jako panna młoda.

— Jak się te panny niemożliwie długo stroją — niecierpliwił się Witek Asłanowicz. — Konie już od godziny czekają, a ich ani widać.

Surma rozśmiał się.

— Tak ci pilno do tego wesela — rzekł — nie sądziłem, żeś taki skory do żeniaczki.

— Gdyby tak miało być — odparł Aślanowicz — tobys musiał stracić swoją druchnę. W tej chwili jednak myślę jedynie o zabawie.

Do rozmawiających na ganku zbliżyła się cyganka. Szła od folwarku.

— Rączkę, piękny panie daj, a powrózę — rzekła, wyciągając do Witka swoją ciemną dłoń.

W pierwszej chwili i brat i Surma nie poznali Jany, tak się doskonale przebrała.

— Brawo Jana! — zawołał Witek — a toś się świetnie ucharakteryzowała. Z powodzeniem mogłabyś uchodzić za prawdziwą Ażę.

— Jeśli się tak wszystkie panie nasze odmienią — rzekł Surma — to będziemy mieli dopiero zagadki do odgadywania.

— Zagadki nie będzie — śmiała się Jana — ale zachwytywów sporo. Nie wyobrażacie sobie nawet, jak urocza jest Bronka w stroju krakowskiej druchny.

— To było do przewidzenia — odparł Witek — ona w każdej sukni jest śliczna.

— Ale czemu panie tak marudzą? — zapytał Surma. — Doczekać się ich nie możemy.

— Bronka i mama już dawno ubrane — odparła Jana — ale te małe tak nudzą, coraz to której trzeba coś zmieniać. Bronka im przerabia, poprawia, ze świętą cierpliwością.

— I te sikorki tak nas tu trzymają, nie, tego już za wiele! — zawołał Witek. — Pójdę do nich i zapukam, by się śpieszyły.

Obeszło się jednak bez pukania, bo w tejże właśnie chwili otwarły się drzwi od pokoi panieńskich, i ukazała się panna młoda w gronie druchien, a za niemi pani starościna.

Nowy zawód: panny zawinięte w płaszcze i chusteczki od kurzu i słońca.

— O co nie, to nie, tak wesele krakowskie nie jedzie! — wołał Surma. — Żadnych chust i pokrywadeł nie ma. Dzień śliczny, ciepły, kurzu ani odrobinki. Prosimy zrzucić te obsłonki.

Było trochę ceregieli, wkońcu wszystkie jakby na umówiony znak zrzuciły lekkie okrycia i ukazały się w ślicznych krakowskich strojach.

Wszystkie krakowianki były ładne, panna młoda wdzięczna i miła. Najpiękniejszą jednak była Bronka i oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

— Boże, jaka piękna ta panna! — zawołała któraś z dziewcząt służebnych.

Bronka spłonęła gorącym rumieńcem.

A Surma, zamiatając ziemię u nóg dziewczyny swą czapeczką z pawiem piórem, wołał:

— Królowna, moja druchna! Z taką tylko żyć i krakowiaka wywijać!

A już muzykanci uderzyli w bębenki, zabręczały dzwonki u krakowskich chomąt, i starosta zawołał:

— Siadać, siadać, komu w drogę, temu czas.

Usadowiła się więc na jednym wozie starości-
na ze starostą. Na drugim panna młoda z druch-
nami. Pan młody z drużbami jechali konno. Przo-
dem jako w zwyczaju jechała muzyka.

W Turzach czekało na weselników liczne gro-
no zebranych gości, krakowiacy i krakowianki.
Bronkę spotkała tu niespodzianka. Wśród gości
była jej dawna znajoma Nusia Palmirska.

Nigdy od pierwszego spotkania się ze sobą we
Lwowie nie lubiły się wzajemnie. „Stup telegra-
ficzny” nie znosił Bronki, która ze swej strony
również nie lubiła pysznej i zarozumiałej kole-
żanki. Dziś jednak, po kilku latach niewidzenia
Nusi Bronka zapomniała o dawnej niechęci i ze
zwykłą sobie uprzejmością zwróciła się do niej
witając ją, jako dawną koleżankę.

— A, panna Torska, przypominam sobie —
chłodno odpowiedziała strojna w jedwabie panna,
odwracając się w tejsze chwili w inną stronę.

Bronka zbladła, zmroziła ją odpowiedź Nusi
i jej zachowanie i to wobec liczного grona zebranych
osób, z których i połowy nie znała.

Surma widział, jak jego druchna uprzejmie
pośpieszyła przywitać świetną pannę, i chociaż
nie słyszał jej odpowiedzi, lekceważący ruch gło-
wy Nusi oraz jej zwrócenie się w drugą stronę do-
statecznie mu całą sprawę wyjaśniło. Dostrzegł
też, jak bardzo pobladła Bronka. Pośpieszył ku
niej.

— Jana pani szuka — rzekł — i panna młoda
ogłada się za swą druchną.

Bronka spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Jaki pan dobry — rzekła, idąc z nim do
dalszych pokoi, gdzie mieli odnaleźć swoje kółko.

— Przeciwnie — odparł — jestem w tej chwili
bardzo zły. Wie pani, jak ów z biblji, co to roz-
darł lwa, tylko że zamiast lwa rozdarłbym ją, tę
„lale”, co to mojej druchnie zrobiła przykrość.

— Jak to dobrze, że pan nie jest owym mocar-
nym Samsonem — rozśmiała się Bronka — po-
pusułoby nam to zabawę.

Spotkali się z Janą i Zosią, i Bronka odzyska-
ła humor i wesołość.

Czuła, że podoba się ogólnie, i sprawiało jej to
przyjemność. Pierwszy raz w życiu była na więk-
szej zabawie, nie w gronie koleżanek, ale wśród
obcych ludzi, i cieszyło ją wszystko, bawiło, że
jest otoczona i ogólnie uznana za najładniejszą.

A panien ładnych było sporo. Nusia należała
do nich. Wysoka, doskonale zbudowana, miała
śliczną cerę, ładne zęby i oczy. Urodę jej psuła
jedynie zbyt pewność siebie, granicząca z za-
rozumiałością, oraz złośliwość, malująca się w za-
ciśniętych ustach.

— Zupełnie słusznie mnie to spotkało — my-
ślała Bronka, patrząc na chodzącą po salonie stroj-
ną pannę. — Byłam niemądra, zapominając, że je-
stem tylko ubogą nauczycielką, a ona bogatą je-
dynaczką.

Ochoczo szła zabawa. Krakowiak wzbudził ogólny poklask. W pierwszej parze stanął Witek z Zosią Telatycką, a naprzeciw nich Jan Surma z Bronką.

Wszyscy czworo świetni tancerze. A panny ładne jak kwiaty. To też otoczono ich kołem, przypatrując się z zachwytem wszystkim ślicznym figurom narodowego tańca.

Witek Asłanowicz nie taił swego zachwyty dla Bronki, ścigał ją oczyma, patrząc jak zgrabna i gibka umyka od Surmy, to znowu podaje mu ręce, by razem z nim wirować.

A Surma, tancerz zawołany, skrzesał ognia podkówkami, przytupnął i zaśpiewał:

Niechże ja lepiej nie żyję,
Dziewczę, skarby moje.
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje!

Bronka, spłonęła jak różyczka.

— Brawo, brawo! — wołała starszyzna — o, to ci prawdziwy krakowiak, bo i przyśpiewki dawne zna. Brawo!

Surma rozweselony, biorąc Bronkę wpół, przodował tym razem wszystkim, potem znowu śpiewał:

Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie.

I znowu tańczyli, aż wkońcu i Witek Asłanowicz zaśpiewał, stając przed muzyką:

Grajcie, skrzypki, bo się smucę
W opłakany stanie;
Z konikami ja powrócę,
Serce się ostanie.

I długo tak w noc tańczono naprzemiany: krakowiaki, oberki, mazury. W przerwach zaś między tańcami Jana cyganka uwijała się po sali, żartując, dowcipkując i wróżąc zebrany.

Znała wszystkich od dziecka niemal i lubiano ją ogólnie. Nusia, która tu była obca, gdyż gościła bodaj po raz pierwszy w sąsiedztwie państwa Turzańskich, dowiedziawszy się, że to panna Asłanowiczówna, wyciągnęła do niej rękę z prośbą o wróżbę.

Jana popatrzyła uważnie i jak prawdziwa cyganka, wodząc palcem po dłoni i kiwając głową, rzekła:

— Piękna panna, piękna, i chłopiec piękny patrzy na nią jak na piękną różę, ale się boi, oj, boi...

— Czego się boi? — spytała Nusia.

— Cierni — rzuciła wróżka. — Cierni się boi panicz młody, trzeba je odrzucić, bo odjedzie, a smutek zostanie.

Wróżka odbiegła, a Nusia rozśmiała się, ale była dotknięta.

Nie bawiła się dobrze. Bronka bezwiednie popsuła jej humor. Panna Palmirska przekonana była, jadąc do Turz, że właśnie ona będzie królową

zabawy, a tymczasem, kto wie, skąd zjawiła się ta Bronka, i jak dawniej w szkole, tak dziś tu wszystkich uwaga jest na nią zwrócona. Nawet kuzyn Nusi Władek Wiejski, u którego rodziców bawiła, gonił oczyma za krakowską druchną.

Wiejski nie tańczył, był trochę ułomny, utykał lekko na jedną nogę, ale Nusia lubiła go bardzo. Był bogaty, miał tu na Pokuciu śliczną wieś, którą już mu ojciec oddał, rodzina była ogólnie znana i szanowana. Posiadał też wielkie zalety towarzyskie, miły, wykształcony, grał na fortepianie artystycznie. Powszechnie mówiono, że Nusia, daleka jego kuzynka, podoba mu się, i przepowiadało, że się z nią ożeni.

Hela Wiejska była koleżanką Nusi z klasztoru, i obie panny przyjaźniły się ze sobą.

Bronka nie wyróżniała nikogo z pośród zebranych. Było jej dobrze, wesoło i bawiła się całą duszą. Podobała się ogólnie i starszym i młodzieży.

— Dlaczegoś taką dziwną wróżbę powiedziała Nusi? — zapytała Janę, wychodząc z nią dla orzeźwienia się na ganek.

— Bo to się jej należało — odrzekła cyganka — muszę być w mej roli, a więc powinnam była ją ostrzec. Wszyscy panowie oburzeni są na nią za jej zachowanie się względem ciebie. Gdyby nie wzgląd na Wiejskich, z którymi tu przyjechała, nie ruszyłaby nogą.

— Ach! — zawołała Bronka — jakazby to dla mnie była przykrość, bo ja to mimowoli wywoła-

łam, powinnam była nie zbliżać się do niej pierwsza. Strasznie byłabym zmartwiona, gdyby się przez to jej zabawa popsuka.

— Możeby to była pożyteczna dla niej nauka — odparła Jana.

Jeżeli w Turzach bawiono się dobrze, to w Chormczy zabawa przeszła wszelkie oczekiwanie.

Ponieważ w domu nie było dużej sali, zastawiono długie stoły i ławy na połoninie*) ponad cudnym brzegiem Czeremoszu i bawiono się przy świetle kolorowych lampjonów.

W tem oświetleniu, przy dźwiękach cygańskiej muzyki, barwny taniec krakowski nabierał dziwnego piękna. Fruwały różnokolorowe wstążki krakowianek, a one same wyglądały jak rusałki piękne i młode.

Bronka tu znowu królowała. Bawiła się jeszcze lepiej niż w Turzach, gdyż już wszystkich знаła, i jak mówiła, wszyscy tacy byli dla niej dobrzy.

W połowie wieczoru, zmęczona tańcem odeszła wraz z Olą na stronę, i usiadły obie na ławeczce pod dużym bukiem.

Władek Wiejski dojrzał siedzące panny i pośpieszył do nich. Na połoninie tańczono dalej ochoczo, kilka osób spacerowało wpobliżu. Między przechadzającymi się była Nusia.

Wiejski, stojąc oparty o drzewo, zasłaniał sobą Bronkę, która cofnięta wgląd wpatrywała się w ska-

*) Tak się w górach nazywają łąki.

czące po kamieniach fale Czeremoszu, oświetlone różnobarwnymi lampjonami.

— Nie chcę już tańczyć — szepnęła Bronka — taki cudny wieczór, ta przyroda taka śliczna, że wolę tu siedzieć i patrzeć.

W tejże chwili spacerujący podeszli tak blisko do buku, iż dokładnie można było słyszeć ich rozmowę.

— Śliczna jest ta panna Torska — mówił któryś z panów — pani ją zna, wszak prawda, panno Anno?

— Znałam właściwie, będąc w trzeciej klasie — odpowiedziała Nusia.

— Pochodzi z Warszawy?

— Ach tak, ojciec jej jakiś podobno handlarz zbankrutował, i zdaje się, że zastrzelił się. Wiele osób pogrążył w nędzy.

Ola skoczyła z ławki. Wiejski drgnął, urwał w pół zdania i spojrzał na Bronkę. Światło księżyca tak na nią padało, iż dojrzał, że zbladła śmiertelnie, i łzy rzuciły się jej z oczu.

— Jak ona śmiała — zawołała Ola — to mówić?

— Pani — szepnął Wiejski, pochylając się nad płaczącą — nie zważaj na te słowa, wypowiedziane przez złą dziewczynę.

— Ależ to kłamstwo, ohydne kłamstwo — odrzekła Bronka — ojciec mój życia sobie nie odbierał. Umarł z przepracowania. Był najlepszym człowiekiem i nikomu nie wyrządził krzywdy.

— Ja panią bardzo, bardzo serdecznie i pokornie przepraszam za tak niestosowne odezwanie się mej kuzynki — rzekł Wiejski — proszę mi wierzyć, iż dotknęło ono mnie mocno.

— Wierzę panu — odrzekła Bronka — ale nie wiem, dlaczego pan mię przepraszasz. Panna Palmirska, koleżanka moja, jeszcze w szkołach nie lubiła mnie. O tej dziecinnej niechęci zapomniałam i, widząc ją po raz pierwszy po kilku latach rozłąki, powitałam serdecznie jako dawną znajomą. Obraziłam ją tem widocznie. I może słuszną dostałam naukę. Za co jednak czerni pamięć mego ojca? Wszystko, co tu powiedziała, było nieprawdą. Ojciec mój był przemysłowcem z zawodu. Śmierć jego nagła mogła rzeczywiście przyprowadzić niejednego o ruinę. Szczęściem był bogaty i majątek jego starczył na pokrycie wszystkich jego zobowiązań. Nikt pokrzywdzony nie został...

Łzy przerwały jej mowę.

Ola zarzuciła jej ręce na szyję i całując wołała:

— Moja śliczna, kochana królowo, nie płacz, ona twych łez nie warta!

— Tak — rzekł Wiejski — panna Ola ma zupełną słuszość. Tylko zła z gruntu osoba i w dodatku źle wychowana mogła tak postąpić. Szkoda łez pani.

— Bronko, Olu, gdzieżście się skryły? — wołała Jana, zbliżając się do buku.

Szła z Witkiem, Stefą i Surmą.

— Proszę pana zapomnieć o wszystkim, co tu było — prędko powiedziała Bronka — i ty Olu, zapomnij. Chodźmy.

Wyszli z pod drzewa, a tamci z oburzeniem zarzucili im ucieczkę z ogólnej zabawy.

— Chciałyśmy tylko trochę z Olą — broniła się Bronka — wypocząć i popatrzeć na Czeremosz, a pan Wiejski poszedł z nami.

— A wiecie — mówiła Jana — o nowym projekcie Witka? Wracamy jutro łodziami Czeremoszem do Olejowej.

— Cudownie! — zawołała Bronka.

— A czy mnie państwo przyjmiecie do swego towarzystwa? Wybierałem się z wizytą do Olejowej, wysłę więc konie, a sam popłynę z wami. Czy wolno?

Mówiąc to Wiejski spojrzał na Bronkę, która domyśliła się, że w ten sposób chce zatrzeć brzydki postępek Nusi.

— Ależ prosimy, prosimy! — wołali wszyscy.

— Jakto, Władku, nie wracasz dziś z nami? — zapytała brata w parę godzin potem Hela Wiejska.

— Nie — odparł — jadę do Olejowej.

— Ależ to niegrzecznie względem Nusi — zauważyła pani Wiejska.

— Moja mamó — odparł syn — panna Palmirska odsłoniła mi nieznaną dotąd stronę swego charakteru. Jest złą z gruntu i w dodatku źle wychowaną osobą. Za powrotem z Olejowej opo-

wiem ci wszystko i pewien jestem, że przyznasz mi słusność. Wolę jednak już panny Anny nie widzieć, przyjadę do was po jej wyjeździe.

Z biegiem skaczących po kamieniach fal Czeremoszu wracano do Olejowej na zbitych ze sobą małych łódkach, kształtem swym przypominających koryta. Dzień był jasny, słoneczny, i krajobraz Pokucia odsłonił się w całym pięknie. Wspaniałe Beskidy ze swemi dzikimi skałami i połoninami, potężne szczyty Pop Iwana, Howerli i Czarnohory wspaniale rysowały się na horyzoncie.

Bronka po raz pierwszy w swem życiu była w podobnie dzikiej i malowniczej okolicy, to też oczarowana została pięknnością przyrody.

— Nie wiem, gdzie mam zwrócić oczy — mówiła — takie tu cuda widzę. Bo i ten Czeremosz taki piękny i góry z białemi szczytami rwą mi wzrok.

— Była pani kiedy w Szwajcarji? — zapytał Wiejski.

— Dzieckiem, za życia ojca kilka razy — odparła — ale byłam wówczas zbyt mała, by móc ocenić piękność przyrody. A pan?

— O, znam dobrze Szwajcarję i Tyrol, podróżowałem bardzo wiele — odparł Wiejski — i wyznaję szczerze, że wiele jest pięknych krain na świecie, ale Polska nasza nie ustępuje pod względem pięknych i malowniczych okolic innym krajom.

— Tylko, że my — rzucił Surma — zazwyczaj o wiele lepiej znamy obce kraje niż swój.

— Tak — mówił Wiejski — w dodatku utarło się, że się jedzie do Zakopanego, do Żegiestowa, Szczawnicy i t. d., a nasza Wschodnia Małopolska mało komu jest znana. Któż naprzykład z warszawiaków lub wilnian słyszał kiedy o Jamnie lub Jaremczu? kto wie o cudownym klimacie w Zaleszczykach, gdzie właśnie ludzie słabsi mogliby z pożytkiem spędzać zimę, nie wyjeżdżając z kraju. Kto tu kiedy zagląda?

— A z drugiej strony któż z nas — zaśmiała się Jana — zna stare Wilno, jego okolice i tamtą ziemię bratnią?

— Zdaje mi się — odrzekł Wiejski — że ja jeden w tem naszym gronie jestem tym, który był w Wilnie, Grodnie i Kownie. Zapuściłem się nawet dalej, bo na dalekie, zapadłe Polesie, gdzie parę miłych tygodni spędziłem w lasach i błotach, a potem Prypecią i Dnieprem dostałem się do Kijowa i mówię wam, moi państwo, że:

Cudne wprowadzie obce kraje,
Brzezi Tagu, Po i Renu,
Gdzie oliwne, cytryn gaje
Stroją ziemię w kraj Edenu...

Lecz i nasz kraj, Boże, Boże!
Toż miłości tylko trzeba,
Tyle piękna dać nam może,
Ile daje nam tu chleba!

Mamyż sławne Wisły łany,
Mamy Niemen, Dniestr, Wiliję,
I Karpaty i kurhany,
A w nich wiemy — kości czyje!

Ja Prypeci mej nie zmienię
Gdzieś na Renu jasne wody,
Ani łąk mych woń, zielenię
Na ich parki i ogrody!

— Nie wiedziałam, że pan Władysław pisze poezje — zawołała Ola — ale że też pan tak ukochał Prypec! Czemu to nie o Czeremoszu lub Prucie naszym pan to mówi?

— Wierszyk ten napisał mój serdeczny przyjaciel, w którego domu gościłem parę razy na Polesiu — odpowiedział Wiejski. — Pływaliśmy razem po ślicznej Prypeci, łowiliśmy ryby i raki w jeziorach i błotach poleskich i włóczyliśmy się dnie i noce po tamtych puszczech. Śliczny tam kraj.

— A kraj „nudny niby słońce” śpiewał o Polesiu ongi Pol — odezwała się Bronka.

— Musiał tam być chyba w słońce i dlatego tak skrzywdził biedne Polesie. Kraj, w którym wszystko gra i śpiewa, nudnym być nie może — bronił Wiejski.

— Nie rozumiem tego, co tam gra i śpiewa? — zapytał Witek.

— I las, i łąka, i każde błotko bodaj żyje na Polesiu — odparł Władek. — Nigdzie może takiego śpiewu i grania ptaków i owadów nie posłyszysz jak tam wiosną podczas wylewów Prypeci. Nic, jedno morze, mówię wam, gdzie okiem sięgnąć, tam woda i woda. A gdy wieczór nadejdzie, słyszysz zewsząd wołanie ptactwa błotnego, klekotanie bocianów, gwizd ciągnących słońek, re-

chotanie żab. I kraj ten piękny, może smutny trochę, ale pełen uroku, może być nudnym?

Tak rozmawiając o różnych częściach kraju rodzinnego, podróżni nasi napawali oczy widokiem prześlicznych jarów i skał Pokucia. I ani się spostrzegli, jak stanęli w Olejowej, gdzie już ich czekało z obiadem.

Wieczorem Wiejski usiadł do fortepianu i zaczął grać.

Narazie grał cicho, rzewnie, rzekłbyś, że wiatr lekki porusza drobne listki drzew, potem zaśpiewały różne ptaki leśne: zadzwonił skowronek, zagwizdał kos, skrzeczały sroki, wołała wilga; szumiały bory i puszcze jakąś pieśń cudną, aż wkońcu ucichło wszystko i z pod palców artysty popłynęła melodia słodka, rzewna i tęskna.

Janka z Bronką stały zaszłuchane w tę pieśń bez słów, a gdy ostatnie przebrzmiały tony, żadna odezwać się nie mogła.

Wiejski spojrzał w ich stronę i, jakgdyby odpowiadając na pytanie, które z oczu Bronki wyczytał, rzekł krótko: — Polesie.

— Jaki szczęśliwy ten Wiejski — mówiła wieczorem Janka, gdy się wszystkie panny zeszły jeszcze na chwilkę rozmowy w pokoju Bronki — potrafi wszystko muzyką wypowiedzieć. Już takich kilka improwizacji jego słyszałam, jak to dzisiejsze „Polesie”. Kiedyś grał inną rzecz zupełnie, nazwał ją „Walka”, powiadam wam, że było to coś wspaniałego, a jednocześnie przerażającego swymi tonami.

— Szczęśliwy, kto dar taki posiada — szepnęła Bronka.

— Podobno żeni się z panną Palmirską — zawołała Stefa — mówiono o tem bardzo wyraźnie w Choromczy. Słyszałam, jak Hela Wiejska mówiła do jednej z pań obecnych, że Nusia niedługo będzie jej bratową.

— O, jeśli tak — rzekła Jana — to mi go żal, ta Palmirska to wcale nie żona dla takiego dobrego i subtelnego artysty, jak pan Władysław.

Bronka nic nie mówiła, ale i jej zrobiło się smutno na myśl o małżeństwie Wiejskiego z Nusią. Nie odezwała się jednak żadnem słowem, obawiając się być posądzona o to, że przez obrażoną miłość własną niechętnie odzywa się o tamtej.

Wyręczyła ją Ola.

— Powiadam wam — rzekła głosem wyroczni — że z tego małżeństwa nic nie będzie. Pan Władysław nie ożeni się nigdy z osobą, o której powiedział, że jest złośliwą i źle wychowaną. Już ja wam to zaręczam.

Powiedziała to takim stanowczym głosem i z taką pewnością, że się wszystkie serdecznie rozśmiały. Bronka, chcąc przerwać tę rozmowę, zawołała na Stefę i Olę, by szły spać.

W tejże samej godzinie Witek długo rozmawiał z Surmą, chodząc z nim ponad brzegiem Czeremoszu; lecz o czem mówili, słyszały tylko stare buki, a że drzewa nie zdradzają tajemnic, więc nikt się od nich niczego nie dowiedział; ra-

no zaś przy śniadaniu Surma powiedział, że musi pożegnać Olejową i jej gospodarzy, gdyż jedzie zwiedzać kopalnie nafty: w Drohobycz, a potem w Borysławiu. Koniec zaś wakacji spędzi wśród rodziny w Królestwie.

— A to niespodzianka! — zawołała Jana. — Przecie obiecał nam pan, że całe wakacje pozostanie w Olejowej. Czyżby się już pobyt tu sprzykrzył?

Surma zapewniał, że przeciwnie, czas mu dziwnie miło upływa, ale niepodobna żyć tylko przyjemnościami, trzeba myśleć i o obowiązkach.

— Pan Jan — rozśmiał się Wiejski — zaczyna mówić po profesorsku.

— A ja — zawołała Jana — chcę podczas wakacji bawić się i używać przyjemności, pan psuje mi tym wyjazdem szyki. E! wielce mi się to nie podoba! I cóż będziemy tu robiły — wołała patrząc żałośnie na inne panny — po wyjeździe pana Jana? Będę chyba miewała dla was wykłady filozofji.

Wszyscy rozśmiali się, a Surma rzekł:

— Nie, nie, niech tylko pani, panno Jano, nie zawraca głowy pannom żadną filozofją. Nie rozmarzajcie się poezją, a bierzcie się wszystkie do realnej roboty.

— Myślałby kto — rozśmiała się Ola — że pan Jan to taka uosobiona proza, a kto dziś rano tak się zaczytał w Słowackim, iż nie słyszał dzwonnka na śniadanie?

— Tego się nie zapieram — rozśmiał się Surma — iż kocham poezję, muzykę i wszelkie inne muzy, ale w życiu jestem realistą i chciałbym jak najwięcej ludzi zachęcić do pracy pozytywnej. Gdybym miał kawał ziemi, jak panna Ola naprzykład, tobym poszedł do szkoły gospodarczej, wyspecjalizowałbym się w jakim fachu, chociażby w hodowli kur, i dalej do roboty na swoim.

— Oho — rozśmiał się Witek — to już do pani zwrot, panno Broniu, Janek nie uczyłby się za nic „parle franse“.

— Właśnie, właśnie, żebyśmy się uczył, jedno drugiemu nie przeszkadza — odciął się Surma — a zresztą „parle franse“ pomogłoby mi i tu, bo hodowlę drobiu najlepiej prowadzi Belgja, pojechałbym zwiedzać tam kurniki.

Roześmiano się wesoło na te słowa, a Surma mówił znowu:

— Tak czy owak, powinniśmy wszyscy pracować. Wszyscy, jak tu jesteśmy, mamy potęgę, skarb w ręku, nie marnujmyż go.

— Wcale nie mam skarbu — chichotała Stefa — ani ja, ani Ola.

— O, moje panny! — śmiał się z kolei Janek. — W odpowiedzi wam parafrazuję Mickiewicza: „Miej oczy i patrz uważnie, a dojrzysz“. Młodość to nasz skarb, nasza potęga. Życie należy do nas, takie będzie, jakie je sobie urobimy. Albo piękne, mocarne, albo życie ślimaków.

— A to, co pan mówisz, nie jestże to poezja — zagadnęła Bronka? — Wszak życie przyno-

si nam często tyle zmian, tyle niespodzianek, często nieraz ciężkich.

— To rzecz inna, co ono nam przyniesie, bo rozumiem, o czym pani mówi, choroby, śmierć, ciężki zawód, tak to prawda, niemniej jednak życie do nas należy. Znać wszyscy ów cudowny mit o Prometeuszu, otóż powtarzam, że w każdym młodym musi być zaklęty duch Prometeusza. Każdy z nas powinien dążyć do tego, by pochwycić isierkę świętego ognia, który go uczyni nieśmiertelnym, bo jak mówią Japończycy: Człowiek przemija jako cień, lecz czyny jego żyć będą wieki.

— Nawet gdy czynem tym będzie postawienie kurnika? — śmiała się Jana.

— Bezwarunkowo, jeśli to robi z myślą i umiłowaniem swej pracy. Zgodzicie się sami, że kraj budować należy, że musimy podnieść go we wszelkich gałęziach pracy społecznej. Musimy mieć uczonych, filozofów, poetów, artystów i t. d., ale poza tem trzeba nam rolników, inżynierów, przemysłowców, rzemieślników swoich, niech więc każdy z nas wcześniej zastanowi się nad tem, którą mu drogę obrać należy, by właśnie tę isierkę, którą ma w duszy, zamienić w cudną gwiazdę.

.

Surma odjechał a z nim Władek Wiejski.

Zdawało się, że wiadomości Nusi, rozsiewane o ojcu Bronki, przejdą bez echa i zapomniane zostaną przez wszystkich. Stało się jednak inaczej.

W parę dni po weselu krakowskim przyjechała do Olejowej stryjenka pana Asłanowicza, zwana ogólnie „starszą panią”, może z powodu poważnego wieku, może też tylko dla odróżnienia jej od obecnej pani Olejowej.

W rodzinie nietyle ją kochano, ile bano się. „Starsza pani”, czyli ciocia Mela, była niezmiernie surowa, nie lubiła zabaw, wesołości, uważała, że ludzie za mało pracują, powstawała na ogólny zbytek i brak oszczędności.

Młodzież grała w tenisa, gdy duża staroświecka landara wjechała na podwórze.

— Ciocia Mela we własnej osobie! — jęknął Witek i rozpaczliwym ruchem uderzył piłkę.

— Skończyło się! — zawtórowały Stefa i Ola.

— Przygotujmy się wszystkie i wszyscy na bury i pomsty — dodała Jana.

— Któż jest tą złą wróżką, która wszelką wesołość tłumi? — zapytała śmiejąc się Bronka.

— O, nie pomyliła się pani! — rozśmiał się Witek. — Ciocia Mela to uosobienie złej, srogiej wróżki, która samem ukazaniem się zachmurza najpogodniejsze niebo.

— No, dość tych narzekań! — zawołała Jana. — Świat należy do śmiałych, chodźmyż spojrzeć w oczy swemu przeznaczeniu. Idźmy powitać ciocię Melę. Ogromnie jest wrażliwa na wszelkie niedocenienie jej osoby.

Wzdychając starsze i młodsze rodzeństwo poszło powitać „starszą panią”.

Bronka została w ogrodzie, gdzie już za chwilę zjawily się jej uczennice, spiesząc, jak mówiły, na lekcję.

Pracowały bardzo pilnie aż do podwieczorku, przy którym i Bronka poznała straszną ciocię.

Zrobiła na niej wrażenie huzara, bo i wzrost odpowiedni i głos gruby, szorstki nie miał w sobie nic kobiecego.

Na powitanie skinęła Bronce głową i poza tem zdawała się nic o jej obecności nie wiedzieć.

Strofowała Janę za przebranie się za cygankę. A gdy ta odezwała się nieśmiało, że przecie była to ogólna zabawa, i skoro inne panny przebrały się za krakowianki, to chyba jej wolno było przebrać się za cygankę, ciocia surowo odpowiedziała:

— Nie pojmuję potrzeby tych maskarad. Wszyscy tracimy majątki na głupstwa i zabawy. Czasby już był wziąć się do oszczędności i pracy.

— Moja ciociu — próbował bronić młodzież pan Asłanowicz — niepodobna żyć bez rozrywki. Jeszcze my starsi wiekiem to sobie wystarczymy, ale młodzież, czyż ma być tak zupełnie pozbawiona wszelkiej zabawy i przyjemności?

— A czy waść znasz przysłowie: czem się skorupka zamłodu napoi, tem na starość trąci? — odparła starsza pani.

Rozmowa toczyła się dalej w tym samym tonie. Ciocia Mela przedewszystkiem dokuczała Jani. Drwiła z jej nauki, uniwersytetu, nazywała wszystkie studentki „przewróconemi głowami”.

Bronka przyglądała się ostrożnie „starszej pani”, takiej osoby jeszcze nie widziała. Cerę miała ormiańską, oliwkową, duże zrosnięte czarne brwi, czarne okrągłe oczy i nos garbaty, a pod nim mały, jeszcze czarny wąsik. Włosy również czarne, tłuste i gładko zaczesane.

Ubrana była w suknię brązową, dziwnego kroju i mody, a na nogach miała grube, ciężkie obuwie. Uczennice mówiły Broni, że ciocia bardzo bogata i skąpa nadzwyczajnie.

Ola i Stefa szybko zawinęły się ze swym podwieczorkiem, i jak tylko Bronka wypila filiżankę herbaty, zwróciły się do niej z prośbą o dokończenie lekcyj.

— Więc aż tak bardzo dziś pracujecie? — zapytała naraz ciocia Mela. — Wręcz przeciwne rzeczy doszły do moich uszu. Codziennie podobno były tu wycieczki, zabawy, pływanie łódkami i t. d., no i tańce. Cóż więc dziś za pracowitość?

Ola i Stefa stały bezradne, nie wiedziały co cioci odpowiedzieć. Wyręczyła je Bronka.

— Zabawy, o których pani wspomina, nie dały nam przerobić całego materiału, jaki miałyśmy na czas wakacji, dlatego obecnie zmuszone jesteśmy pilniej pracować. — Mówiąc to ukloniła się i wyszła, a za nią pośpieszyły uradowane uczennice.

— Mądrze się wykreśliła ta wasza panna guwernantka — zaśmiała się „starsza pani”. — Ale muszę ci zwrócić uwagę — dodała zwracając się do pani Asłanowiczowej — że dla pańienek w wie-

ku twoich córek należy dobierać poważniejsze osoby niż ta wasza, jak ją nazywacie?

— Panna Torska — podchwyciła pani Asłanowiczowa — została mi polecona przez bardzo poważną osobę, bawi u nas już przeszło miesiąc, chociaż młodziutka, bardzo jest rozsądną, pracowitą i taktowną osobą.

— Ola i Stefa wiele przy niej skorzystały — dodała Jana.

— Tak, tak, pytanie jednak, czy i nie straciły. Biedna dziewczyna, córka zbankrutowanego handlarza, samobójcy, pozwala sobie na takie zbytki. Stylowy strój krakowski, jedwabie i atłasy, fiu, fiu!

— Moja ciociu — zawołała Janka — przepraszam, ale widzę, że ciocię ktoś źle usposobił dla Bronki. Wcale nie jest córką zbankrutowanego handlarza, a tem mniej samobójcy. Pan Torski był przemysłowcem, śmierć jego wywołała ruinę majątkową Bronki. Wychowuje ją ciotka, osoba bardzo zacna i rozumna, i ona jej kupiła cały materjał na ów strój stylowy. Bronka uszyła i wyhaftowała go własnoręcznie jeszcze zeszłej zimy. A i teraz haftowała gorseciki dla Stefy i Oli, więc ani sama marnotrawną nie jest, ani złego przykładu moim młodszym siostronom nie daje.

„Starsza pani“ z oburzeniem spojrzała na Janę.

— Widzę — rzekła — że tu wszyscy oczarowani jesteście tą panną guwernantką. Obyście tego nie żałowali. Ale już wieczór nadchodzi, muszę

wracać, przedtem chciałabym jeszcze z kuzynem i jego żoną pewną sprawę załatwić.

— Może przejdziemy do gabinetu — rzekła podnosząc się pani domu.

Starsi państwo poszli, a skoro się drzwi zamknęły za nimi, Jana i Witek wybuchnęli śmiechem.

— Nie, ta nasza ciocia Mela, jest nadzwyczajna — rzekł Witek — istna zła wróżka, nikomu nie wybaczy.

— Myślę, że od dziś wykreślona zostanie z rzędu spadkobiorców — śmiała się Jana. — Obyż przynajmniej ciebie, Witku, nie wymazała za jednym zamachem.

— Czego się ona na pannę Bronisławę uwzięła? i skąd ta wiadomość o jej ojcu? — zapytał Witek.

— Od Nusi; mówiła mi to Ola, słyszały obie z Bronką, jak Nusia to opowiadała, i Wiejski również słyszał.

— Tak — powtórzył brat — teraz domyślam się, dlaczego on tu z nami przyjechał i tak uprzedzając grzeczny był dla panny Broni. Wiejski jest bardzo szlachetny i dobry, chciał bodaj w ten sposób, zatrzeć w umyśle panny Broni krzywdę, wyrządzoną przez jego kuzynkę.

Zła wróżka odjechała niedługo, i wszyscy lżej odetchnęli.

Bronka jednak od tego dnia odczuła pewną zmianę w stosunku pani domu względem siebie. Uprzejma zawsze pani Asłanowiczowa nie darzyła

obecnie młodej dziewczyny taką jak poprzednio serdecznością.

Martwiło to Bronkę. Sądząc, iż matka uważa, jakoby córki za mało skorzystały z jej nauki, pracowała ze zdwojoną gorliwością. Usuwała się też od wszelkich zabaw i wycieczek. Ale i Jana z Witkiem wkrótce opuścili Olejowę, gdyż rodzice namówili ich do odwiedzenia dalszej rodziny w Tarnopolu. Cisza zapanowała w domu. Pozostało tylko wspomnienie zabaw wesołych i rozmów wspólnych.

Nie jeden raz uczennice ze swą mentorką roztrząsały przeróżne zdania Surmy, Witka, Jany i Władka. Ola i Stefa poważnie — jak same mówiły — zastanawiały się, czy też nie należałoby im wybrać sobie jakiejś pracy realnej. Ola marzyła, że po skończeniu gimnazjum wstąpi na wydział rolniczy i potem będzie ojcu pomagała w pracy. Stefa miała chęć uczyć się pszczelnictwa i ogrodnictwa i również wsi nie opuszczać.

Bronka milczała. Co pocnie? co zrobi? Nie umiała tego powiedzieć, tymczasem pilnie pracowała nad swymi uczennicami.

— Niechże i mój czyn zostanie — mówiła nieraz — niech ja spełnię dobrze to, czego się podjęłam.

.....

Miłe wakacje szybko minęły, zato po nich przyszła zima. Bronka spędzała ją tak, jak to już poprzednio ułożyła, w bursie imienia Felicji z Wa-

silewskich Boberskiej. Postanowiła utrzymać się swoją pracą. Uczyla więc panny, mieszkające w bursie, i miała lekcje na mieście. Sama również pracowała. Nie było czasu na zabawę. Nawet na odwiedziny pani Tylickiej nie mogła sobie często pozwalać.

Wszystko byłoby niczem, gdyby życie inaczej się ułożyło, gdyby i tu jak w seminarjum lub w Olejowej było miłe, serdeczne otoczenie. Gdyby był cichy, własny kącik, w którymby można było spokojnie pracować. A tu właśnie było inaczej. Miała sypialnię wspólną z trzema innymi pensjonarkami, z których dwie, starsze o lat kilka od niej, brzydkie i złośliwe dziewczyny, dokuczały jej w niemiłosierny sposób.

I znowu Bronka zetknęła się z niską i niemądrą zawiścią.

Zazdroszczono jej urody, wdzięku, towarzyskiej ogłady i wytworności ruchów.

— Cierpliwość nie jest moją cnotą — powtarzała sobie Bronka — a jakże mi ona jest obecnie potrzebna.

Nieraz myślała o opuszczeniu bursy i przeniesieniu się do pani Tylickiej lub Krzysi, ale wstrzymywała ją myśl, że pobyt u każdej z nich będzie o wiele kosztowniejszy, bo o tem, by mieszkać gdzieś bezpłatnie, ani się jej śniło. Wszak powiedziała sobie, że sama musi wystarczyć, jakżeby więc wyglądała przyjmując pomoc. Nie, bądź co bądź, musi wytrwać. Zaciskała zęby i milczała, udając, iż nie słyszy ani złośliwych uwag p. Rza-

dówny, ani niemądrych dowcipów swej drugiej nieprzyjaciółki, Kazi Górnej. Starła się unikać obu, a że była zajęta, więc też nie było to rzeczą trudną. Reszta otoczenia, zaczawszy od pani przewodniczącej bursy, aż do stróża, obdarzała Bronkę taką serdecznością, iż narzekać na swój los nie mogła.

Tęskniła bardzo za ciotką i za Olejową. W tym obcym domu tyle miłych chwil spędziła. Ola i Stefa pisywały do niej. Obie były na pensji w Krakowie, widywały się z Janą i donosiły o wszystkim swej nauczycielce, pisały nawet o Witku, tylko o Surmie było głucho, a młoda nauczycielka nie pytała również o swego družbę. Nie mówiła nigdy o nim, z Krzysią nawet.

Myślała zato często o tych kwestjach, które on poruszał.

Po dwumiesięcznym obrachunku okazało się, że Bronka jest bogatą bardzo, bo po opłaceniu wszystkich wydatków złożyła do rąk pani Tylickiej swoje oszczędności: całe pięćset koron.

— Jestem tak dumna — mówiła — jakbym naprawdę skarb posiadała. Mam już swoje własne pieniądze i mogę nimi rozporządzać.

— Może się na święta wybierzesz do Zakopanego? — zapytała pani Tylicka.

— Nie — odparła stanowczo Bronka — mam inne zamiary. Chcę brać lekcje angielskiego języka.

— Bój się Boga, dziewczyno! czy nie za wiele pracy bierzesz na siebie. Przemęczysz się.

— Czy wyglądam na przepracowaną? — rozśmiała się wesoło. — Niech pani na mnie spojrzy. Nie zbladłam, nie zmizerniałam ani trochę od powrotu ze wsi.

Rzeczywiście wyglądała jak różyczka.

— Wolałabyś jednak odłożyć te lekcje na rok przyszły, wszak musisz przygotować się do egzaminu — przypominała pani Tylicka.

Ale Bronka nie dała sobie wytłumaczyć. Ułożyła się z nauczycielką Angielką, iż wzamian za lekcje francuskiego będzie się u niej uczyła angielskiego.

Szybko mija czas przy pracy, to też Bronka ani się spostrzegła, gdy nadeszły egzamina; parę tygodni usilnej pracy, i świadectwo dojrzałości znalazło się w jej ręku.

Uszczęśliwiona spieszyła do pani Tylickiej. Panny Wandy nie było jeszcze we Lwowie. Lekarze orzekli, że powinna zostać parę miesięcy dłużej w sanatorium. Kępa z naciskiem twierdził, że w interesie Bronki powinna być zupełnie zdrowa. Uległa więc i została. Miała wrócić dopiero w maju. Bronka projektowała, że zaraz po egzaminie pojedzie do Zakopanego, zabierze pannę Wandę i pojedą gdzieś obie razem na wieś. O braniu lekcji na wakacje mowy nie było. Ani ciotka, ani pani Tylicka nie zgodziłyby się na to, a i sama w głębi duszy przyznawała, że jest trochę zmęczona.

— Odpocznę — mówiła sobie — nabiorę sił, a potem...

Nie zwierzała się nikomu z tem, co zamierza na przyszłość uczynić, a każde zapytanie zbywała uśmiechem.

Rozjaśniona, wesół, weszła do mieszkania pani Tylickiej, i pierwszą osobą, jaką spotkała w progu, była panna Wanda.

— Ach, niedobra, niedobra! — wołała, rzucając się ciotce na szyję — a ja cieszyłam się, że jutro, pojutrze pojedę do Zakopanego i mojej ciotce zawiozę ten oto dowód mojego rozumu — mówiła, pokazując swój dyplom.

— Wybacz mi, Bronko — odrzekła panna Wanda — ale już nie byłam w stanie dłużej wytrzymać, i doktor sam mi radził, bym jechała.

— Pojedziecie zato razem kędyś — rzekła pani Tylicka — i wszystko będzie dobrze.

— Nie we dwie, tylko we trzy pojedziemy — mówiła Bronka. — Już mi to pani dawno obiecała, że te wakacje spędzimy wspólnie. Ludzie uczciwi mają tylko jedno słowo.

Pani Tylicka nie opierała się, i wszystkie trzy spędzały wakacje na wsi, w Jasielskiem, wśród ślicznych lasów świerkowych, ponad Wisłokiem.

Zaproszony przez Bronkę, przyjechał tu i doktor Tadeusz Kępa, obecnie profesor higieny na wszechnicy Jagiellońskiej.

— Jaka szkoda — rzekła p. Wanda — że pan doktor nie jest profesorem we Lwowie, bylibyśmy w jednym mieście, jak za dawnych czasów.

Ale Kępa pokręcił głową.

— Nie, szanowna pani — rzekł — lepiej, że się tak stało, jak jest, nudziarz zanudziłby naszą królową.

Bronka położyła mu rękę na ustach.

— Brzydki, brzydki doktor — mówiła.

— Oj to, to prawda święta — odpari, śmiejąc się — że mi Bóg poskapił urody.

— Starożytni Grecy twierdzili, że bogowie w swojej sprawiedliwości jednych ludzi obdarzali urodą, innym zato wzamián dawali mądrość i dobroć — śmiała się Bronka — nie możesz więc, doktoru, narzekać na swój los.

— Ha, trzeba się zgodzić z wolą nieba — westchnął Tadeusz — skoro mnie królowa aż mędrce robi. Coby to jednak szkodziło, gdybym troszkę miał urody.

— Ktoś inny może byłby poszkodowany, więc niech nie będzie narzekań, jeszcze tak bardzo brzydci nie jesteśmy, a ja o fizycznej urodzie nie myślałam, tylko to zaznaczam, że brzydko nie chceć mieszkać tam, gdzie ja jestem.

Kępa wzniosł oczy do nieba i znowu westchnął.

— Bałem się właśnie twej obecności, Bronko — rzekł wkońcu.

— Czy jestem tak straszna? — żartowała.

— Bałem się, że obcując z tobą ciągle, stracę tę odrobinę powagi, którą mam w twych oczach, i stanę się najpoddąnszym z twych poddanych.

Bronka spojrzała na mówiącego i wybuchnęła serdecznym, srebrzystym śmiechem.

W połowie wakacyj, do Zagórza, letniska, w którym przebywali nasi znajomi, zawitali nowi goście: Jana i Witek Asłanowiczowie.

Bronka ucieszyła się bardzo, przypomniała się jej Olejowa i zeszłoroczny tam pobyt. Witek ukończył politechnikę w Pradze, był już inżynierem mechanikiem i miał zamiar osiąść we Lwowie. Jana miała jeszcze przed sobą ostateczne egzamina.

Przyjazd ich wniósł nowe życie do cichego domu, rozruszano się, rozpoczęły się wycieczki w okolice, zwiedzanie brzegów Wisłoka i sąsiednich lasów. Obie starsze panie i doktor należeli do tych wycieczek, i zaraz na pierwszej Tadeusz rzekł do panny Wandy:

— Mamy w domu wroga, co porwać nam chce królowę.

Panna Wanda spojrzała zdumiona.

Dotąd nie przychodziło jej na myśl, że Bronka jest dorosłą, że lada dzień może spotkać kogoś, kto ją pokocha, komu ona odda swe serce i rękę. Słowa Kępy przeraziły ją trochę.

— Tak, tak, droga pani — mówił doktor, patrząc przed siebie — nadchodzi chwila ważna w życiu dziewczęcia. Bronka nasza, cudna dziewczyna, niepodobna by nie zwracała na siebie oczu ludzkich.

— Ależ doktorze — mówiła panna Wanda — przywidziało ci się. Bronka jest śliczna, nie przeczę, inteligentna przytem i bardzo myśląca, dziecko to jednak jeszcze wielkie.

— I Witold młody — odparł Kępa. — Pod tym względem stanowiliby parę dobraną. Należy tylko zbadać inne strony tego małżeństwa, czy wart on naszej królowy? Zresztą zobaczymy, czy się nie mylę co do jego zamiarów.

Pani Tylicka, którą przypuszczono do tajemnicy, podzielała przekonania doktora. I ona widziała, jakie wrażenie robiła Bronka na młodym inżynierze.

— Rodzina uczciwa — powiedziała — chłopak młody, zdolny, kto wie, czy to nie będzie ze szczęściem Bronki. Niech rozstrzyga sama.

Panna Wanda posmutniała. Tak szybko, tak niespodzianie mogą jej zabrać Bronkę? Witold podobał się jej i przyznawała, że ma wszelkie zalety, jakieby uważała za konieczne, gdyby szło o jego małżeństwo z każdą inną dziewczyną, ale Bronka...

Panna Wanda, jak najbardziej rozkochana w swem dziecku matka, dla Bronki marzyła o królewiczu z bajki, nigdy jednak nie przychodziło jej na myśl, że oto zbliża się chwila, w której on się zjawi. Z niepokojem śledziła Bronkę, starając się odgadnąć, czy choć trochę zajęta jest Witkiem, czy rozumie jego uczucia. Nic jednak dostrzec nie mogła. Bronka była wesółą, ożywioną, ale jednostajnie bawiła się w towarzystwie tak Witka jak i Jany.

Niedługo to jednak trwało. Pewnego dnia przyszła Jana tylko sama. Witek pojechał do

Jasła. Obie dziewczyny wybrały się na przechadzkę ponad Wisłok.

— Chcę dziś wyłącznie korzystać z towarzystwa Bronki — powiedziała Janka — pójdziemy sobie tylko we dwie nad rzekę i wrócimy na kolację, pewno i Witek tu przyjdzie po powrocie z Jasła.

I poszły — skoro jednak odeszły nieco od domu, Jana, obejmując towarzyszkę, rzekła:

— Bronko, czy wiesz, że Witek cię kocha?

Zamąciły się jasne źrenice Torskiej, łuna przebiegła po jej twarzy.

— Dlaczego mi to mówisz, Janiu? — szepnęła, a w głosie jej czuć było wyrzut i smutek.

Tamta jednak nie odczuła tego.

— Witek prosił mnie o to — rzekła — sam nie miał odwagi mówić ci o tem. Kocha cię oddawna. Jeszcze w roku zeszłym podczas twego pobytu w Olejowej chciał ci o tem powiedzieć, ale wtedy matka wymogła na nim, że będzie milczał aż do ukończenia politechniki. Dotrzymał słowa, ale już dłużej czekać nie chce. Bronko, powiedz mi jedno, czy może przyjść do was, powiedzieć ci, że cię kocha, i prosić, byś została jego żoną?

Były już nad bystrą rzeką, leżał tu kamień, na którym nieraz siadywały, i teraz Bronka milcząco osunęła się na głaz.

Była blada jak opłatek, usta jej nawet zbielewały. I ją to zaskoczyło niespodziewanie, nigdy jeszcze nie pomyślała na serjo o zamążpójściu.

Ukryła twarz w dłoniach i chwilę milczała, potem podniosła błyszczące łzami oczy na Janę.

— Janiu — szepnęła — nie, niech on mi nic nie mówi. Nie trzeba...

— Bronko — prosiła siostra — Witek cię bardzo kocha, pozwól, by ci to powiedział i nie odmawiaj mu...

Ale Bronka już ochłonęła, serce jej biło tylko szybciej, i łzy miała w oczach.

— Nie, Janiu — powtórzyła — to niemożliwe, może kiedyś pójde zamąż, ale dziś nie chcę i Witka nie kocham. Dobry on, wiem to, bardzo zacny, ale nie kocham go i żoną jego być nie mogę.

Siedziały jeszcze długo nad rzeką, Jana poruszała sprawę brata, chciała, by bodaj nadzieję jaką zrobiła mu Bronka, może kiedyś... w przyszłości...

Ale tamta potrząsała ciemną główką i prosiła, by Witkowi wytłumaczyła, że jej bardzo żal, ale nie może być jego żoną i prosi go, by o niej zapomniał.

— Bronko — spytała wkońcu Jana — ty chyba kochasz innego?

I znowu spojrzały na nią jasne źrenice dziewczęcia.

— Nie — odparła stanowczo — nikogo tak nie kocham, żebym chciała być jego żoną. Nie myślałam o tem nigdy jeszcze.

Wstały i poszły ku domowi.

— Pójde do siebie — rzekła Jana. — Witek z kolei pewno wstąpi do domu. Bronko, pozwól

mu przyjść jutro i pomówić z tobą. Może ty się jeszcze namyślił?

— Janiu, dlaczego ty mnie o to prosisz? — odrzekła Bronka. — Wiesz, że Witka lubię bardzo. On, wy wszyscy w Olejowej byliście dla mnie bardzo dobrzy, nie chciałabym nigdy nikomu z was zrobić przykrości. Pomyśl jednak, że wychodząc za Witka, jemu zrobiłabym tylko źle, bo naprawdę czuję to, że nie kocham go tak, jak należałoby kochać tego, z kimby się miało iść przez życie całe...

Pożegnały się i każda poszła do siebie.

Bronka za powrotem nie zastała Tadeusza, bolała go głowa i odszedł wcześniej. Długą rozmowę miała panna Wanda ze swą wychowanką, która szczerze opowiedziała jej to, z czym do niej przyszła Jana.

— Wyznaję — mówiła panna Kańska — że chciałabym, Bronko, widzieć cię mężatką. Chcę, byś poszła zamąż za człowieka dobrego i rozumnego, któremu byś była dzielną towarzyszką i współpracownicą w życiu, bo wszędzie — jakiegobyś miała stanowisko, pracować trzeba, ale nigdy nie namawiałabym ciebie, byś szła zamąż bez miłości i przekonania, jedynie tylko dla stanowiska. Asłanowicz jest młody bardzo; kto wie, gdyby się go bliżej poznało, czyby nie był dla ciebie odpowiednim mężem.

Bronka potrząsnęła głową.

— Nie, ciociu — rzekła. — Witek jest bardzo dobry, miły chłopak, ale nie mogłabym iść za nie-

go, on życie uważa jako zabawę, a ja wiem, że to bojowanie poważne. Przytem, on bogaty, ja uboga dziewczyna, nie chcę, by mówiono, że idę dla dobrej partji, a naprawdę takby to było.

Nazajutrz Witek i Jana przyszli z pożegnaniem. Wyjeżdżali do rodziców po południu. Jana była serdeczna jak zwykle, Witek miał smutek w oczach.

— Żałuję — rzekł — że już czas nauki ukończony; najlepsze chwile w życiu człowieka są te, które się spędza w wyższej uczelni wśród grona kolegów. Żyje się wtedy życiem, pełnem zapału, nadziei i marzeń.

— A teraz wchodzi pan w życie czynne — odrzekł Kępa. — Idzie tylko o to, by ten zapał, który się ma na szkolnej ławie, nie wystygł w piersiach, a młodzieńcze marzenia nie rozwiały się jak mgła.

— Alboż to od nas zależne? — zapytał młody inżynier. — Czyż codzienna rzeczywistość nie wskazuje nam, że wszystko to, za czym tęsknimy, o czym roiliśmy, jest złudą?

— Nie przeczę — odpowiedziała panna Wanda — że życie przynosi nam nieraz bolesne niespodzianki, niemniej jednak piękne jest ono i kochać je należy.

— A im mniej będziemy rozmyślali o własnych smutkach, im bardziej będziemy pracowali dla kraju i społeczeństwa — mówiła pani Tylicka — tem mniej osobiste smutki i bóle będą nas gnębiły.

— Moc trzeba mieć w sobie — roześmiała się Jana — jak to zawsze mówił Surma.

A zwracając się do Bronki, dodała:

— Wiesz, pan Jan pojechał do Ameryki, by jak mówił, nauczyć się tam pracy.

— A... — rzucił Witek — ten to chyba zawsze będzie miał moc i zapał.

Jana podniosła się i zaczęła żegnać starsze panie, Asłanowicz zbliżył się do Bronki.

— Żegnam panią, może na długo — rzekł ujmując ją za rękę — ale proszę, niech pani, panno Bronisławo, zechce pamiętać to, że ma we mnie oddanego sobie przyjaciela, na którego zawsze, w każdej chwili liczyć może...

Bronka spojrzała serdecznie na mówiącego.

— Dziękuję — szepnęła — wy wszyscy byliście dla mnie tacy dobrzy; nie zapomnę tego nigdy, a panu życzę z całej duszy...

Urwała, bo łzy zakreśliły się jej w oczach, bała się, że wybuchnie płaczem...

Doktor Tadeusz Kępa tego dnia odzyskał dawny humor, przekomarzał się z Bronką, żartował i — jak mówiła — był takim zupełnie jak niegdyś w Warszawie.

Wieczorem uprosił panią Tylicką, by z nim i z Bronką pojechała na parę dni do Krakowa.

— Muszę przecie czemś uświęcić moją przyszłą profesurę — mówił. — Bronka mało zna Kraków, a i jej należy się nagroda za świetny egzamin.

Pani Tylicka zgodziła się z łatwością. Kępa należał do jej ulubieńców, a z Krakowem łączyły

ją wspomnienia pierwszej młodości. Panna Wanda została w Zagórzcu; jako rekonwalescentce potrzebny był jej przedewszystkiem spokój.

— Oto mój dyplom — mówiła Bronka, wchodząc do pokoju, w którym siedziały pani Tylicka i panna Wanda. — Zdobyłam już i maturę w gimnazjum, proszę obejrzeć ten cenny papier.

— Celując — rzekła pani Tylicka, podsuwając dyplom pannie Wandzie. — Nie wątpiłam, że tak będzie.

— A teraz — mówiła Bronka, osuwając się do nóg panny Wandy i miękkiem ruchem kładąc głowę na jej kolanach — trzeba coś i o mnie postanowić.

— Przedewszystkiem należy ci wypocząć — odrzekła panna Wanda, tuląc ciemną głowę dziewczyny. — Tyleś się przez ten rok napracowała.

— Wcale znużona nie jestem, ciotucho — mówiła Bronka. — Zrobię jednak wszystko, co mi każeć przez wakacje, a potem idę w świat.

— Gdzież znowu? — uśmiechnęła się pani Tylicka.

Bronka usiadła na dywanie u nóg panny Wandy, splótła ręce na kolanach i już zupełnie poważnie mówiła.

— Przez całe dwa lata nie mówiłam nikomu o moich zamiarach, nie byłam pewna, czy to chęć chwilowa, czy też tego rzeczywiście chcę. Dziś

zdaje mi się, że mój zamiar dojrzał. Chcę jechać do Belgji i tam wstąpić na politechnikę.

Obie panie zdziwione były tem postanowieniem. Wszak jest tu we Lwowie politechnika! Pocóż do Belgji?

— Zaraz, zaraz wytłumaczę — mówiła Bronka, dziecinnym ruchem tuląc się do kolan ciotki. — Parę lat przemyślałam o wszystkim, słuchałam różnych zdań, czytałam niejedną księgę, no i przyszłam do przekonania po bardzo usilnem siebie samej badaniu, że powinnam iść tą drogą. Mam upodobanie w przemyśle, interesuje mnie on więcej, niż historia, filozofja, lub medycyna, o której, będąc dzieckiem, myślałam. Belgja jest krajem bardzo przemysłowym, będąc tam, ucząc się na politechnice, jednocześnie będę się starała poznać jak najbardziej różne gałęzie przemysłu, a zwłaszcza takie, które mogłyby być zastosowane i w naszym kraju.

Panna Tylicka pokręciła głową.

— Plan wcale dobry — rzekła. — A czyś już obmyśliła coś, czego będziesz się uczyła?

Bronka roześmiała się.

— Czego już ja nie przemyślałam! — rzekła. — Gdybym miała kapitał, założyłabym fabrykę tkacką. Wyrabiałabym płótna, perkale i t. p. rzeczy, przy fabryce byłaby farbiarnia i w ten sposób tworzyłoby się konkurencję obcym wyrobom, i nie jeden grosz zostałby w kraju. Ale ponieważ panna Bronisława Torska jest ubogą panienką, więc tymczasem fabrykę zbudujemy na księżycu, a na

naszej biednej ziemi będę sobie zwykłą chemiczką, wyuczę się przeróżnych tajników tej wiedzy, a potem wezmę posadę w jakiej istniejącej już farbiarni i tam będę pracowała usilnie, by moje perkalki nie ustępowały obcym wyrobom. I cóż na to ciotuchna powie?

Panna Wanda położyła rękę na ciemnej głowie dziewczyny.

— Nie mogę cię powstrzymać ani odradzać — rzekła — raz dlatego, że Bronka ma swe przekonania i z pewnością nie odstąpiłaby od nich, a po wtóre, że z zasady nie zmuszałabym nikogo do obrania innego zawodu niż ten, do którego ma upodobanie. Kto wie — dodała, uśmiechając się — czy ta przemysłowość nie jest dziedziczną. Ojciec twój był przemysłowcem z przekonania.

— Tak, może jego zamiłowanie budzi się w mej duszy — odparła Bronka — tylko, że on był poniekąd władcą w swym zawodzie, a ja będę tylko malutkiem ogniwikiem, takim sobie pionkiem i to mnie martwi.

— Mamy ambicję — uśmiechnęła się pani Tylicka.

— Czy się pani temu dziwi? — mówiła Bronka. — Gdybym była właścicielką fabryki, byłaby to praca dla swoich. Zatrudniałabym tylko Polaków i zdobyty pieniądz zostawałby w kraju. Jako chemiczna farbiarka może będę dopomagała jakiemuś Sztejnowi lub Bergerowi do zrobienia funduszu w mojej ojczyźnie.

— Mam o tobie pojęcie, Broniu — odezwała się pani Tylicka — iż nie będziesz koniecznie myślała o interesach Bergerów lub Szejnów.

— A ileż my mamy naprawdę polskich fabryk? — ze smutkiem zapytała młoda dziewczyna. — No, ale tymczasem nie mam o czym rozmyślać, dla kogo będę pracować. Wpierw trzeba zdobyć potrzebną wiedzę. — Co to, ciotus ma łzy w oczach? Co się stało?

— Nic, nic, Bronko — tłumaczyła się panna Wanda. — Tylko widzisz, w tem wszystkim, co mówisz, jest i smutna strona: będziemy musiały rozstać się...

— O, co to, to nie! — zawołała Bronka. — Pojedziemy obie do Belgji, życie tam o wiele tańsze niż tu, i mój kapitałik po matce starczy na nas obie. O rozstaniu mowy być nie może.

Panna Wanda potrząsnęła głową.

— Nie — odparła — tak być musi. Twój kapitałik i tak został nadszarpnięty na moją chorobę, dotąd tego długu jeszcze nie spłaciłam. Brać z niego dla siebie nie mam prawa i nie potrzebuje, gdyż jestem zdrowa i zdolna do pracy. Z nauczycielstwem również zrywać nie mogę. Skoro więc ja nie oponuję na twe projekta, ty również musisz się zgodzić na moje, i rozstanie się jest rzeczą nieuniknioną.

I rozstały się. Pomimo próśb Bronki i jej zaklinań panna Wanda nie ustąpiła, została we Lwowie, tylko tym razem ona, jak niegdyś Bronka, zwinęła mieszkanie, odprawiła służącą i odnajęła

pokój z utrzymaniem. Rachunki, prowadzone ściśle, wykazały jej, że urządzając się w ten sposób, będzie mogła wiele zaoszczędzić, a połowę swego dochodu chciała posyłać Bronce do Belgji.

Nie powstrzymywała jej od tego wyjazdu, przeciwnie, skoro pierwsze słowo padło w tym kierunku, panna Wanda usilnie zachęcała siostrzenicę do wyjazdu.

— Niech jedzie, niech sama wyrabia w sobie siłę i moc, potrzebne do walki z życiem — mówiła do pani Tylickiej, która wolałaby była widzieć Bronkę we Lwowie. — Niczem życia jej krępować, ani łamać nie będę. Ma w sobie wiele z ojca: jego energję, pomysłowość i wytrwałość w raz obmyślanym planie. Niech pracuje i walczy, bez tego życie byłoby czcze.

V.

Wśród obcych.

Dziwne uczucie ogarnęło Bronkę, gdy się znalazła sama wśród obcego środowiska. Ostatnie dni wakacyj spędziła z panną Wandą, która ją odwiozła do Belgji i tam spędziła parę tygodni. Przejechały wszcz i wzdłuż królestwo przemysłu, podziwiały razem, jak żelazna praca i wytrwałość ludzka na małym kawałku ziemi może tworzyć nieprzebrane źródła dobrobytu i bogactwa. Patrząc na wesoły, żywy i czynny lud południowej Belgji, na poważne, trochę ciężkie typy flamandzkie, takie jednak przytem jasne i spokojne, Bronka bardziej niż kiedy indziej zrozumiała, jak wielkiem szczęściem dla narodu jest wolność zupełna.

— Gdyby tak Polska — mówiła sobie w duchu — stała się naraz wolną i niezależną od nikogo, to i u nas rozwinąłby się szybko przemysł, dzwignęłoby rolnictwo, i ludzie nie mieliby tych smutnych, zgębionych oczu.

I coraz bardziej uświadamiała sobie, że należy wyteżać wszystkie siły, by zdobyć tę upragnioną swobodę, że w kraju jej bardziej niż w każdym innym trzeba rąk do pracy, trzeba ludzi, pełnych

czynu i wytrwałości. Ach, i serc kochających nade wszystko! Trzeba więc rwać wszelkimi sposobami.

Panna Wanda odjechała, a ona została sama w Leodjum, gdzie zapisała się na politechnikę, na wydział przyrodniczy.

Smutno jej było narazie; po raz pierwszy w życiu była tak zupełnie osamotniona, zdala od kraju i swoich. Ogarnęła ją tęsknota tak silna, że była chwila, gdy miała chęć zapakować manatki i wracać do Lwowa. Trwało to jednak krótko. Bronka miała wolę i nie należała do roztkliwiających się istot. Czynna jej natura zmuszała ją do pracy, a tem samem broniła od tęsknoty.

Dzień za dniem upływał szybko, a młoda studentka ani się spostrzegła, jak upłynął pierwszy i drugi semestr. Ułożyła sobie życie tak, że niewiele było czasu wolnego od pracy i nauki.

Nietylko pracowała na politechnice i w laboratorjach, lecz poza tem zwiedzała fabryki, zapoznając się w ten sposób z przemysłem i wytwórczością belgijską.

Profesorowie, widząc jej pracowitość i poważną chęć zdobycia wiedzy, ułatwiali jej bardzo wiele, i dzięki ich pomocy Bronka w krótkim przeciągu czasu nabyła więcej pożytecznych wiadomości, niż starsi od niej koledzy i koleżanki.

Przekonania jej uległy w tym czasie wielu zmianom. Wybrała drogę przemysłową i postanowiła iść nią w dalszym życiu. W miarę jednak jak

pracowała i zdobywała wiedzę, coraz większą wciąż otaczała ludzi nauki, tych wszystkich cichych a wielkich pracowników-myślicieli, dzięki którym ludzkość wznosi się na wyżyny postępu i wiedzy, dobra i prawdy.

Wczytywała się w ich dzieła i poila duszę skarbami poezji, nie egzaltując się, jak niejedna z jej rówieśnic samym dźwiękiem słów lub smętkiem poetów, bez zgłębiania, skąd on pochodził i zastanawiania się nad tem, czy ludzie czynu i pracy nie potrafią tak kiedyś życia urządzić, by smutku i bólu było jak najmniej na świecie. Piękność jej i wdzięk zwracały na nią oczy ludzkie, a poważne przy wrodzonej żywości i młodzieńczej wesołości postępowanie, uprzejmość jednostajna dla wszystkich, jednały jej ogólny szacunek i życzliwość.

Koledzy i koleżanki kochali Bronkę i młoda dziewczyna w obcym sobie środowisku zdobyła tyle przychylności, iż wkońcu osamotnienie przestało jej dokuczać.

Przy pracy i różnych zajęciach nie brak było miłych rozrywek. W gronie koleżeńskim odbywały się wycieczki po całej Belgji, a parę razy podczas świąt przyjeżdżała panna Wanda, i obie wtedy jeździły do Francji, zwiedzały Paryż. Podziwiając stolicę świata, Bronka bogaciła swą duszę.

— Jestem okrutnie chciwa — mówiła nieraz do panny Wandy. — Przy zapoznawaniu się z cudami pracy lub myśli ludzkiej chciałabym to wszystko,

co tu słyszę, widzę i podziwiam, zebrać do mej głowy, przyswoić sobie, przemyśleć i przetrawić, a potem...

— Co potem? — pytała panna Kańska.

— Zawieźć do ziemi mej — szepnęła Bronka — podzielić się wszystkimi skarbami tu zdobytymi z braćmi... to byłoby dopiero szczęście...

Tak w każdej chwili, przy każdej sposobności myśli młodej dziewczyny wracały do kraju i coraz goręcej biło jej serce na myśl o pracy dla niego.

.

Upłynęły trzy lata. I znowu była wiosna na świecie. Słońce jasno zaświeciło w oknie czwartego piętra i zbudziło studentkę. Pierwsze spojrzenie ślicznych, czarnych oczu padło na stojącą przy łóżku fotografię.

— Tatusiu mój — szepnęła dziewczyna — wszak to święto twej królowny. Od dziś ona pełnoletnia i odpowiedzialna za swe czyny i słowa.

W tejże chwili zapukała do drzwi posługaczka. Niosła przepyszny bukiet białego kwiecica.

Bronka spojrzała zdumiona, a Belgijka oznajmiła z zadowoleniem, że kwiaty przyniósł chłopak od pierwszorzędnego ogrodnika.

Kto przysłał, było zagadką, bo przy kwiatkach nie było żadnego listu, ani biletu.

Ubierając się szybko, Bronka ze zdumienia wyjść nie mogła.

Kto pamiętał o niej, a właściwie kto wiedział, że w ten dzień przypada rocznica jej urodzin? Od panny Wandy spodziewała się listu, wiedziała, że jej ukochana opiekunka nie zapomni o jej święcie, ale onaby kwiatów nie posłała. A tu w całym Leodjum nikt nie wiedział, że dziś Bronka obchodzi rocznicę swych urodzin.

Ten dzień był niegdyś uroczystie obchodzony w domu ojca, po śmierci jego jedna panna Kańska wiedziała o nim.

Kwiaty sprawiły jej wielką przyjemność, wstała je do wody, a wyjąwszy z bukietu białą różę, przypięła ją sobie do ciemnej, codziennej sukienki i poszła do laboratorium.

Po południu wróciła do siebie i znowu rozkoszowała się cudownym kwieciem, gdy naraż ktoś lekko zapukał do drzwi.

— Proszę — odrzekła po polsku, odwracając z niechęcią twarz od kwiatów. W tejże chwili krzyknęła z radości.

Na progu stał dr. Tadeusz Kępa: kwiatowa zagadka była rozwiązana.

— Przyjechałem przed godziną — mówił Tadeusz, trzymając w ręku dłoń uradowanej dziewczyny. — Chciałem ci pierwszy, Bronko, złożyć życzenia w dniu twej pełnoletności, a że bałem się, by mię kto nie ubiegł, więc wyprawiłem wcześniej kwiaty...

— One też pierwsze powitały mnie — odrzekła wesoło. — Ale, że ja też nie wpadłam na myśl, że mi je doktor przysłał. Łamałam sobie głowę nad

tą zagadką i nawet w laboratorium praca mi nie szła tak gładko, jak zazwyczaj.

— Lubisz swoje zajęcie?

— Bardzo. Chemja pociąga mnie coraz więcej i nieraz już przychodziło mi na myśl, czyby nie należało iść drogą wyłącznie naukową.

— Tak? — zadziwił się Kępa. — A cóż będzie z fabrykami, z tkactwem, farbiarnią?

— Jeszcze się tego nie wyrzekłam — odparła — tylko, że życie zdziera z nas pewne złudy. I tak na przykład prześladuje mnie myśl, że przecie, skoro będę pracowała w farbiarni, to najlepsze wyniki mej pracy będą głównie szły na pożytek właściciela, a może nieraz stanę się przyczyną pewnego wyzysku robotników, wtedy, gdy pracując w laboratorium, nigdy tego nie zrobię.

Kępa uśmiechnął się i, zmieniając przedmiot rozmowy, rzekł:

— Przyjechałem tu w bardzo ważnej sprawie i muszę o niej z tobą pomówić. Czy wiesz, że Bronków ma być sprzedany?

— Nie — odrzekła — nie słyszałam o tem.

— Tak jest niezawodnie. Tworzy się właśnie towarzystwo, które chce nabyć ten majątek. Bronków leży w okolicy, bardzo nadającej się pod uprawę lnu, i towarzystwo zamierza tamże założyć fabrykę tkacką, coś à la Żyrardów, z tą różnicą, iż tu będą zatrudnieni sami Polacy, począwszy od dyrektora aż do ostatniego posługacza. Będzie się tkało płótno i robiło wszelkiego rodzaju płócienna. Obok stanie fabryka perkalików, ta-

kich, jakie przeważnie sprowadza się z Rosji do Królestwa. Słowem, przedsiębiorstwo zakrojone na dużą skalę i poważnie ujęte.

— Jaką mi dobrą wieść przywiozłeś, kochany doktorze — rzekła młoda dziewczyna — teraz już mi nie żal będzie mego ukochanego Bronkowa, gdy w nim zawrze praca, z której przyjdzie pożytek dla kraju.

— Tem bardziej, że i sama będziesz tam mogła pożytecznie pracować, przyjechałem bowiem zapytać cię, czy po skończonych naukach zgodzisz się objąć w farbiarni bronkowskiej posadę dyrektora-chemika, a przez to wejść do zawiązującego się towarzystwa.

— Jakto? — zapytała zdumiona. — Jakim sposobem?

— Bardzo prostym — odparł, zapalając papierosa. — Nasz kochany mecenas Stoiński jest duszą całego towarzystwa, on opracował ten cały plan. Będzie to pierwsza chyba w Polsce fabryka spółdzielcza. Każdy, kto chce w fabryce pracować, tak dyrektor jak i stróż, musi złożyć pewien wkład. Wysokość wkładów jest odpowiednia do posady, którą dany osobnik może zająć. W ten sposób wszyscy pracujący w fabryce bronkowskiej są jednako zainteresowani jej rozwojem, gdyż wszyscy razem są jej współwłaścicielami.

— Ale ja nie mogę do tego stowarzyszenia należeć — rzekła Bronka. — Zapominasz, doktorze, że w obecnej chwili jestem tylko ubogą studentką.

Kępa roześmiał się.

— Wcale tak źle nie jest — rzekł. — Miałas niewielki kapitałik, który mecenas podwoił, i klejnoty matki, które tu przywiozłem — mówiąc to, podał Bronce dwa ponsowe, safjanowe pudełka. — Sądzę, że to wszystko starczy.

Bronka otworzyła pudełka i oczy jej olśnione zostały widokiem cudnego sznura białych pereł, zakończonego spięciem brylantowem. W drugim pudełku była broszka, kolczyki i pierścionek brylantowy, oraz grzebień do włosów, wysadzane perłami.

— Klejnoty te, jako własność osobista twojej matki, pani Torskiej — mówił doktor — ocalały i dziś stanowią twą własność. Ojciec twój, Bronko, będąc jeszcze zupełnie zdrowy, oddał je na przechowanie mecenasowi Stoińskiemu, z tem zastrzeżeniem, iż w razie śmierci jego mają być tobie oddane w dniu twojej pełnoletności.

Bronka oczu oderwać nie mogła od pereł. Milczała, a wyobraźnia przeniosła ją daleko stąd.

Była w pałacyku, przy Alei Róż. W przyćmionym gabinecie stała wdzięczna, jasnowłosa kobieta, a piękny, młody mężczyzna zapinał na jej szyi cudne perły. Jej ojciec i matka. Tacy piękni, tacy młodzi, kochający się oboje. I oto niema ich, tylko te klejnoty zostały i mówią jej o nich. Dwie duże perły stoczyły się z lic dziewczyny i spadły na tamte, trzymane w ręku.

Kępa domyslił się przyczyny łez, udał jednak, że ich nie widzi.

Bronka postawiła pudełko na stole.

— A więc — rzekła — zapomocą tych klejnotów będę mogła wejść do owego towarzystwa, prawda? Czy wartość ich na to starczy?

— Najzupełniej — odrzekł Tadeusz — tem więcej, że masz jeszcze swój kapitał.

— Mój kapitał — powtórzyła — ależ zapominasz chyba, doktorze, że go już podniosła. Po raz pierwszy wzięłam za twem zezwoleniem na kurację ciotki, a z reszty utrzymuję się tu, na politechnice. Nie wiem nawet — dodała — czy mi starczy do końca, wszak mam przed sobą jeszcze rok nauki i co najmniej rok praktyki w fabrykach.

Kępa był zmieszany, przeszedł się parę razy po pokoju, wkońcu stanął przed dziewczyną i mnąc papier w rękę, rzekł:

— Posłuchaj mię, Bronko, i nie gniewaj się, gdy ci powiem, że pieniądze twe są nienaruszone.

— Jakto? — zapytała — a tamte wydatki? któż je pokrywał? Wszak wystawiłam pokwitowanie mecenasowi.

— Byłaś wtedy małoletnią, właściwie nie miałaś prawa rozporządzać swym majątkiem; ani ja, jako twój opiekun, ani mecenas, jako obrońca prawny, nie mogliśmy na to pozwolić.

— Więc któż płacił? — zapytała i łona pokryła jej twarzyczkę.

— Oto jest twoje pokwitowanie — rzekł Kępa, podając jej papier. — Kapitał twój jest nienaruszony i dopiero dziś możesz nim zarządzać.

Bronka porwała się z krzesła, oczy jej zapalały, płomienie uderzyły na twarz.

— A więc — zawołała — okłamaliście mnie! Całe życie na łaśce waszej jestem. Byłam spokojna i szczęśliwa, że za mój skromny grosz uczę się, że przynajmniej dziś nikomu ciężarem nie jestem, że chociaż w części spłaciłam dług zaciągnięty... A to okrutnie było z waszej strony!..

— Bronko — mówił Kępa — uspokój się i zastanów poważnie, a przyznasz, iż w tem, co się stało, nie było okrucieństwa, jedynie troska o ciebie i twą przyszłość. Gdyby twój kapitał został wyczerpany, nie mogłabyś należeć do towarzystwa, a tem samem nie stałabyś się współwłaścicielką Bronkowa.

— Nie zostanę nią i obecnie — odparła. — Nie chcę długów, nie chcę darowizn żadnych. Dziś jeszcze napiszę do mecenasa Stoińskiego, prosząc go, by odebrał swą należytość i pokwitował mnie z tego długu.

— Proszę ciebie, nie czyni tego.

— A to czemu? — zadziwiła się.

— Gdyż w tem, co się stało, niema winy mecenasu — odparł cichym głosem.

— A więc to pan, pan mi tę jałmużnę rzucił? — zawołała porywczo. — Pan, który wiedział, jak mi bardzo było ciężko już w dzieciństwie przyjmować cośkolwiek od ludzi...

Po raz pierwszy od lat dziecinnych Bronka nazwała Tadeusza panem i on odczuł to boleśnie.

Zdawało mu się, że odrazu to jedno słowo przecina wszelkie łączące ich więzy.

Spojrzał tylko na nią smutno i rzekł z wolna:

— Niech mi pani wybaczy, byłem jej opiekunem i uważałem, że jako taki powinienem myśleć o jej przyszłości. Radziłbym jednak spokojnie się nad tem wszystkiem zastanowić, a może tak bardzo potępionym nie będę.

Ale o spokoju mowy być nie mogło. Bronka miała gwałtowną naturę, umiała wprawdzie nad nią panować, dziś jednak wybuchnęła, dotknęta w miłości własnej. Stanowczo oznajmiła, że Tadeuszowi zaraz dług cały spłaci, a do towarzysztwa nie wstąpi.

— Dość mam łask i dobrodziejstw — rzekła — chcę być sobą i od siebie samej zależeć.

Widząc, że jej nie uspokoi, a tem mniej przekona, ukłonił się i wyszedł.

Bronka po jego wyjściu padła na stojącą pod ścianą otomanę i długo leżała nieruchoma.

— A! dlaczego on tak z nią postąpił? Tak ją niegdyś cieszyła ta myśl, że za jej pieniądze panna Wanda jest w Zakopanem. Teraz tu w Belgji nie liczyła się bardzo z groszem, bo był jej własnością, a tymczasem żyła wciąż z łaski.

Powoli uspokoiła się miotająca dziewczyną burza. Wzrok jej padł na leżące na stole perły, wzięła je w ręce i podziwiała ich piękność.

— Jakież przedziwnie piękne są — myślała — jak cudnie wyglądała w nich matka. Nosiła je często, bo i na portrecie je widać. A ona, Bronka,

jakżeby w tem wyglądała? Nie włoży ich nigdy przecie, nie ma odpowiedniej toalety i gdzie poszłaby w tym stroju?

Ale perły miały w sobie wdzięk kuszący.

Im dłużej na nie patrzyła, tem bardziej ją nęciły. Nie, musi raz włożyć je na siebie, zobaczyć, czy też ozdobią ją tak bardzo.

Wstała, upięła jak koronę nad czołem dwa ciemne warkocze i przypięła je grzebieniami strojnymi w perły. Wyjęła z szafy białą, lekką sukienkę, ubrała się w nią i na szyję wzięła sznur perłowy.

Spojrzała w lustro i stanęła zdumiona. Że była piękną, wiedziała dobrze, mówiły jej to i oczy ludzkie i zwierciadła. Sprawiało to jej przyjemność, ale tak, jak nie była zrozumięła ze swych wiadomości, tak też nie pyszniła się urodą. Dziś jednak wydała się sobie samej piękną.

W tejże chwili ktoś zapukał do drzwi i, nie czekając zaproszenia, do pokoju wpadła Kazia Iwicka, koleżanka z uniwersytetu.

— Słuchajcie, Torska! — wołała, otwierając drzwi, lecz zaraz urwała i stanęła, patrząc z zachwytem na białą postać.

— Boże! — zawołała wkońcu. — Jakżeż wy wyglądacie. Nic tylko królewna z bajki. Ależ wy naprawdę jesteście cudownie piękna.

Bronka roześmiała się.

A tamta podziwiała jej piękność, zachwycała się jej postawą, a już słów nie miała dla pereł.

— Ale, ale — mówiła — zapomniałam przecie, przyszedł tu nie sama, tylko z bratem. Został na schodach, nie wiedząc, czy go przyjmiecie.

— Naturalnie, że proszę — odrzekła Bronka, i na jej zaproszenie wszedł do pokoju starszy brat Kazi, Stach Iwicki, również kolega.

— Otóż widzicie — trzepała Kazia — umyśliśmy sobie ze Stachem, żeby po was wstąpić i zabrać was ze sobą gdzieś na wycieczkę zamiejską. Pójdziecie?

Bronka potrząsnęła głową.

— A nie zmienilibyście projektu? — rzekła. — Na wycieczkę nie mam ochoty, ale chodźmy do teatru. Nie wiem, co dziś grają, lecz mniejsza o to. Chcę być w teatrze, w tem rzecz i przyszliście w porę. Wiecie, dziś moje święto, jestem już pełnoletnią i chcę jakoś uczcić tę chwilę.

— Zgoda, zgoda! — zawołali oboje Iwiccy.

— Tylko jeszcze jedno — mówiła Bronka — nie idziemy na żadne studenckie miejsca, bierzemy łóżę pierwszego piętra.

Stach spojrzał z niepokojem na siostrę.

Bronka złapała to spojrzenie.

— I to jeszcze — dodała — że ja kupuję łóżę i wy jesteście moimi gośćmi.

— Ależ Bronko! — zawołała Kazia — jakżeż można.

— Raz w życiu obchodzi się pełnoletność — śmiała się Bronka — nie możecie więc mi odmawiać. Chcę się dziś bawić.

— Jesteś dziś tak królewsko piękna — rzekła Iwicka — że jak królowny musimy słuchać.

— To, to rozumiem — rozśmiała się Bronka. — Niech więc kolega pójdzie po bilety.

Dnia tego dawano w teatrze „Lohengrina“. Bronka muzykalna bardzo i wrażliwa знаła dobrze arcydzieło Wagnera, dziś jednak bardziej niż kiedy indziej wzruszał jej duszę tragizm, przemawiający tonami muzyki.

Zasłuchana w cudną uwerturę, nie zwracała uwagi na to, że po podniesieniu kurtyny oczy widzów skierowały się do ich łóży: budziła ogólny zachwyt swą pięknością.

Ona myślała o Elzie. Dlaczego piękna księżniczka nie uwierzyła swemu obrońcy? czemu podejrziwością swą i niewiarą złamała życie obojga? — i smutno jej było.

Po pierwszym akcie spojrzała na widownię i naraz zarumieniła się. Oczy jej spotkały się z oczyma Tadeusza. Siedział w krzesłach, dojrzał ją i uklonił się, ale oczy miał smutne i nie uśmiechał się do niej, jak to było zwyczajem.

Bronce zabiło serce.

Dojrzał ją — pewno przyjdzie, a ona dziś tak piękna. Nigdy jej taką nie widział.

W tejże chwili zgasło światło — rozpoczął się akt drugi.

Teraz już nie słuchała, nie patrzyła nawet na scenę, czekała...

Gdy znowu spadła zasłona, Bronka spojrzała w tamtą stronę: Tadeusza już nie było.

— Pewno przyjdzie za chwilę...

Odsunęła się w głąb łoży i znowu czekała. Jakóż za chwilę otworzyły się drzwi, i wszedł gość, ale nie doktor Kępa. Był to jeszcze jeden kolega z uniwersytetu, Stefan Kaliński. Znacznie starszy od Bronki i Iwickich, Kaliński kończył za kilka miesięcy nauki i miał wracać do kraju. Właściwie powinien był już przed rokiem uporać się z nauką, ale obecność Bronki zatrzymała go rok dłużej w Leodjum. Bardzo zamożny, posiadał bowiem wielkie dobra na Wołyniu, niezależny zupełnie, gdyż prócz starszej siostry, zamężnej od lat kilku, nie miał żadnej rodziny, od pierwszego spotkania z Bronką zajął się nią mocno i jeszcze przed rokiem prosił, by została jego żoną. Bronka odmówiła mu tak, jak niegdyś Witoldowi. Kaliński jednak nie dał za wygraną. Odłożył na rok ostatnie egzamina i został w Leodjum i możliwie jak najczęściej starał się spotykać z Bronką. U niej w mieszkaniu nie bywał, bo młoda dziewczyna naogół nie przyjmowała kolegów, chyba takich, jak Iwicki, który zawsze tylko z siostrą przychodził. Spotykali się zato często na wycieczkach, lub u Kazi, która mocno popierała jego starania o rękę koleżanki.

— Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz wyjść za Stefana — mówiła nieraz do Bronki. — Przyznasz chyba, że jest przystojny, sympatyczny, wykształcony, kocha ciebie tak, że wszystkie dobra wołyńskie rzuciłby ci pod nogi, otoczyłby cię zbytkiem i przepychem, jak królowę.

— Właśnie to królestwo odstręcza mię od Kalińskiego — śmiała się Bronka. — Nie mogę przyjmować tytułu skarbow, któremi onby mnie obdarzył, nie dając wzamian nic.

— Jakto? — dziwiła się tamta — ty nie dałaś mu nic? A twoja młodość, uroda, inteligencja i wykształcenie to nie są skarby?

Bronka głową pokręciła.

— Wszystko to jest nic, wielkie nic, gdyż nie ma między nami żadnej wspólnej nici, któraby nas łączyła. Lubię Kalińskiego tak, jak lubię twego brata i wielu innych kolegów, ale za żadnego z nich nie pójdę. Zresztą — dodała — dobrze mi tak jak obecnie, i o jednym tylko myślę, to jest o pracy pożytecznej dla społeczeństwa, a dającej mi byt niezależny.

Kazia kręciła na to głową, niebardzo to wszystko rozumiejąc. Stefanowi zaś radziła, by nie tracił nadziei i był wytrwałym.

Zobaczywszy wchodzącego do łoży Stefana, Bronka zbladła mocno. Tak była pewna, że Kępa tu przyjdzie. Teraz, kiedy ochłonęła ze swego oburzenia, żal jej było tych słów nierozważnych, które mu rzuciła. Zobaczywszy doktora w teatrze, uradowała się podwójnie. Raz, że on tu przyszedł; kto wie, czy nie szukał jej nawet, wszak mógł wrócić do niej i dowiedzieć się od odźwiernej, że poszła do teatru. Cieszyła się, że ją zobaczy tak piękną...

Tymczasem on nietylko nie przyszedł, ale wyszedł z teatru. Może dziś odjedzie?

Żal ścisnął jej serce, zaraz jednak podniósł się bunt gwałtowny.

— A więc niech będzie jak chce, niech jedzie...

I odzyskując całą swobodę, zaczęła z żywością rozmawiać ze Stefanem, Kazią i Iwickim. Starła się być wesołą, ożywioną i dowcipną.

Już jej nie obchodziła niedola Elzy, nie słuchała przepięknego pożegnania Lohengrina. Chciała się bawić i bawiła, zachwycając i czarując coraz bardziej Wołyniaka.

Po skończonem przedstawieniu Kazia, którą ucieszyło powodzenie Stefana, szła z bratem i coś ważnego musiała mu powiedzieć. Kaliński skorzystał z tego i towarzyszył Bronce. I on uwierzył w swą dobrą gwiazdę i głosem cichym zapytał ją o to, o co błagał przed rokiem.

— Wiem — mówił — że pani kocha kraj, że pragnie dla niego pracować, ale czyż małżeństwo temu przeszkadza? Przeciwnie, pracowalibyśmy we dwoje, pod wpływem pani i ja stanę się człowiekiem pożytecznym. Wszystko, co posiadam, będzie twą własnością, ty będziesz tem rządziła.

Bronka milczała. Serce jej biło gwałtownie. Różne uczucia miotaly nią, była chwila, że już chciała podać rękę Stefanowi, gdy on znowu odezwał się:

— Nie nalegam, byś pani dziś stanowczo mi przyrzekła, że zostaniesz moją żoną. Będę czekał cierpliwie, ale pozwól mi bodaj mieć nadzieję.

Bronka odetchnęła. Tak, to będzie najlepiej, nie może odrazu nic postanowić.

— Odpowiem panu jutro po południu — rzekła cicho. A już stali przy bramie domu, w którym mieszkała.

Bronka tej nocy usnąć nie mogła. Tyle wrażeń przeszła przez cały dzień ubiegły, że uspokoić się nie mogła. Była już prawie zdecydowana. Pójdzie za Stefana. On ją tak kocha, że za to samo musi mu być wdzięczna, lubi go zresztą. Będzie bogatą panią, dostanie pałac, dobra, cały zbytek, którym była otoczona w dzieciństwie i który ongi tak kochała. Czyż to nie lepsze nad ślęczenie w laboratorjach, a potem duszenie się w zakopconych dymem farbiarniach? O wiele większe będzie zresztą pole do działania, do pracy społecznej.

Kępa — nawet o nim myśleć nie chciała, zdeptał jej miłość własną, obraził i odszedł. Dobrze, niech i tak będzie.

Zasnęła o świcie i spała króciutko, zbudziła się i miała uczucie, że wszystko, co przeszła przez dzień wczorajszy, było tylko ciężką zморą. Wstyd jej było swych uczuć i rozmyślań, żal miała do siebie za całą rozmowę z Kępą. Nie on ją obraził, nie, ona jedna tu zawiniła. Od chwili śmierci ojca miała dwoje ludzi, którzy o nią dbali i gotowi byli wszystko dla niej poświęcić. Ciotka Wanda i Tadeusz Kępa, a oto ona tak mu za jego dobrą opiekę i życzliwość odpłaciła. Słusznie uczynił, że wczoraj do niej nie przyszedł, wszak tylko z próżności tego pragnęła. Chciała, by ją zobaczył stojącą, wesołą, by podziwiał jej „królewską piękność“, jak mówiła Kazia. A właśnie to wszystko go ode-

pchnęło. Ale nie, teraz ona pójdzie do niego i jak dawniej to robiła mała Bronka, przeprosi go, a on wybaczy swojej dziewczynce.

Wyskoczyła z łóżka, ubrała się szybko, nakreśliła parę słów na bileciku, zarzuciła na siebie płaszczyk i wybiegła.

Po drodze posłała bilecik do Kalińskiego, a sama poszła do stacji telefonicznej. Nie wiedziała wprawdzie dokładnie, w którym hotelu stoi doktor, ale zdawało się jej, że go znajdzie w tym samym, w którym stała panna Wanda.

Jakoż nie pomyliła się. Odpowiedziano jej, że doktor Kępa przed chwilą wyszedł i że za godzinę wyjeżdża do Paryża. Odetchnęła i kazała powiedzieć doktorowi, iż znajoma jego chora, prosi, by dziś koniecznie był u niej. Podała adres domu, ulicy i wróciła do mieszkania. Czekala, niepokój pochłaniał ją straszny. A jeśli on się na nią obraził i nie przyjdzie, to co? Na samą myśl o tem serce się jej ścisnęło. Zostanie zupełnie sama po raz drugi w życiu, jeśli ją opuści ten najlepszy przyjaciel. Zakryła oczy.

Ale nie, on tego nie uczyni, nie, nigdy!

Na schodach słychać znajome kroki. Skoczyła do drzwi i otworzyła je, podając obie ręce doktorowi.

— Mówiono mi, że jesteś pani chora — powiedział, ujmując jej dłonie. — Co się stało? Rzekniesz mi, pobladłaś pani mocno od wczoraj.

— Bronka była chora — odpowiedziała, nie usuwając rąk i prowadząc go w głąb pokoju —

i dlatego musiała prosić, by doktor do niej przyszedł.

Usiedli oboje, a Tadeusz milcząc patrzył na młodą dziewczynę, ona zaś mówiła:

— Choroba jest rzeczą brzydką, złą, to też człowiek, który popełni zły czyn, jest również chory. I ja taką chorą byłam wczoraj, dlatego prosiłam mego kochanego doktora, by przyszedł i uleczył mnie. I już zdrowa jestem, tylko proszę Bronce, to co powiedziała wczoraj, wybaczyć i... zapomnieć...

Gdyby panna Torska mogła siebie w tej chwili zobaczyć, przekonałaby się, że o wiele piękniejsza była od wczorajszej królowny strojonej w perły. Tadeusz widział to. Stała mu się też droższą i bliższą od tamtej. Odzyskał Bronkę dawną.

— Oto są perły i inne klejnoty — mówiła Bronka — proszę weź to wszystko, doktorze, spienięż i niech to będzie jako moja wpłata do towarzystwa. Wejdę do bronkowskiej fabryki, ale nie prędzej jak za trzy lata, więc kapitału nie ruszajmy. Mam jedną ambicję — dodała, patrząc z pokorą w twarz Kępy — by nic nie brać od nikogo. Pozwól mi zatem, mój opiekunie, bym spłaciła wszystko już teraz; prawda, że mój wkład będzie nieco mniejszy, ale długu zato nie będę miała...

I Tadeusz zgodził się. Uregulowano wszystko, ponieważ panna Wanda stanowczo zastrzegła, na co miał Kępa list od niej, iż wszelkie wydatki, poniesione na swą kurację, spłaci sama, więc pozostała jeszcze po obrachunku kwota, wystarczająca

na koszt utrzymania Bronki przez parę lat na politechnice.

— A nie żal ci pereł, Bronko? — zapytał doktor, gdy już wszystko zostało wyrównane.

— Nie — odparła spokojnie — wolę ich nie mieć; zbudziły we mnie zło, drzemiące kędyś w duszy, i o włos nie uczyniły nieszczęśliwą. Ze wszystkich klejnotów zostawiam sobie jeden, pierścień zaręczynowy matki, nie chcę, by go nosił ktoś obcy.

VI.

W swoim królestwie.

Cicho szumiały stare drzewa w bronkowskim parku, opowiadając dawne dzieje młodym wyrostkom i krzewinom. Mówiły, jak niegdyś w ich cieniu biegała mała, ciemnowłosa dziewczynka, królowną zwana; jak dzieciątko to rządziło tu wszystkim i wszystkimi, a potem odjechało w świat daleki. Ludzie obcy przyszli, i o ciemnowłosej królownie wieść zaginęła. Aż oto po wielu, wielu latach wróciła dziś wieczór do Bronkowa, tylko już nie poto, by rządzić w pałacu, bo i jego nie stało, lecz by w tej ciemnej, zakopconej fabryce, co tam stoi na końcu parku, pracować i innych uczyć pracy.

— Więc już nie jest królowną? — pytał młody klon.

A stary dąb uderzył w liście i szepnął:

— Właśnie teraz dopiero będzie naprawdę królowną, gdy wejdzie w świat pracy, ona jedna bowiem daje ludziom największy skarb, niezależność.

Tak sobie gwarzyły drzewa w parku, a u otwartego okna w jednym z niewielkich domków,

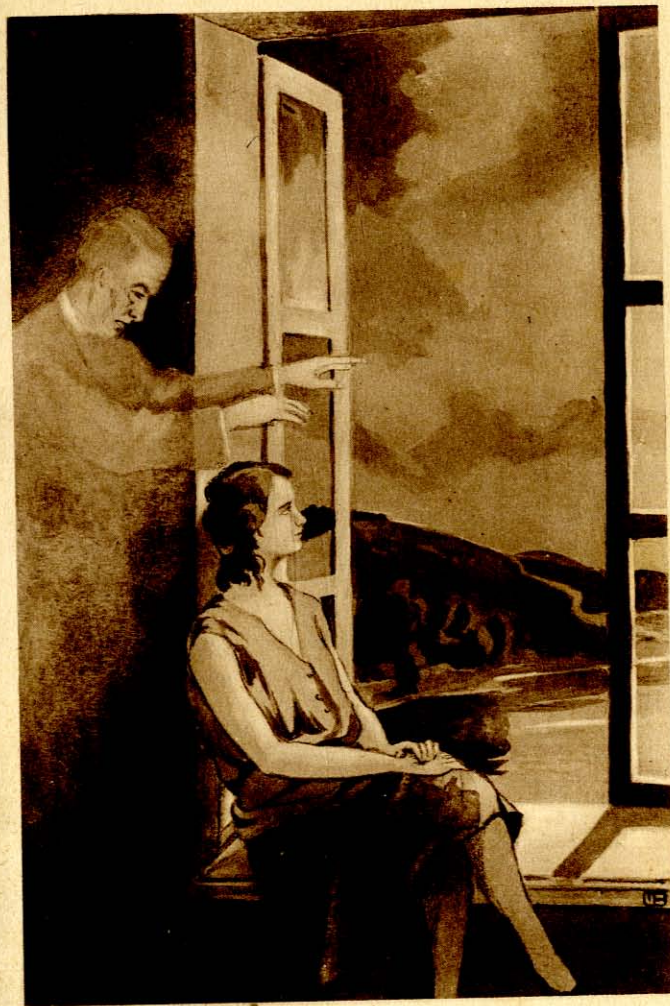
stojących teraz w parku, stała „królewna” i wpatrywała się w dal ciemną. Przyjechała późnym wieczorem wraz z doktorem Kępą, który na nią czekał w Warszawie, musiała bowiem załatwić tam jeszcze formalności prawne. Panna Wanda już wcześniej przybyła do Bronkowa, bo i ona miała tu mieć swój dział. Przy fabryce była szkoła dla dzieci robotników, kierownictwo jej powierzone zostało pannie Kańskiej. Urządziła więc szkołę, a jednocześnie przygotowała mieszkanie dla Bronki i pierwsza powitała młodą dyrektorkę farbiarni.

Nie widziały się ze sobą cały rok, to też pytaniom końca nie było. Ostatecznie cisza zaległa mały domek, gdzie obie dyrektorki miały mieszkać; wszyscy spali oprócz Bronki, której nowe wrażenia długo w noc usnąć nie dały.

Jest znowu w Bronkowie, w tym Bronkowie, który przed laty kupił dla niej ojciec. Wróciła do gniazda, lecz w jak odmiennych warunkach?

Podniosła oczy ku niebu, skąd spływały na nią blaski księżyca i promyki złotych gwiazd, i myśl zwróciła się ku temu, który ją odszedł małą, niedołężną dzieciną.

— Oto, mój ojcie — szepnęła — podejmuję pracę twoją, staję przy warsztacie, od któregoś ty odszedł, i póki tchu w piersi pracować chcę dla mej ziemi. Niechże błogosławieństwo twoje spłynie na głowę moją i pracę, którą podejmę... Niech duch twój będzie przy mnie i moc da słabym mym dłoniom.



I zadumanej dziewczynie zdawało się, że dłoń jakaś musnęła jej białe czoło...

I zadumanej dziewczynie wydało się, że dłoń jakaś musnęła jej białe czoło, że duch ukochanego ojca stanął przy niej i błogosławi ją na nową drogę życia.

.

Wczesnym rankiem wybiegła Bronka do parku. Pilno jej było zobaczyć stary park, drzewa i stawy. Dawne królestwo swoje.

Do fabryki miała pójść potem, o 11-tej przed południem, czekać tam na nią miał główny dyrektor. Teraz chciała być sama i przypomnieć sobie dawny Bronków.

— Jakżeż tu wszystko się zmieniło — myślała, przebiegając wśród drzew i krzewów — jak urosły drzewa; tylko woda płynie jak wtedy srebrzystą strugą wśród zieleni.

Obiegła cały park, wyszła w pole i naraz stanęła zdumiona.

Naprzeciw niej, po wijącej się wstód zagonów lnu drodze, siedł wysoki, szczupły mężczyzna. Jeszcze był daleko, i twarzy jego dostrzec nie mogła, ale ruchy te знаła. Czyżby? Nie, niepodobna?

Stała zapatrzona, aż tamten dojrzał ją zdala, zdjął kapelusz i powitał, jak kogoś dobrze znajomego.

— Pan Jan!

— Panna Bronisława, druchna moja! — padło z obu stron.

Bronka nie mogła wyjść ze zdumienia.

— Skąd tu pan się zjawił? — pytała.

— Najzwyczajniej w świecie — odparł. — Ojciec mój jest dyrektorem w tutejszej fabryce. Mieszka tu już od roku. Przed tygodniem przyjechałem do rodziców w odwiedziny i dowiedziałem się, o dziwo, że farbiarnia spoczywać będzie na barkach panny Torskiej. Ucieszyłem się bardzo tą wieścią.

— Pan tu pracuje również? — pytała.

— O nie, jestem „żelaznym“ i siedzę w Warszawie. Ale że też pani wybrała ostatecznie przemysł? Cóż na to panna Jana? — Nic o nich nie wiem, Witek od lat pięciu zerwał ze mną. Zresztą nie miałem czasu na listy.

— Powiem panu o naszych wspólnych znajomych. Jana jest profesorem we Lwowie, pan Witold pracuje również w tym mieście, jako inżynier miejski. Przed dwoma laty ożenił się z Zosią Tełatycką.

— Tak, a więc krakowskie wesele było dobrą przepowiednią. Myślałem jednak, że on gdzieś zwróci swój afekt — i mówiąc to Jan utkwiał przenikliwy wzrok w twarzy Bronki.

— Stare dzieje — rozśmiała się swobodnie — dawno poszły do skrzyni zapomnienia. A wie pan, że Ola posłuchała rad pana, wykształciła się w ogrodnictwie i pszczelarstwie i prowadzi znakomicie te działy w Olejowej. Stefa poszła zamaż i jest matką dwojga prześlicznych dzieci. Tyle o naszych znajomych.

— A teraz mówmy o sobie — rzekł „żelazny“ pan.

I poszli znowu do parku, opowiadając sobie nawzajem o swej pracy ubiegłej i o zamiarach na przyszłość.

— A możebyśmy zajrzeli do fabryki? — zagadnął Jan. — Zanim tam wejdzie pani urzędowo, może zechce przejść przez nią, nieznana jeszcze nikomu.

Bronka zgodziła się i poszli w tamtą stronę.

Przebiegając duże sale, wypełnione maszynami, przy których pracowali robotnicy i robotnice, Bronka odrazu uczuła się u siebie, nie napróżno spędziła parę lat w fabrykach belgijskich. Każda maszyna, każde najdrobniejsze kółeczko było jej znane. Witała je jak stare znajome.

I radość wielka rozsadzała jej piersi. Wyjechała z tego Bronkowa jako sierota bezdomna, dziś stanie tu do warsztatu pracy, jako uświadomiona istota i użyteczny członek społeczeństwa.

— Farbiarnia jeszcze stoi, czeka na swą kierowniczkę — mówił Surma — ale tam już pójdzie pani z ojcem.

— Tak — odparła Bronka — za niedługą chwilę rozpocznę nowe życie, zabierze mnie ono w swą moc i pochłonie jak drobny atom.

— O nie! — zawołał Surma. — Tak być nie może, pani powinna mieć moc w sobie i stać się władczynią życia. Będąc nad morzem, widziałas nieraz, jak na drobnej łupinie siedząc, z wiosłem tylko w dłoni, człowiek opanowywał najpotężniejszy żywioł: falę morską; jak zwycięsko na jej

grzbiecie dopływał do spokojnej przystani. Moc miał w sobie większą niż owa rozhukana fala, i dlatego ona go słuchać musiała. Tak i w życiu być musi. Należy brać się z niem za bary, tworzyć, budować, nowe warsztaty pracy wznosić.

Panna Wanda i doktor Kępa zeszli się w jadalni małego domku.

— Naszej dyrektorki nie ma? — zapytał Tadeusz, witając pannę Kańską. — Jeszcze śpi po drodze?

— Ależ nie, wstała oddawna — uśmiechnęła się panna Wanda — wyprzedziła nas wszystkich, o świcie niemal wymknęła się z domu.

— Poszła przywitać się z Bronkowem, przypomnieć sobie dawne chwile, gdy jako samowładna królowa tu rządziła.

— Któżby przypuścił, iż ona tu znowu wróci — mówiła panna Wanda. — Twojem to jest dziełem, kochany doktorze, że tu właśnie, a nie gdzie indziej, dziewczynka nasza pracować będzie. Tyś poniekąd stworzył tę fabrykę.

— O nie — rzekł Tadeusz — to już sprawa mecenasa Stoińskiego. On znalazł potrzebne kapitały, on obmyślił rzecz całą. Dzięki niemu setki ludzi ma pracę uczciwą i polski krwawy trud nie wzbogaci obcych.

— Tak, to jego dzieło, ale Bronkę wprowadził tu pan tylko.

Tadeusz uśmiechnął się, przypomniawszy mu się gorąca przeprawa z Bronką w Leodjum, teatr i ostateczna zgoda.

— Tak — odparł — zrobiłem to, bo też Bronków nie mógł być bez swej królowy.

Zamilkli oboje, aż doktor przerwał ciszę.

— Mam jednak pewne odczucie, że pani niezupełnie może jest pogodzona z przyszłym życiem Bronki — rzekł.

Panna Wanda podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Nie wiem — powiedziała — jak to nawet określić, co czuję. Szczęśliwa jestem, patrząc na Bronkę, cieszę się jej wykształceniem, inteligencją, bardziej jeszcze prawością umysłu i bogactwem serca. Dumna jestem z tego, że moja wychowanka umie pracować, że jest poniekąd pionierką na nowym łanie pracy, jednak przyznaję, obawiam się, czy to wszystko jej wystarczy, czy da pełnię szczęścia? Chciałabym ją widzieć, idącą ręką w rękę z człowiekiem kochanym i kochającym.

Doktor westchnął.

— Przyjdzie i to — rzekł — jeszcze to przyjdzie.

Panna Wanda znowu badawczo spojrzała na Tadeusza.

— Sądziłam — rzekła — że pan tu z nami zostanie, tymczasem dowiaduję się, że pan jedzie w podróż naukową.

— Tak — szepnął — chodziło mi tylko o zakończenie rachunków z opieki nad majątkiem Bronki i wprowadzenie jej do fabryki.

— Niech mi pan wybaczy — rzekła panna Wanda — że poruszam sprawę czysto osobistą, ale zdawało mi się... nieraz... myślałam... iż wychowanka nasza nie jest mu obojętna...

Kępa pobladł, jakiś bolesny skurcz przebiegł mu po twarzy.

— A pani droga — szepnął — nie kryję, Bronka droższa mi jest nad życie, nad sławę... nade wszystko... ale mamże ja prawo sięgać po ten cudny kwiat?

— A jeśli ona cię kocha? jeśli ty jeden możesz dać jej szczęście? — spytała kobieta.

— Bronka mnie kocha? — zawołał Kępa — mówiła pani o tem?

Panna Wanda potrząsnęła głową przecząco.

— Serdeczna i prawa jest moja dziewczynka — rzekła — ale tajemnicza i dumna co do swych uczuć, więc nie śmiałam jej badać pod tym względem. To jedno wiem, że odrzuciła Asłanowicza i Kalińskiego, chociaż każdy z nich miał wszelkie dane, by się mógł podobać. Jeśli więc odmówiła tamtym, to chyba dlatego, że kocha pana.

Kępa był coraz bledszy, milczał chwilę, wkońcu rzekł głuchym głosem.

— Nie, mylisz się droga pani. Jestem psychologiem i znam Bronkę. Kocha mnie niewątpliwie, ale jak starszego brata, lub opiekuna, nic ponadto.

A zresztą, mówmy otwarcie, czyż mężczyzna taki jak ja, brzydki, niemłody, może myśleć, iż piękna, młoda dziewczyna zakocha się w nim? Może serce jej jeszcze nie przemówiło, a jeśli tak, to nie sumiennie byłoby z mej strony korzystać z jej nieświadomości. Wczoraj mówiłem z nią o mej przyszłej podróży. Gdyby było tak, jak pani sądzi, inaczejby się na nią zapatrywała. Nie sądzę, by mię do niej zachęcała... Nie, nasze drogi rozjeść się muszą.

Wtem przez otwarte drzwi wpadł do pokoju srebrzysty śmiech Bronki.

Doktor wstał i wyszedł na werandę.

— Patrz pani — mówił — Bronka wraca, lecz któż to z nią idzie?

— To syn dyrektora fabryki — odparła, patrząc na idącą w głębi alei młodą parę — Jan Surma. Mówił mi, iż znał Bronkę w Olejowej.

— A... — rzucił Kępa, i znowu bolesny skurcz przebiegł po jego twarzy. Trwało to jedną chwilę. — Widzi pani — mówił już spokojnym, zwykłym głosem — oto idzie ku nam wiosna, idzie i kwiaty niesie i nowe życie przynosi ze sobą. Niechże szczęśliwa i pogodna będzie! Nie zatrzymajmy jej cudnych chwil, nie rzucajmy cienia na tę przedziwną krasę. Usuńmy się z drogi tej młodości...

Tak mówił Tadeusz Kępa, a panna Wanda przyznać mu musiała, że ta młodość, idąca naprzeciw nich, była naprawdę piękna.

— Witam, witam państwa! — wołała zdaleka Bronka. — Kwieciami wam sypię pod nogi. — To mówiąc rzuciła na ciotkę i doktora ponsowe róże. — Cudny mój, kochany Bronków! Przepraszam, że się spóźniła na śniadanie.

Jan witał się z panną Wandą, która go przedstawiła doktorowi.

— Spać nie mogłam — mówiła Bronka — tak mi pilno było zobaczyć stare drzewa i przywitać się z nimi. Spotkałam też ku swemu zdziwieniu dawnego znajomego, który mnie niegdyś pierwszy zachęcał do przemysłu, a teraz znowu pierwszy oprowadzał po fabryce.

— I zadowolona jesteś? — pytał Kępa, przenikliwym wzrokiem patrząc na młodą dziewczynę.

— Szczęśliwa, mój najlepszy opiekunie — odparła — a szczęście moje zawdzięczam wam obojgu, kochani — mówiła, biorąc ręce doktora i panny Wandy w swoje. — Wam zawdzięczam wszystko: i to, że umiem pracować, i to, że mam już swój warsztat pracy. Za waszą to sprawą biedna sierota Bronka zostaje znowu królowną.



63189

SPIS RZECZY

	Str.
I. Imieniny	1
II. Bronka chce być mądrą	8
III. Straszne chwile	35
IV. Nowe życie	87
V. Wśród obcych	202
VI. W swoim królestwie	223

127293
121576 60-

Emma Jeleńska (Dmochowska)

Panienka

Powieść

Str. 418

Cena zł 8,50

„Najbardziej ulubionym tematem Emmy Jeleńskiej była walka o polskość na kresach i o polską ziemię. Ta walka stanowi także i treść wymienionej w tytule powieści, wydanej obecnie w drugim wydaniu, a przed laty nagrodzonej na konkursie im. B. Prusa. Mimo zmienionych warunków nie straciła ona nic ze swej aktualności, jak i z uroku. Nadaje się znakomicie na lekturę dla dorastającej młodzieży, jako rzecz etyczna, zdrowa, narodowym ideałom służąca.”

Sodalis Marianus

Michalina Domańska

Brzydka

Powieść

Cena. zł 4,—

„Czy kobieta brzydka ma prawo do szczęścia? A jeśli ma, to jak je może zdobyć? Jak zdobywa?

Odpowiedzi na te pytania udziela autorka w dobrze zbudowanej powieści, rodzaju pamiętnika dziewczyny młodej, dzielnej, bogatej, ale brzydkiej.

Powieść pisana stylem gładkim, pozbawiona egzaltacji, właściwej piórom kobiecym, zaleca się zwłaszcza jako lektura dla młodych panien.”

Kurjer Warszawski